

Wejherowo

1923-1927

„Jedno dziecko syberyjskie”

26.3.1995.

Jedyny naprawdę szczęśliwy okres w moim życiu to był okres wejherowski. Cóż z tego, że widzę dopiero to teraz. Że w ogóle widzę. Dobrze i to. Dnia 22 lutego 1922 r. 320 dzieci przyjechało z Ameryki do Mielżyna. Dnia 15 marca 1923 r. 50 dzieci syberyjskich dziewcząt i chłopców wyjechało z Mielżyna do Wejherowa. (Dane uzyskałam w zapisie ksiąg kościelnych znajdujących się w Kościele Parafialnym w Mielżynie - podczas mojej tam wizyty w r. 1972)

Na stacji w Wejherowie oczekiwały nas zastępy harcerzy chłopców, którzy wynosili nas z wagonów na rękach do czekających ciężarówek. Mnie niósł Stanisław Strzałkowski. Wszyscy chłopcy byli w mundurkach i mieli białe chusty na szyi. Weszliśmy do budynku o bardzo ciągnącym się wzdłuż długim korytarzu. Pod ścianami stały stoły i siedzieli w bieli lekarze zwerbowani z Wejherowa i Gdańska wszystkich specjalności. Wszystko to była praca społeczna „Owsiaka”. Przeglądali każde dziecko po kolei na wszystko panował świerzb, jaglica, wrzody na nogach owrzodzenie ust wewnątrz i wszy. Nie mówiąc już o zębach. Najbardziej zawszonym ścinano od razu włosy, zrzucano ubranie z nas daleko w duże jakieś pudła i po przeglądzie do łazienek, gdzie szorowano nas od razu tych ze świerzbem w specjalnym płynie i w rękawiczkach.

Kto mógł patrzeć na to spokojnie?

Dostaliśmy nocne koszule piękne i białe i skierowano zgodnie z orzeczeniem lekarzy do jednej z sal, których było kilka. Mnie skierowano do sali gdzie były wszystkie choroby. Miałam świerzb nie tylko na rękach, pod pachami ale i wzdłuż (prawie do rany) kręgosłupa, jaglicę i wrzody na nogach. Miałam jakieś szczęście do tych wrzodów na nogach, z Władystoką przywiozłam je do Japonii.

I tu następuje mała dygresja. Po spotkaniu z moją Matką w r. 1927 mówiła mi że po przyjeździe do Chabarowska - spałam podobno przez cały miesiąc. Po raz drugi nastąpiło to w Wejherowie. Nie pamiętam nic z tego okresu - pamiętam tylko jak raz podczas jedzenia kisielu upadłam twarzą do miseczki - zasnęłam. Nie wiem jak długo spałam. Po przebudzeniu nie swędziało m nie ciało, nie drapałam się - nie pamiętam żadnych zabiegów koło siebie. Natomiast miałam ciężką jaglicę. Przeniesiono mnie do zaciemnionego zupełnie pokoju (z małą czerwoną lampką) przychodził sanitariusz pewnie zakraplano mi oczy. Potem w asyście sanitariusza jeździłam kilkakrotnie do Gdańska do szpitala na wypalenie jagieł. Wyzdrowiałam.

Wszystko razem przypominało noc w Tsurudze gdzie to też rozbierano nas do naga i rozwożono do szpitali.

Najgorzej jednak było z naszym wykształceniem. Trudno mi pisać o nas wszystkich. Mogę tylko o sobie. Wszystko zaczęło się od czytania po

polsku. Czytałam słabo, a na podane książki angielskie czytałam biegle.

Podzielono nas na nieduże grupy po 10 m niej więcej dzieci i w parku na świeżym powietrzu ustawiono ławki - pulpity. Zadawano na popołudnia dosyć dużo do roboty. Do przeczytania - potem do opowiadania, z historii, z literatury. Matematyka geografia. Byłam w Chabarowsku w I klasie gimnazjum rosyjskiego i coś nie coś z tamtych czasów w głowach pozostało. Nauka trwała z przerwami wobec ciągle zmieniających się warunków działań wojennych i w końcu gimnazjum zamknięto. Znałam bardzo dobrze rosyjski ale w czasie tych minionych lat zupełnie już nie potrafiłam nawet mówić. W grupie dzieci, które szybciej przyswajali wiadomości i jakby lepiej pracowały - przesuwało się do następnej grupy - nie było żadnych podziałów na żadne klasy. Szłam szybko z grupy do grupy. Tak przebiegało uczenie się nasze w Wejherowie. Profesorowie pamiętam ich wszystkich do dziś: byli to nauczyciele z gimnazjum męskiego w Wejherowie, z seminarium nauczycielskiego i ze szkół w

Gdańsku. Przyjeżdżał co pewien czas z Gdańska prof. Urbanek sprawdzić nasze postępy. O tym człowieku do dziś jeszcze w prasie tamtych czasów i regionu pisze się jako o wielkim wychowawcy i wielkim polskim patriocie!

Prof. Pohlman, dwie siostry Pankówny, Borycka, Perszkówna, dyr. szk. wydziałowej Witkowski, dyr. szkoły handl. późniejszy mój opiekun Stanisław Dzieciołowski znany szeroko jako działacz społeczny nie tylko w oświacie, Nierzwicka, Kuczevska Eugenia z Orłowa. (W r. 1972 będąc już na emeryturze - byłam w Orłowie odnalazłam p Kuczevska i przebyłam u Niej cały dzień.)

Na dzień 1 września byliśmy przygotowani do pójścia do szkół w mieście.

„Starszynki” t.zn. dziewczęta od lat 18 i wyżej podzieliły się na dwie grupy i jedna to były panny po skończeniu może szkół podstawowych, pracowały już albo w domu na gospodarstwie albo były tylko w rodzinie (głoduującej) i druga grupa która była liczniejsza dziewczęta po przerwaniu nauki w gimnazjach w różnych miastach w starszych klasach. Pierwsza grupa poszła do szkół zawodowych: krawiectwa, haftu, wychowawczyń ochronek (tak dawniej nazywało się przedszkole), druga do seminarium nauczycielskiego w Wejherowie; Połubianko Bronia, Skąpska, Wasilewskie (dwie różne rodziny) Ratajska, Kuleszanki, Wróblewskie (dwie różne rodziny). Gimnazjum w Wejherowie było tylko męskie, ale na średnim poziomie nauczania były t.zw. szkoły wydziałowe. Trafiłam do szkoły wydziałowej 1.IX.1923 r. do klasy 6-tej a w r. szkolnym 25/26 kiedy mogłam już robić maturę - zostałam karnie przeniesiona za chuli-gański wyczyn w stosunku do nauczycielki tejże prof. Kuczevskiej. W czasie lekcji chemii p. K. zarzuciła mi, że jestem nieprzygotowana do lekcji gdyż pod ławką mam książkę. Powiedziałam Jej, że nie przygotowuję się do lekcji, ale czytam książkę, a ona „znamy to”. I wtedy z ostatniej ławki przez klasę przeleciał gruby tom „Trędowatej” i rąbnął Ją w oczy - nosiła okulary!

Skandal był dostatecznie głośny. Wyrzucić mnie ze szkoły z „wilczym biletem” (bo tak dawniej było) bez prawa wstępu do jakiegokolwiek innej

szkoły nie mieli sumienia - byłam „dzieckiem syberyjskim” i pierwszą uczenicą w klasach.

Skierowano mnie do 3 letniej Szkoły Handlowej Stowarzyszenia Kupców Polskich na 2 gi rok i w r. 1927/28 ukończyłam szkołę z dobrym wynikiem.

Pisząc te wspomnienia zwraca uwagę jeden dziwny fakt: „starszynki” chłopcy w 90% byli „rzemieślnikami” t.zn. szkoły zawodowe warsztaty i zakłady fabryczne, szewstwo, garbarstwo i ślusarstwo, dwu poszło do Akad. Wojskowej (Houwald i Unger) część odnalazła powracających rodziców z Rosji i Chin, kilku dogorywało na gruźlicę w Zakopanem, dwu do gimnazjum w Wejherowie. Tylko około 10% poszło do seminarjum i szkoły wydziałowej.

U dziewcząt proporcje były diam etralnie różne: 10% do rzemiosła i 90% po nauce w Wejherowie - zdobyły (trudno opisać jakim wysiłkiem” niektóre wyższe studia. Zielińska Rina, Skąpska, Bereśniewicz. Uzyskane przez Doktora trzy budynki dla dzieci stanowiły objekty po byłym zakładzie psychicznie i nerwowo chorych wysiedlonych z Polski do Niemiec w r. 1920/21. Był to bardzo duży teren ziemi, lasu i parku ze stawem całkowicie w swojej enklawie samowystarczalny. Była własna gazownia, elektrownia rozległe budnki gospodarcze, kuchnie i wspaniała pralnia. Kaplica duża w osobnym budynku, budynek szpita lny któ ry za naszych czasów kierował dr. Sokołowski bardzo przychylny zwożonym dzieciom. W Wejherowie nie było żadnych dzieci z Kresów tylko w momencie naszego przyjazdu była grupa dzieci przywieziona przez Indie i Rosję. Było nas wg obliczeń książki p. Theissa „Dzieci Syberyjskie” 318 chłopców i dziewcząt. Podział dzieci był następujący: Grupa od lat 17 i powyżej nazywały się „starszynkami” późniejsze uczennice seminarium; druga grupa to od 12-16 lat dziewczęta przed „okresem” - „średniaczki”. (Dziwna rzecz sybiraczki b. późno naogół dostawały t.zw. „okresy”) Trzecia grupa to „maluchy” mieszkali na parterze w naszym dziewczęcym budynku, chłopcy i dziewczynki razem od 5-10 lat, mieli własne dwie wychowawczynie, które jednocześnie prowadziły podstawowe nauczanie na miejscu. Usytuowanie naszych budynków było następujące: od głównej bramy wejściowej na teren enklawy wzdłuż muru po prawej stronie oddzielający obiekt od szosy - szła długa aleja wprost - mijając po lewej stronie zabudowanie gazowni, elektrowni, kaplicy, jakichś innych zabudowań i dopiero przy samym końcu ta droga mijając piękną bukowo-lipową aleję prowadzącą na lewo w głąb parku i otaczającego z północy, na ciągnącym się wzdłuż wzgórzu pięknego lasu - tworzyła drogę zwaną przez nas „deptakiem” „Deptak” kierował się w stronę lasu, gdzie tuż przed ogrodzeniem wpoprzek stał nasz budynek dziewcząt. Rozpisałam się o deptaku - bo jak dalej będzie odgrywał on u nas jedną z najważniejszych metod wychowawczych.

Od nas na prawo stał budynek chłopców a za nim wzdłuż był parterowy z niedużą pośrodku facjatą rozdzielający na dwie części (jakby) dom była słynna „jadalnia”. Hol, wc, mała łazienka dwie identyczne w rozkładzie sale po obu stronach holu. Strona chłopców i dziewcząt. Na górcie na facjacie mieszkała nasza ówczesna przełożona Maria Buglewska

ze swoim 6 letnim synkiem Władeczkim. Była Sybiraczką, przyjechała z nami. Synek wkrótce zma rł na szkarlatynę. Z naszych - nikt.

Sala jadalna na prawo z wejścia (z holu) posiadała małą wnękę: gdzie miała zlew z gorącą i zimną wodą, szafka z całkowitym wyposażeniem gospodarczym jakie jest potrzebne do spożywania tak posiłków jak i utrzymywania czystości. Były również palniki do odgrzewania posiłków przywożonych przez dyżurnych chłopców codzień z głównej kuchni 3 albo i 4 razy jeśli czasami był podwieczorek. Stoły były przykryte kolorową ceratą a wazy i dzbanki z podręcznej kuchni jak nakrycia stołowe obsługiwały dyżurne dziewczynki (po stronie chłopców - chłopcy). Sala była duża - stoły stały wzdłuż - środkiem był szeroki pas pieszy.

Na końcu sali u nas był t.zw. kredens, który obsługiwał tak nas jak i chłopców.

Tutaj przywożono codzień chleb do użytku na dzień bieżący - jak i na rano na I śniadanie do zup mlecznych jak i na II śniadanie dla szkół. W kredensie po lewej stała maszyna do krajania chleba po prawej już przygotowane porcje na dzień następny. Stały również wazy - misy ze smalcem z marmoladą, czasami z kiełbasą, rybą wędzoną i kiszka paszтетową. Takiej Wejherowskiej paszтетówki już nigdy w życiu nie jadłam. Tak dobrej i smacznej. Wszystko to było dowożone przez naszych zawsze dyżurnych kolegów. Praca na maszynie do krojenia chleba (która należała do naszych ekip) była ciężką pracą i często po kolacji zaglądali do nas nasi starsi koledzy - „dawajcie nam pokroimy niedojdy” H. Bereśniewicz, Władek Samojka, Pietuch Jan, Dajnis, Protaliński. Długa aleja lipowa prowadziła do parku gdzie były nasze place gier: kort tenisowy, plac do krokieta i palanta (po rosyjsku przez nas zawsze nazywany „łapta”), siatkówka i mała łódka na stawie.

Pożywienie u nas, tak jak na „biednych dzieci” było b. dobre - tak stwierdzam z dzisiejszej wiedzy żywieniowej. Zupy wszelkie na mięsie, jarzyny, makarony, naleśniki z mięsem jak i na słodko, kapusta z kiełbasą (ukochane jedzenie Niemców i pewnie Kaszubów), ryże z rybami (po japońsku!) kompoty, czasami kisiel, na deser ciasta po kawałku. Do zup był zawsze chleb - nigdy nie byliśmy głodni! Po posiłkach dyżurni musieli znieść naczynia do podręcznej kuchni - sprzątnąć tak naczynia jak salę. Ranne sprzątanie robiły przeważnie „starszynki” jako wychodzące później do pracy - a my do szkoły na 8mą.

Higiena i czystość była przez nas bardzo przestrzegana i aprobowana. Były często wypadki, że ktoś z dyżurnego personelu zwracał się do nas np przy rannym posiłku „dziewczynki Hania Ź. dziś zachorowała kto ją zastąpi wieczorem”. Nie trzeba było powtarzać 2 razy - natychmiast ręce podnosiły się do góry! „Sybiraczki” były pracowite!

Obie strony holu były identyczne w rozkładzie mieszkania. U chłopców nie było kredensu który i dla nich mieścił się u nas, natomiast w tej wnęce nasza ówczesna przełożona p. Marja Buglewska zrobiła kapliczkę. Nastawiła obrazy Serc Jezusowych i Niepokalanych Poczęć, Św. Teresy i Józefów, Krucyfiks i wg chyba Niej najbardziej reprezentatywny widok

grzeszników dręczonych po śmierci w piekle. (pachniało Mielżynem!). Ustaliły się dewocyjne porządki z rana i wieczorem.

Sama p. Buglewska dosyć tęga matrona w gorsecie które nie ukrywało jej tężyzny, w popielatej sukni opiętej od szyi do ziemi niczym płaszczem z przewieszoną lornetką i sznurem srebrnym od zegarka umieszczonym w kieszonce wysoko na piersi sunęła dwa razy dziennie do „kaplicy” poprzez nasze szpalery ustawione po stronie chłopców. Modlitwy były długie - poza zwykłymi doszły jakieś psalmy, które czytała i modlitwy do wszystkich świętych. Doszło do tego, że Buglewska coraz bardziej zapalała się do modlitw i któregoś wieczoru wprowadziła litanie do Serca Jezusowego. Dzieci zmęczone i szkołą i bądź co bądź codzienną pracą zasypiały na klęczkach. Trwało to jednak niedługo. Doktor po przyjeździe spostrzegł te praktyki i całkowicie je zlikwidował. Kaplicę usunięto - modlitwy krótkie rano i wieczorne odbywały się na stojąco przed jednym tylko obrazem głowy Zbawiciela - dzieła Leonarda da Vinci, p. B. opuściła nas -a Jej miejsce zajęła p. Aniela Rogowska (Jej wnuczką jest znana pianistka p. Osińska znana w świecie muzyki dama z ziemiaństwa, z dawnych polskich Kresów. Spokojna, łagodna, melomanka i sama grająca i śpiewająca. Dla Niej znaleziono malutki pokój doktor wstawił fortepian i powstał t.zw. mały salonik w naszym budynku wprost ze schodów. Buglewska była majestatyczna - widzieliśmy ją tylko przy modlitwach, celebrowała rano i wieczorem codzienne modlitwy niczym arcybiskup podczas galowej mszy. Taka polska patriotka z XVIII wieku.

Doktor skasował Kaplicę i wszystkie dodatkowe modlitwy - jak również obrzydliwe metody wychowawcze p. B.: wprowadzone po modłach osobiste publiczne reprimendy za rozmaite nasze „przestępstwa”.

W tym czasie byliśmy już wszyscy objęci rygorami harcerskimi. Tuż przy deptaku na placu przed naszym budynkiem ustawiono słup z ruchomą polską państwową chorągwią - wprowadzono wieczorne „apele” z podnoszoną i opuszczaną flagą. Harcmistrze zdawali relację z przeżytego dnia krótko, odśpiewywaliśmy rotę „Nie rzucim ziemi”. Staliśmy zawsze wszyscy półkolem i codzień był to moment podniosły i ważny. Z ulgą wszyscy przyjęliśmy tę inowację. W niedzielę rano był „apel” z pacierzem i odśpiewaniem „Kiedy rano”. Przede wszystkim Doktor zlikwidował tę tak poniżającą dziecko publicznie podane do wiadomości często mało istotne wykroczenia.

Jakimże przeciwieństwem okazała się p. Rogowska wdowa, dusza artystyczna umiarkowanie pobożna zamieszkała w dużym pokoju obok naszej „średniaczek” sypialni z 3 ką swoich dzieci: Marysią Jadwigą i Jędrzejem. Naturalnie od razu je przechciliśmy na Muszkę, Dziuszkę i Indziuszkę (z rosyjskiego indyka). Nie żyliśmy z nimi. Nie stołowaliśmy się u nas, nie uczestniczyli w naszym codziennym życiu. Poświęcając dużo czasu swoim dzieciom pracowała również bardzo dużo i wydatnie z nami. Stworzyła duży chór - przesłuchując każdą kandydatkę

z osobna. - Byliśmy już trochę przygotowani do uczestniczenia w chórze przez przychodzącą do nas nauczycielkę śpiewu z miasta.

p. Rogowska zajęła się również kształceniem głosów tak kilku dziewcząt jak i chłopców: Dajnisa, obie Cytowiczówny Werę i Ludę. Obie były w latach trzydziestych chórzystkami w chórze Filharmonii Narodowej. Nauczyła nas poza piosenkami neapolitańskimi (które dziś słucham w wykonaniu Pawarottiego) - cudownej Mszy Concona.

Śpiewałam też w chórze w altach. Mszę świętą często wykonywaliśmy w Kościele Parafialnym w Rynku w Wejherowie i innych miastach w Pucku, w Rumii i raz w prywatnym domu wielkiego naszego przyjaciela w sąsiednim z nami majątku pani

Ludzie w Kościołach zadarłszy głowy do góry z zachwytem słuchali tej Mszy. Cudownie śpiewała Janiszewska, Wasilewska obie już wspomniane Cytowiczówny o niebiańskich głosach. Pamiętam do dziś trochę z tej Mszy „Agnus Dei” była to najpiękniejsza partia. Po wyprowadzeniu się Buglewskiej ustały dewocyjne porządki w domu. W niedzielę przyjeżdżał ksiądz i odprawiał w budynku - Kaplica mszę. Kto chciał szedł - a kto nie chciał to nie był zobowiązany a tem bardziej zmuszany do uczestniczenia. Naturalnie ja i kilka innych jeszcze koleżanek przychodziło już pod koniec nabożeństwa skromnie stawało na poboczu trawnika gdyż w samej Kaplicy był tłok. Większość sybiraczek była wierząca i nie ostentacyjnie praktykująca. Na tych Mszach śpiewał nasz chór - Concona i czasami chodziłam go posłuchać.

Odżywianie, świeże jak samo zdrowie powietrze piękna przyroda i otoczenie - szybko wróciliśmy do zdrowia i do równowagi.

Fundament tego całego skomplikowanego życia opierał się na zasadach harcerstwa.

Przez czas naszej rehabilitacji doktor i wychowawcy obserwowali nas - mieliśmy kontrolne arkusze zdrowia i pracy. Zakład poza główną kuchnią i pralnią do bielizny osobistej dorosłej części dzieci jak i pościelowej - nie posiadał dla nas żadnej pomocy. Grupy dzieci zostały zgodnie z ich możliwościami fizycznymi podzielone na zastępy. Przeszkolone „starszynki” objęły zastępy jako zastępowe - najstarsze Jadzia Skapska, Bronia Połubianko i Helena Szymczyk zostały drużynowymi. Taki sam podział nastąpił u chłopców. I więcej tam było drużynowych. Jednym do dziś żyjącym jest Aleksander Bereśniewicz z Gdańska. Z tego materiału t.zn. zastępowych, drużynowych Doktor stworzył tzw. półpersonel, który był dla nas ważniejszym nawet autorytetem niż wychowawcy. Całym magazynem żywnościowym opiekowała się p. Stanisława Strzałkowska (później wychowawczyni) a po Niej, Józefa Feldowa. Sprawy higieny były w gestii Zofii Mikułówny potem Marii Jędrzejewskiej. Głównym harcmistrzem był Jan Wesołowski potem Stefan Szemraj.

p. Strzałkowska była tak jak p. Rogowska z okolic Białej Cerkwi, ziemiańska posiadaczka wdowa na odmianę z sześciorgiem dzieci. Najstarszy był na stypendium w internacie w Warszawie - reszta piątki była chowana z nami. Z rodziną wszystkich Strzałkowskich przeżyłam wspólne troski trzydziestolecia okupacji i PRL. Ze Strzałkowskich żyje najmłodsza Zofia. Przyjaciółka moja sąsiadka w sypialni Hanka zmarła na wyrostek robaczkowy mając 19 lat w r. 1927. Żyją dzieci po Stani-

sławie, Kazimierz i Jurek byli bezdzietni oraz dzieci Zofii. Ciekawą postacią była p. Józefa Feldowa pochowana w Podkowie Leśnej gdzie i ja chyba dokonam żywota. Ta to już była „burżujska obszarniczka” i ledwo z życia uszła z dwójką dzieci straciwszy męża i podobne życiowe okoliczności opisywane przez Zofię Kossak-Szczucką w „Pożodze”. Syn jej był dowódcą wojskowym na Śląsku pełniąc jakąś ważną funkcję w wojsku.

Wracając w 1926 roku z jakiejś inspekcji - samochód zatrzymał się na sygnale przed torem kolejowych - a gdy ruszył sygnał źle zabezpieczony trochę się podniósł a potem opadł na człowieka. Szofer ocalał. Córka z mężem zajęła się gospodarką na niewielkim majątku koło Działdowa i na skutek fałszywych oskarżeń o kolaborację z Niemcami zostali oboje bestialsko zamordowani przez AK. Siostra p. F. była w Podkowie, prowadziła pensjonat i w r. 1946 tu Ją odnalazłam. Kochała mnie i była dla mnie b. dobra przez wszystkie lata aż do r. 1939 gdy Ją z widoku straciłam.

Przywiązana byłam do Niej jak do najbliższego mi człowieka i wdzięczność moja za Jej pomoc w moim trudnym i samotnym życiu trwa po dziś dzień. Zresztą atmosfera przyjaźni i zaufania która panowała w Zakładzie między personelem a dziećmi była jedną z wielu zasług Doktora. Dziś jestem pewna, że niema takich zakładów i niema takich Doktorów

Postać Zofii Mikułówny jest bliska pamięci nawet mojej Córce - a ze mną trwała opieka i przyjaźń przez całe Jej i moje życie.

Ciekawą osobą była p. Marja Jędrzejewska. Przede wszystkim skrypczka. Po wyższych studiach pielęgniarskich ukończonych w Genewie - młoda osoba z niesłychaną „kinder sztubą” dystynkcją, wdziękiem, pogodą i opanowaniem usłyszała gdzieś przypadkiem o Zakładzie w Wejherowie. Zafascynował Ją ten jakiś dziwny twór z „takimi dziećmi”. Odnalazła Doktora i przyjechała do nas. Rozstałam się z Nią w r. 1927 po skończeniu szkoły i opuszczeniu Wejherowa, natomiast odnalazłam Ją w r. 1955 (cały czas szukając!) w Poznaniu. Pojechałam. Nie opiszę naszego spotkania bo nie jestem poetką i nie chcę jeszcze teraz płakać! Była w biedzie - nie zgłosiła się do kombatantów bo uważała że nie po to organizowała służbę pomocniczą w AK żeby z tego później mogłaby mieć jakieś korzyści. Gdzie dziś są tacy ludzie? Otoż takich właśnie ludzi dobierał Doktor do naszego wychowania. Zmarła w Jeleniej Górze u swoich dalszych krewnych, w r. 1980. Byłam u niej przed śmiercią.

Otoż ten półpersonel z gronem opisywanych osób rządziło naszym życiem. Uzgadniano i opisywano nasze obowiązki na ogromnych arkuszach wywieszanych w holu w jadalni. Każde było przez nas zaakceptowane a w razie odmowy podczas rozmów z dyżurnym „półpersonelem” zmieniano nie tylko czas ale i zakres samej pracy. Najważniejsze że w niczym u nas nie było przymusu. To było też zasługą Doktora. W dniu kiedy Doktor przyjeżdżał z W-wy były składane sprawozdania - raporty półpersonelu - drużynowych i wychowawców z przebiegu prac bieżących, postępów w nauce, ogólnego zachowania. Sposób w jaki Doktor rozwiązywał zaistniałe problemy naturalnie natury wychowawczej opiszę później.

Do zakresu naszych obowiązków należało: utrzymywanie czystości i porządku w sypialniach, łazience pokojach szkolnych, korytarzy i schodów. Pastowanie i froterki - do wszystkiego były odpowiednie narzędzia. Własne uporządkowanie odzieży, obuwia i ogólnego ochędóstwa. Utrzymywanie dyżurów w jadalni - kredensie, kuchni pomocniczej, pracy przy rozdziale pożywienia i sprzątnięcie po nim. Gary, talerze sztuczne, kubki, dzbanki, misy i wazy. I tu też było wszystko co potrzeba by móc wykonywać tę pracę. Zlewy, krany, bieżąca gorąca woda. Łazienka i wc w holu. Korytarz na zmianę z chłopcami. Froterka i pastowanie. Wszystko wyłożone pięknym i nowym jak lustro linoleum. Mycie okien wykonywały płatne z Zakładu osoby.

Raz w miesiącu drewniane stoły z usuniętą ceratą trzeba było szorować szczotką z mydłem gorącą wodą. Najlepiej lubiłam tę pracę i pranie - zresztą wszędzie gdzie była praca z wodą tam była zawsze Kryłówna. Tak z mego „rodowego” nazwiska Kryłow zrobiono niezupełnie poprawnie Kryłówna i z Tamary - Halinę. Dyżury były bardzo starannie rozdzielane tak by nie obciążać nadmiarem pracy jedno stanowisko. O ile mnie pamiętać nie myli nigdy nie było z tego powodu nieporozumień - natomiast życie truło kilku leniów. W naszym budynku mieszkalnym (tak zresztą jak i u chłopców) były tzw. uczelnie t.zn. pokoje szkolne do nauki. Każda z nas miała tam swoją szafkę, ogólne nie duże stoliki do odrabiania lekcji a na parterze już opisywany „salonik” p. Rogowskiej, z fortepianem.

Prace nasze były ustalane tygodniowo.

„Maluchy” tak chłopcy jak i dziewczynki byli w jednym gronie i mieszkali w naszym budynku na parterze. Dla starszych było coś takiego jak to dzisiaj mówią „zerówka”. Ale u nas były tam dzieci nawet do lat 10 właśnie złotych naszych zaległych lat i wędrówek. Wychowawczynią była Zofia Sabiłowna i po południu dochodzące z pomocą przy odrabianiu lekcji właśnie dyżurne z listy „półpersonelu”. Myślę dziś, że to była też „dydaktyka” Doktora by nas jakby zreszczać „w rodzinę”. Najbardziej nie lubiłam tych dyżurów. Lenistwo dzieci, czasami brak zdolności i ochoty - złościł mnie. Tłukłam je porządnie i w r. 1992 na spotkaniu w Podkowie te już siedemdziesięciu kilkuletnie starsuszki mówiły mi „a czy pamiętasz Halinko jak nas tłukłaś?”

Każda zresztą nasza grupa „starszynek” „średniaczek” i „maluchów” stanowiła odrębną zupełnie osobowość. Robić z tym doświadczenia już się nie da. I nikt nie odpowie na to pytanie - dlaczego tak różniłyśmy się między sobą. (Piszę głupota - bo wiem dlaczego ale o tem nie warto tutaj się rozpisywać) Pewnem jest że likwidacja Wejherowa legła piętnem na późniejszym życiu niektórych sybiraczek. Do nas dziewcząt należało „opieranie” „maluchów”. I o ile niecierpiałam i nigdy się nie zgłaszałam do „opierania” dziewcząt - to tem chętniej i właściwie przez lata opierałam „maluchów” chłopców. Pranie było prawie rozkoszną pracą. Pralnią była ogromna sala o oknach do podłogi. Za oknami piękny widok drzew. Posadzki kafłowe po których w jakiś dziwny sposób ciągle się saczyła ciepła woda. Ogromne aluminiowe balie z kranami gorącej wody (bez ograniczeń!) Prałam zawsze bosa - naturalnie tara, pełno mydła i cisza. Obok wzdłuż ścian pracowały prasowaczki na olbrzymich stołach - to była najemna praca miejscowych Kaszubek. Często podczas pracy śpiewały swoje piękne ludowe piosenki. Byłam zawsze szczęśliwa

gdy zmaglowane pranie zdawałam naszym dyżurnym którzy po nie przyjeżdżali z wózkiem, aby złożyć to w swoich magazynach.

Wszystkie nasze i chłopców ubrania tak zwierzchnie jak i białe oraz pościelowe było prane w głównej pralni już przez fachowych praczy na dużych maszynach - kotłach stojących zresztą też w głębi tejże pralni. Prace były tak uregulowane, że nigdy z sobą się nie spotykaliśmy.

Drugą chętnie wykonywaną przeze mnie pracą było zmywanie schodów (poddasze i 3 piętra!) Były też wyłożone w jakichś metalowych ramkach linoleum. Po umyciu trzeba było pastować i glansować na „lustro”. Sybiraczki żadna nie chciała wykonywać tej roboty - natomiast ja rwałam się do niej. Feldowa z uśmiechem lustrowała moją robotę i mówiła „Ha-linko kochana ty daleko zajdziesz!” I rzeczywiście los w „robocie” mnie nie oszczędził i daleko zaszłam!

Wszystkie prace były wykonywane w „trimiga”. Wszystkie z małymi wyjątkami lubiliśmy pracować a leniuchy i uchylające się od ogólnych prac były przez nas nie lubiane i okazywałyśmy często w „uczelni” nasze złośliwe wymyślenia ! Ale nigdy nie przyszło nam do głowy przed personelem uskarżać się na nie lub mieć pretensję, że czasem właściwie za nie pracowałyśmy. Były dyżury w bibliotece, w magazynach na poddaszu, raz w miesiącu mycie drzwi należało do nas! O innych pracach opowiem w rozdziale życia codziennego.

Chłopców obowiązki były cięższe. Sprzątanie własnego budynku - tak jak u nas - sypianie korytarze pokryte linoleum - łazienka całe piętro - jedna sala - kaflowa - przez środek sali prysznice niskie - po bokach wysokie. Zawsze było mydło, czyste ręczniki. Połowa „męskiej” jadalni i wszystkie prace na powietrzu, w ogrodzie a było tego sporo! Chłopcy i latem i zimą stawali (naturalnie ci dyżurni!) wcześniej od ogólnego apelu o 6.30, alejki między domami trzeba było zamieść, posypać świeżym żwirem, plac apelowy, trawniki. Zimą przyjemnie było biegnąc do jadalni widzieć odgarnięty i sprzątnięty śnieg z „deptaku” z alejek - nawet aleja grabowa była często pięknie „wypucowana” by móc po niej zimą pobiegać. Śniegi były nie takie jak dziś i zimy w śniegu piszcział y pod nogami. Aleja grabowo-lipowa, gęsta wysoka, ciemna, olbrzymie konary zdawało się sięgały nieba i wysoko łączyły się z sobą. Latem było przewiewnie, a zimą pięknie! Wzdłuż alejek stały ławki i często zapominałam o bożym świecie siedząc z książką.

Do prac chłopców należało przywożenie z głównej kuchni (było nie było trzy razy dziennie) gorące i zimne posiłki! chleb i wszystko do chleba! gracowanie i czyszczenie placów gier i zabaw w parku, żwirowanie alei. Codzienne po społu dyżury na całym obszarze przez nas zamieszkałym pilnowanie i gaszenie w porę światła, likwidowanie (latem) głośnych rozmów z sypialni, sprawdzanie zamknięcia drzwi i przyjmowanie ostatnich raportów od dyżurnego półpersonelu i wychowawców o sprawdzeniu obecności wszystkich mieszkańców. To było takie przyjemne wiedzieć, że jesteśmy pod opieką, że ktoś o nas myśli a może się i martwi!

Tutaj należy przytoczyć przez całe życie przez nas zapamiętany apel dyżurnego Bereśniewicza - miał bardzo wyraźny akcent rosyjski - dużo

plątał słów polskich z rosyjskimi. Raptem wieczorem przy otwartych oknach usłyszałyśmy krzyk Aleksandra „Stuszcie światło, stuszcie światło, bo ono wam siądzie w kącie ugiła za oknem,, zaplącza sia do włosów i jeszcze was udusi”. Chodziło o ewentualny wlot przez otwarte okna nietoperzy!

W tym miejscu muszę jeszcze wrócić do „schodów” i p. Feldowej, by już więcej o tem przestać pamiętać! Ze „średniaczek” poza mną żyje tylko trzy osoby!

Nie mam dla kogo to wspominać - ale serce moje jest w tych wspomnieniach tak o nich wszystkich i o tem jak się tam pracowało. Mycie schodów prawie 4 pięter było bardzo męczące praca ta była zgłaszana na listy „pół personelu” zawsze na ochotnika. Co prawda raz na miesiąc! Co dzień tylko dyżurne lekko przecierały ścierkami. W dzień ewentualnego „mycia” z rana po obudzeniu wpadała do sypialni p. Feldowa i wołała „a która to dziś na schody” (naturalnie po powrocie ze szkoły - po obiedzie!) z uśmiechem i wesoło! Naturalnie japedem zrywałam się z łóżka i jakby bojąc się, że mnie ktoś ubiegnie - w koszuli leciałam do p. F. a cała sala dziewczuch ryczała ze śmiechu! Moje schody zawsze były lśniące! i p. F. otaczała mnie chyba za to, wyjątkową miłością i dobrocią. Broniała moje psoty i wykroczenia przed „półpersonalem” a nawet czasami przed Doktorem! Lubiłam pracować w jadalni przy nakrywaniu stołów, często zastępowałam chorych w „kuchni” razem z Ludką Tyśmieniecką - pogodną, łagodną, dziewczyną ze „starszynek” i kiedy z naszej „kuchni” rozlegał się grzmiący śmiech (obie byłyśmy głośne!) zaglądali do nas chłopcy - pytając „czego tam rżycie?”. Celował w tym mój cioteczny brat Czesław Połubianko - nawet dał mi przydomek „pampuszka” tzn. paczuszko, które mnie doprowadzało do pasji.

Właśnie wtedy w Wejherowie praca stała się dla mnie jedynym „ideałem” życiowym. Broniała mnie w życiu przed wszystkim. Przed uczuciem strachu w czasie wojny, uczuciem samotności, trosk i biedy. Łapałam się za pracę, żeby nie myśleć i to pozwalało przetrzymać mnie najcięższe chwile w moim życiu - wojny, powstanie i okresu lat PRL 1945-1956. Chyba tyle lat się bardzo szarpałam. Praca była moją radością, odpoczynkiem relaksem, zapomnieniem i rygiorem. Szczęściem.

Chciałabym opisać jeden dzień codzienny. Pobudkę podawała Irka Bukowska wychowawczyni - mająca pokój obok naszej sypialni o godz. 6.30. Irka była bardzo wyjątkową osobą. Około 22 lat wysportowana, zawsze uśmiechnięta wesoła buzia - do tego stopnia zżyła się z nami że zaczęłyśmy widzieć w Niej „sybiraczkę”. Była z nami cały dzień i czasami jak w nocy, któraś płakała (w jaki sposób ona to słyszała!) była natychmiast przy naszych łóżkach. Rzeczywiście! czasami niektóre z nas w nocy płakały przez sen! Nie chodziła tylko tak jakby na palcach biegła drobnym kroczeniem. Żywa jak iskra!

Krótką „łazienką” i galopem latem na deptak na 15 min. gimnastyka (a zimą na korytarzu!) Śniadanie - i do szkoły. Droga do szkoły była daleka. Najpierw przez cały nasz teren a potem drogą przez kawałek obok szosy do głównej ulicy Wejherowa, biegnącej od nas do samych najdalszych krańców miasta. Wejherowo rozłożyło się u podnóża niewielkich wzniesień biegnących od końca naszej alei daleko w głąb. Na wzniesie-

niach była pobudowana „Droga męki Pańskiej” i słynęło jako „wejherowskie Kalwarie”. Grupą nigdy nie byliśmy na tej „Męce”. Trzeba było minąć boczną ulicę na dworzec, całą główną ulicę, Rynek - i dopiero była szkoła wydziałowa. Młodzież kaszubska bardzo serdecznie miała stosunek do nas. O tym, że różniliśmy się od nich bardzo, to było widoczne od razu! Nasze skromne śniadania zawsze były uzupełniane przez koleżanki, które dzieliły się z nami - na pewno rodzice szykowały te dodatkowe porcje, bo zawsze były przy nich. Uczyliśmy się dobrze.

Kochałyśmy naszych nauczycieli (pamiętając ciągle o Mielżynie i o siostrze Helenie która nie opuszczała nawet w klasie z rąk pejcza!!!) Byliśmy pracowite, pilne... i szczęśliwe!!! Syte - nie bite - czyste! Wyspane! (Może dzisiejszej młodzieży też by się przydał Mielżyn!) Wracałyśmy gdzieś na 2 - 2.30 do domu. Obejmowałyśmy natychmiast swoje „dyżury” i po obiedzie chętnie brałyśmy się do pracy. Po dyżurach w jadalni - uporządkowaniu sali i pomyciu naczyń - mogłyśmy iść do „uczelni” odrabiać lekcje biec na plac tenisowy lub grać w palanta czytać książki, lub w ogóle czasami po dwie trzy siedzieć zadumane nad stawem. Były dyżury w pralni tak jak już pisałam. Żeńskiej dziecięcej bielizny i męskiej - w której ja byłam specem. Dyżury w bibliotece w dniach jej otwarcia - dyżury z „maluchami” przy odrabianiu ich lekcji - no i najważniejsze dyżury w tzw. szwalni. Zajmowała salę na 3 piętrze, były tam 2 maszyny do szycia i kierowała nami najpierw p. Gryczan a potem p. Wachowska. p. Gryczan była Sybiraczką, która w którymś z transportów przyjechała do Polski z małą 2 letnią córeczką, która obecnie była już podhodowana u maluchów. Na sali zawsze było nas kilka. Każda wybierała sobie pracę, którą lubiła albo którą mogła wykonać! Były hafty wszelkiego rodzaju. Celowały w tym Cytowiczówny i Wróblewskie - nie znam się na haftach do dziś dnia. Pamiętam tylko niektóre terminy: klockowe, angielskie, dziergane, robione „łódeczką”. I była zwykła nauka szycia na maszynie. Trzeba było połatać bieliznę pościelową nas wszystkich, przyszyć poobryznane guziki u chłopców w bieliźnie pościeli, czasami skrócić spódniczkę u dziewcząt, cerować skarpety i pończochy. Nie cierpiałam żadnych haftów, natomiast z przyjemnością łątałam, cerowałam - raz w tygodniu po 2-3 godz. byliśmy w szwalni. Tam nauczyłam się szyc na maszynie i jak wicher łątałam - podarte kolana chłopaków - zawsze chwalono mnie za naukę i pracę często ganiono za język i za uczynki! Chyba przy jakichś bijatykach chłopcy wydzierali sobie guziki, bo tego było najwięcej. Ale z drugiej strony nieraz byłam świadkiem jak przy awanturze natychmiast zjawiał się drużynowy - lub zastępowy - wprowadzał zgodę i porządek. Aleksander B. Demalanus, Samojlis, Połubianko, Dajnis. Nasze „nastolatkowe” awantury a czasami dochodziło do bijatyki zawsze odbywały się w uczelni. Miałyśmy tak jak w łazience tylko większe szafki, książki, jakieś szpargały bo i co miałyśmy? Kiedy ustna dyskusja zaogniła się jedna ze stron likwidowała ją sakramentalnym zaklęciem „jesteś głupia i masz wszy!” Wynałazła chyba ją Gienia Gotowicka. Dlaczego to zdanie stało się bezapelacyjnym końcem dyskusji? Nigdy przeciwniczka po usłyszeniu tego zdania - nie wypowiedziała ani jednego słowa! Zawsze ostrożnie go używano - ale użyte było „święte” Skąd to się wzięło? Wracając do szwalni gdzie uczyły się haftu nasze koleżanki trzeba zaznaczyć, że wiele z nich osiągnęło artystyczne sukcesy. Pani Bielkiewicz urzędowała

wystawy w W-wie prace najlepszych i najpiękniejszych haftów angielskich - a w życiu późniejszym było to czasami jedynym zarobkiem.

Najlepiej wykonane ściegi, które nas uczone - robiono na grubym płótnie - zakończone otoczką z papieru i brałyśmy to sobie na pamiątkę. Któregoś dnia wczesną wiosną 1925 r. obiegła Zakład wiadomość, że p. B. przyjechała i przywiozła z sobą 2 jakieś ogromne paki. Zainteresowanie nasze sięgało niebotycznie. Co to mogło być? Okazało się, że to były bele materiału. Trochę grubszego płócienka - jedno ciemno granatowe, drugie białe w niebieskie i nieszerokie paski.

Powędrowały bele do szatni - p. B przywiozła nam materiał na sukienki na nadchodzącą Wielkanoc! Z warunkiem że wszystko uszyjemy same! No i z szatni prawie nie wychodziłyśmy. Brano miarę na spódniczki ciemne i jasne bluzki na wierzch z małym kołnierzykiem Słowackiego.

Kilka koleżanek chciało mieć spódniczkę na dole z falbaną - p. B. dała zgodę natomiast na inne kołnierzyki - nie ustąpiła. Miałyśmy bluzki wszystkie jednakowe. Kierowniczką szwalni była już p. Wachowska i kilka „starszynek” umiejących już dobrze szyć przystąpiło do pomocy. Ile było radości!! ile śmiechu, ile pracy - odwiedzał nas często Doktor i trochę podśmiewał się z naszej próżności!

Na ranny wielkanocny apel stawiliśmy się wszystkie w nowych letnich sukienkach. Uszytych przez siebie - zresztą b. dobrze! Jakim wychowawczym „trickiem” było to szycie, t e przymiarki, poprawki. Jak to tworzyło z nas „rodzinę”. I to pewno była jedna z metod Doktora. Dziś mam 87 lat - i jaka czułość i wdzięczność ogarnia mnie na wspomnienie Doktora! Jak można zapomnieć te wszystkie przeżyte wówczas chwile! Chodziłyśmy dumnie i oglądałyśmy siebie wzajemnie. Maluchy też dostały nowe ubiory!

W wiele lat potem bo w latach 60 Wera Cytowicz mówi mi „Halina czy pamiętasz, że kiedyś dałaś mi na przechowanie (lata 37) małą jakąś paczkę. Podczas powstania dużo naszych rzeczy wyniosłam na strych łącznie z Twoją paczką”. Rzeczywiście paczka była! Znalazłam w niej wszystkie swoje wyczyny „artystyczne” ze szwalni, dziennik, w którym prowadziłam recenzje z przeczytanych książek (lata 1924-1927) jakieś mądre zdania, które mi się podobały, wiersze Staffa i słowa rosyjskich piosenek słuchanych często całe noce w mieszkaniu Nelli Rodkiewicz (Sybiraczka - przyjechała z rodzicami - przygarnęła Cytowiczówny po rozpadzie Niskiej) pięknej piosenkarki śpiewającej i grającej na gitarze. Dziennik gdzieś mi zniknął - może sama zniszczyłam nie pamiętam ale „artystyczne” wyrob y do dziś posiadam. Jednak do spisywania rosyjskich piosenek powróciłam i próbowałam z pamięci coś uratować.

Toby tyle było o szwalni.

Pozostała biblioteka. Była na poddaszu, z wieloma półkami i chyba tam musiała być za Niemców a może był to jakiś magazyn. Nie często brałam tam dyżury. Było jakby nudno. Książek było b. dużo. Cała polska klasyka, Sienkiewicz, Reymont, Orzeszkowa, Konopnicka, Kraszewski, Mniszkówna, Rodziewiczówna, cała „Młoda Polska” dziesiątki książek Biblioteki Wyborowej książek w płóciennnej „rdzawej” oprawie - literatura francuska, XVII i XVIII angielskie powieści, Balzak, Hugo, w pełnych kompletach. Poezje, których autorów później nawet w antykwariatach

nie spotykałam: np. Edward Słoński, Małaczewski, Rygier dziś już więcej nikogo nie pamiętam - a kilka lat jeszcze temu w rozmowie z jakimś lliteratem sypałam nazwiskami jak z rękawa... Najmłodszy czytali też - albo im czytałyśmy Gomulickiego, Konopnicką wiersze Jachowicza. Tuwima jeszcze nie znałyśmy. Z literatury obcej pamiętam nazwiska Karin Michelis, Grazia Delleda. Jedyną naprawdę „oszołomką” czytania była Kryłówna. Nie uczestniczyłam w tenisie, koszykówce w żadnych grach z piłką.

Początkowo x w grupie raz spóbować w grupie, ale nim spostrzegłam lecącą piłkę już było po niej. Wreszcie dziewczymny błagały mnie „Halinka wyjdź z grupy - niech cię któraś zastąpi - przecież ty patrzysz na jej lot” I rzeczywiście nic z tego nie wychodziło. Łódka na stawie też nigdy mnie nie widziała, natomiast jeśli zbierała się po kolacji grupa „w palanta” to tutaj już mogłam grać do ciemnej nocy. Często dyżurni nie mogli z placu w parku zapędzić nas do sypialni. Czytanie i palant. W sypialni to był nasz intymny świat. Siedziałyśmy wykapane, rozleniwione na łózkach, a po cichu każda sobie coś tam nawzajem opowiadała. Fajtałyśmy nogami, okna były otwarte, las piękny gęsty za oknami zaglądał do nas - w ciszy słychać było czasami łopot skrzydeł jakichś ptaków przelatujących z drzewa na drzewo, błyszcząły gwiazdy. W tej sennej ciszy rozlegał się głos którejś z łózka „Halinka możebyś opowiedziała jakąś romantyczną historię, którą ostatnio przeczytałaś!” Dwa razy nie trzeba było mnie prosić, byłam jak struna napięta natychmiast do opowiadania. Ckliwe, sentymentalne szczegółowo przeze mnie przedstawiane postacie ubrania, mieszkania przeważnie zamki, piękne wnętrza - urodę młodych amantek i adonisów. Do tego wszystkiego upiększała jeszcze te nocne opowiadania moja wyobraźnia. Łóżko moje stało w dalekim kącie sypialni przy oknie i całą sypialnię miałam przed sobą. Czasami słyszałam czyjeś przewracanie się na łózkach, westchnienie, czasami nawet pytania ale ja nic nie słyszałam upojona swoimi wizjami. Jednak razu pewnego usłyszałam... ciszę. Cała sala spała! Na następny wieczór wszystkie przystąpiły do mnie „Halinka! opowiadaj dalej!” Ale to się okazało trudne, bo każda z nich na innej stronicy zasnęła! Musiałam z lekka początek streścić i już dalszą część bez własnych „wstawek” wyobraźni - szybko zakończyć. Było takich wieczorów kilka przeważnie wiosną lub jesienią. Było kilka opowiadań w parku na murawie!! Czasami nawet któraś z wychowawczyń do nas się przysiadła! p. Strzałkowska też często! Osobą o ciekawym (co ja piszę!) ciężkim chyba życiu, z ogromnym magazynem dobroci, czułości i wdzięku była nasza nauczycielka ze „szwalni” p. Wachowska Adriana. Pochodziła z niemieckiej rodziny „von baron ...” osiadłej gdzieś w majątkach na Syberii, w bogatym dobrobycie i spokoju! Rewolucja zmiotła to jednym tchem. Nie znam dokładnie w jaki sposób znalazła się w Petersburgu i jak poznała Polaka Wachowskiego (sądząc z fotografii b. pięknego mężczyznę!) zakochała się i wyszła za męża! 1914 rok zniszczył i jej życie. Polak poszedł na front - pozostała sama z trzema córeczkami! Te życiorysy niczem powielane przez kalkę egzemplarze - przewinęły się kilkakrotnie, przez moje życie! No, to taka piekielna epoka! Nie wiem w jaki sposób spotkali się, czy jeszcze w Rosji czy już jak umierający w Polsce. W każdym razie był wyższym oficerem w Legionach w 1918-1919 r. i może werbował Polaków w Rosji, może robił coś innego w każdym razie wpadł w

ręce NKWD. Był na Butyrkach. Rząd polski w r. 1921 upomniał się o niego - i na podstawie jakiejś wymiany jakichś rosyjskich szpiegów w Polsce - zwrócono majora Wachowskiego ona nosząc z połamanymi nogami rękoma, żebrami... zmarł. Wachowska była z dziećmi w W-wie. Basią, Heleną i Halinką. Przyjechała do nas sama dziećmi opiekowała się „Rodzina Wojskowa”. Były w szkołach i w internatach. Cały jej charakter zdyscyplinowanie, „kindersztuby”, systematyczności został nam przekazany. Na wakacje przyjechały Jej 3 córki z internatów w W-wie. Piękne, rosłe dziewczyny, jasne blondynki z włosami po kolana.

Zakochałam się na śmierć w Basi, najstarszej - romantyczce, marzycielce do tego pięknie śpiewającej. Spędzałam z nią całe dni. A raz w nocy (spała w naszej sypialni) widząc ją wieczorem siedzącą u którejś z Sybiraczek - przyczołgałam się do tamtej pod łóżko! Byłam zazdrosna! O czym to one rozmawiają. Zresztą byłam zazdrosna w „miłości” i dużo kłopotów sprawiałam później swemu mężowi. Och! nie tylko były zmartwienia z zazdrości! Basia nie żyła na ziemi. Żyła Powstaniem polskimi, wygnaniami na Syberii, miłością do Ojczyzny zaczynał się dzień i każde opowiadanie. Prowadziła „ogród jordanowski” w Alejach Ujazdowskich, jeździła z odczytami po całej Polsce z miłości Ojczyzny i patriotyzmie ciągle za małym dla „takiej” Ojczyzny. Miała odczyty w szkołach, które sama przygotowywała i organizowała. W czasie tych podróży spotkała b. inteligentnego chłopca mniej więcej 18 letniego, zdeprawowanego, zblazowanego, pięknego z tupetem bezczelnego. Poznała jego rodziców b. porządnych mieszczuchów - Polaków - katolików przybyśców niegdyś z Niemiec Ditrichów. Otóż raptem wbiła sobie do głowy (28 lat!) a może więcej - że opanuje złe nawyki lenistwa, chamstwa, tupetu tego młodziana. Postępy były b. marne. Rodzice radzili „wydaj się za niego za męża, może wtedy łatwiej ci będzie go upilnować” Basia na to jak na lato! Pobrali się. Dosłownie przed wojną - chyba 1938. Urodził się syn, wybuchła wojna... mąż wstąpił „jako Niemiec” rzekomo rdzenny do S.S. Działał i dodziałał do wizyty AK gdzie go w obecności Rodziców i żony zastrzelili. Czy zastrzelili rodziców nie wiem. Basia została z 2 małymi dziećmi. 4 letniego Rysia i 2 letnią Jadzią. I tu dopiero rozpętała się prawdziwa pasja Boska. Iść w podziemie za tak okrutne sprzeniewierzenie się „Polsce”. Za łotra męża, za zdradę ojczyzny. Wpadła w ręce jednego ze znanych mi dobrze ho Jurka Strzałkowskiego. Syn naszej p. Strzałkowskiej z Wejherowa. Doktor miał z nim kłopoty: został zastępowym i stale w raportach stało: „stale czasami okrutnie bije chłopców swego zastępu”. Zabrali go z harcerstwa, po Wejherowie zgromadził różnych chłopców - został „pedałem” wodził tych chłopców po nękaniu Niemców w drobnych kradzieżach - i doszedł do „Szarych Szeregów”. Okupacja „Sztab” Jego był w Milanówku (gdzie znajdowała się Basia!) Sam siedział cicho w domu - ale chłopcy i wciągnięta Basia „pracowali ku chwale sponiewieranej Ojczyzny” Co robili chłopcy w tym czasie dokładnie nie wiem, ale Basia (bo to widziałam na własne oczy) z teczką pełną granatów, naboju, rewolwerów zostawiając po prostu dzieci same w domu jeździła w różne miejscowości Polski dowożąc, „materiał” ledwie przykryty gazetami do agend AK, Radom, Kielce Skierniewice. Z emfazą, jak wniebowzięta z tą teczką. Skończyło się na strasznych torturach na Pawiaku! Podobno były „niehumanitarne” na noszach do celi wnoszono po przesłuchaniach. Nie wydała nikogo. I co najstraszniejsze: byłam przy jej śmierci! Jechałam tramwajem na N. Świecie do

domu na Żoliborzu! Był rok 1943. Zatrzymano tramwaj, ludzi spędzono na róg N. Świata gdzie kiedyś była kawiarnia „Nowy Świat” (czy jest dzisiaj nie wiem) ja z dzieckiem na rękę. Nadjechała ciężarówka i gestapowcy wyprowadzili (trudno nawet o tym myśleć!) chyba około 20 może więcej nie pamiętam ludzi z zalepionymi czemś białym otwartymi ustami. I Basię prawie czołgającą się (chyba miała złamane nogi!) Sasiad mój zwrócił mi uwagę proszę pani niech Pani nie odwraca głowy, oni nas obserwują - rąbnie panią na miejscu! Zatem patrzyłam. Ustawili na przeciwnym rogu w szeregach podwójnych - frontem do nas - i puścili serję karabinów maszynowych!

Ciała ociekające krwią wrzucili do ciężarówki - odjechali - odjechał również tramwaj! Już w 1935 roku moje spotkanie z Basią było nieporozumieniem. Dawno odeszło oczarowanie - zostało naturalnie oczarowanie jej urodą - ale właściwie zaczęłam się jej bać. Ten nieustanny emocjonalny akcent „miłosny” był mi niezrozumiały i nienormalny. Ale ona nie była nienormalna, to była taka natura! Moja przyjaciółka, z którą w Wejherowie siedząc na łóżku, roztrząsałyśmy sprawy świata - wszechświata, miłości, poezji, przyszłej pracy życia, cnoty i czasami prawdy o świętym Franciszku z Asyżu.

Tak się skończyła moja pierwsza przyjaźń. Ale z całą rodziną do dnia dzisiejszego utrzymuję kontakt.

O Basi są jakieś literackie wspomnienia, ale ja ich nie czytałam. W czasie okupacji wróciła do nazwiska Wadowska - dziećmi zaopiekowała się Jej siostra z własną trójką dzieci. Drugą ciekawą osobą była Maria Jędrzejewska. Nie wiem skąd pochodziła i kim byli jej rodzice. Kończyła psychologię i szkołę pielęgniarską w Genewie.

Poza przydziałowymi pracami często bywałyśmy zwłaszcza jesienią w ogrodzie p. Wagnera. A jakże był u nas duży sad owocowy (niema to jak niemiecka organizacja!) Często pracowałyśmy przy zbiorach; gruszek, jabłek były też brzoskwinie. Był u nas jeden ze „starszych” Janek Piotuch. Miałam 15 lat i z przyjemnością czasami na niego gdzieś w przejściu ukradkiem patrzyłam. Chodziłam niby na przechadzkę w stronę placu koszykówki, był tam, zawsze grał, gwałtowny, głośny trochę rubaszny tak jak dziś już to wspominam - miał ciepłe spojrzenie piwnych oczu, jakiś jakby wewnętrzny lęk - przy tym piękny chód i ruch. Tak jakby rasowy koń. Był rzemieślnikiem i pracował w naszych Zakładach w którymś na terenie budynku zawsze w granatowym fartuchu w suterenie. Czy chodził do jakiejś szkoły? Chyba tak, bo w wiele lat później, gdzieś przed samą wojną szukając go - znalazłam. Był maszynistą. Powiedziano mi, że właśnie pociąg z Piotuchem stoi przed peronem. Poszłam wyjrzał z góry i zaczął się serdecznie śmiać. Spytałam go jak się pracuje „dobrze! gdzie mieszkasz? W Jabłonnie. Cześć Halinko Pampuszku! Muszę już odjeżdżać. Pociąg odjechał i ja jeszcze długo bezmyślnie stałam na pustym peronie w Jabłonnie. W Wejherowie często przyjeżdżał z wózkiem po wypraną bieliznę dla maluchów. Zawsze głośno się śmiał, nigdy nie zaczepiał żadnej dziewczynki, nie tańczył na wieczorkach. Często po skończonym praniu jeśli to była jesień szłam do ogrodu do p. Wagnera i prosiłam go: Panie Wagner niech Pan każe mi coś zrobić, ale nie za darmo. Chcę otrzymać niedużo chociaż trochę jabłek gruszek może coś więcej. Wagner się śmiał na całe gardło (był to b. silny rosły źle mówiący po polsku Niemiec - bardzo dla nas dobry i życzliwy, był wdow-

cem i sam chował swoją córkę Pelasię. Dostawałam różne roboty: a to przebrać wg wielkości buraki a to marchew, za to nadstawiałam swój roboczy fartuch z pralni - Wager szczerze sypał mi na odejście owoców. Biegłam do sutereny do okienka, kuciałam i wołałam „Janek”. Stawał usmolony w oknie a ja sypałam wszystkie owoce przez okno. Pamiętam jego spojrzenie pierwszego razu! Wstępowałam tam jesienią 2 lata. Nigdy nie padło żadne słowo z obu stron, zawsze zawstydzona, ale zdecydowana - uciekałam i z daleka słyszałam jego głęboki, serdeczny śmiech!

„Halinko, coś ty!” Nigdy go więcej nie widziałam, dziś myślę, że jeśli nie zginął na wojnie to pewnie już umarł, przecież wtedy miał chyba ze 20 lat. Tak wyglądała moja pierwsza miłość do mężczyzny. To wszystko też należy do Wejherowa. I oto któregoś dnia w roku 1925 - wiosną podczas pobytu Doktora - wchodzi podczas kolacji na salę i mówi „Muszę wam powiedzieć bo dłużej nie wypada mi milczeć. Jestem z was bardzo zadowolony. Jesteście zdrowe, pięknie gimnastykujecie, śpiewacie, przynosicie dobre stopnie i okolica kwitnie z Waszej pracy. Coś wam się jednak należy. Od dzisiaj (a była to sobota!) będziemy co wieczór się bawić. Czy zgadzacie się, żeby te sobotnie spotkania nazwać „wieczorynkami”. Sprowadzimy z saloniku fortepian i na tę pierwszą sobotę będę wam grał do tańca do godz. 10 tej. Rumor był niesamowity! Chłopcy rzucili się przydzwigając fortepian reszta zsunęła stoły pod ściany, ławy na stoły - zrobiła się porządna sala. Zaczęliśmy co sobota mieć taneczne „wieczorynki” Ale na tym się nie skończyło. Doktora zaczęli zastępować tak chłopcy jak dziewczyny i oto okazało się, że dużo z nas umie grać na fortepianie. Były walce, polki, oberki - chodzony - często na koniec polonez. Grała p. Bielkiewiczowa, Doktor i kto tam umiał! Zawsze oboje byli z nami na tych wieczorynkach - przyjeżdżali było nie było z W-wy! Nie umiałam tańczyć. Siedziałam zawsze w kącie gdzieś między stołami. No i spostrzegł to Doktor „Halinka, jak to ty nie tańczysz - nie umiem Panie Doktorze”. Doktor jak nie ryknie na całą salę „Aleksander do mnie - Halinka nie umie tańczyć, weź no ty ją w obroty”. A Aleksander uwielbiał tańczyć, pięknie tańczył z naszą najlepszą tancerką Werą Cytowicz i chyba musiał być smutny jak zaczął ze mną deptać. Już następnej soboty jako tako ruszałam nogami - i Doktor musiał wszystko rozumieć - „a teraz Aleksander oddaj Halinkę pod opiekę Marysi Hałaburdzin (też dobrze tańczyła) ona dokona z naszej Halinki popisową tancerkę. Aleksander zwolniony z obowiązku a ja szczęśliwa, że będę z Marysią a nie z chłopcem! W mniej więcej spokojnym okresie mego życia w latach 1932-1934 już w karnawale nie opuszczałam żadnej okazji, aby przetańczyć całą noc już w tangach, foxtrotach i shimmy”.

Tymczasem Doktor rozpętywał dalej nasze „wieczorynki”. Po cichu przed całością towarzystwa pracowali basy alty, sopran - i szczęśliwą była p. Rogowska bo materiał był wyjątkowo uzdolniony. Którejś soboty Doktor raptem przerwał granie i mówi „no a teraz siadajcie, gdzie kto może, najlepiej na podłodze (była lśniąca!) i posłuchajcie; Dajnis, Werę, Helę i Janiszewską - oni wam zaśpiewają arie operowe na które, kolejno będziemy Was zabierać do W-wy! Dajnis bas śpiewał „Wierście rycerze, na nic pancerze na nic się tarcze zdały” (nie mam pojęcia co to była z opera!) Wera, Hela - Moniuszki obecnie znane mi już arie z

oper - Janiszewska śpiewała „Ave Maria” chyba Mozarta. Doktor siedząc z nami na podłodze opowiadał krótkimi zdaniami coś o którymś z kompozytorów. To były wstawki, nie żadna nudna gadanina wykładowa. Tak oto wchodziliśmy w świat muzyki. Dalszym etapem objawiła się na „wieczorynkach” poezja. Tu już znaczna ilość dzieci brała udział. dużo Mickiewicza Słowacki (piękny „Testament”) kto dziś z młodzieży wie, że był taki wiersz?) Lechoń (wyjątki z „Mochneckiego”) Brałam i ja („Ja w tej izbie spać nie mogę!) Konopnicką „Chciałabym czasem mieć skrzydła sokoła!” I lecieć nad nasze łąki i pola! Lenartowicza: „O powrocie pielgrzyma”.

Na którąś wieczorynkę uważano, że deklamującym trzeba zrobić jakieś podwyższenie. Niby estradę. Zatem we wnęce gdzie była spiżarnia (po naszej stronie !) zrobić z desek podwyższenie. Jak ona była oparta tzn. na czym te deski trzymały się po bokach - nie mam pojęcia! Ale estrada była. Chwała Bogu, że nie za wysoka! I trzeba trafiać, że na tę pierwszą inowację trafiłam ja. Naturalnie stanęłam na tych deskach dosyć szerokich i z właściwym mi temperamentem „chciałabym czasem” wymachnęłam naturalnie z mocą ręką wzwyż - nogą przytupnęłam i runęłam między deski... na dół. Deski się rozsunęły!!! Chłopcy rzucili się mnie wydobywać z tych desek ale sala ryczała tak ze śmiechu, że cudem nie wyleciały szyby. Już do końca nikt tej soboty nie deklamował, chyba się nawet tańce skończyły, bo utrzymać się nikt nie mógł ze śmiechu na nogach. Długo jeszcze kołatały po korytarzach „chciałabym lecieć”...

W przerwach tańca siedząc na podłodze, chór em śpiewaliśmy wszystkie znane wówczas legionowe piosenki, patriotyczne i najmiłszy nasz „W garnku dziura miły Romku, miły Romku” kilkanaście zwrotek o dziurze i na koniec ostatniej zwrotki - znów „W garnku dziura miły Romku! I to dziewczuchy 18, 16 15 i młodsze! Na lipiec i sierpień przyjechała do nas kuzynka p. Bielkiewicz Zosia Małynicz ze swoim kolegą z Szkoły Teatralnej Szczepanem Baczyńskim (znanym później dobrze w W-wie). Oboje nie tylko brali udział w naszych sobotach ale nas bardzo dokładnie doksztalcali. Deklamatora Mochanckiego - Zosia zapędziła do dykcji i mnie p. B. skierowała do Szczepana też na dykcję. Ona w skrytości ducha zdaje się miała jakieś nadzieje na moją dalszą naukę aktorską (skąd jej to przyszło do głowy!). Ćwiczyłam czasami przy niej „Psalmy” Mickiewicza! Zosia deklamowała Mochneckiego tak, że o mało nie pospadałyśmy z krzeseł, bo w dalszym ciągu wieczorami, siedzieliśmy na podłodze. Zosia nauczyła mnie Staffa „Sosna Wejmuta” „Dziewczyna dziecko zabiła w lesie” i najważniejsze „O szyby deszcz bije!” Wierzyńskiego „Zielono nam w głowie” reszty nie pamiętam. Zosia i Szczepan czytali i mówili często nam po kolacji w sali jadalnej. Naprawdę muszę powiedzieć, że nie dużo dziewcząt zostawało z nami i co dziwniejsze chłopców było więcej. Piotuch też był, ale jeszcze owoców nie było. Nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Doktor często zostawał z nami, opowiadali On i przybysze o aktorach o sztukach w W-wie, o operze, o poetach, o biedzie która nęka Polskę - a u nas Mielżyn już był b. daleko... Często wieczorami Doktor zapraszał do nas p. Jędrzejewską. Pięknie grała na skrzypcach - a ja urywałam każdą wolną chwilę aby czytać bez przerwy o miłości. Płakałam po Trędowatej czytałam ją w lesie - utkwivszy głowę w mchu... Siłaczce, Judymie płakałam po bohaterach Hamsuna, b. dużo czytałam. Doktor często pytał nas „a jak tam w

szkole, może macie jakiś wiersz ze szkoły? czasami był. Mówiliśmy, doktor częstował nas landrynkami. Obchodziliśmy uroczystości z polonezami, z pięknymi wierszami, przez naszych starszych dziewcząt i chłopców opracowane odczyty wszystkich naszych powstań i zwycięstw 1830, 1863, 1920, 1410 i jakiś Kircholm (do dziś dnia nie wiem co tam się działo) Mogłabym teraz zajrzeć do Encyklopedii i napisać co tam było - ale tak nienawidziłam tych uroczystości i opowiadań, że w ogóle nigdy przez wszystkie lata nigdy, nigdy nie słuchałam! Wyłączałam się. Przecież miałam czego uciekać!

Z własnego małego życia starałam się całą siłą zapomnieć wszystkie trupy, hałas karabinów maszynowych, ucieczki, bitwy, gołych, głodnych strasznych twarzy „towarzyszy” wizytujących nasze domy. Ale dopiero po własnym „powstaniu warszawskim” przeczytałam uważnie zaległe powstania - zrozumiałam ich sens i potrzebę pomimo przegranych... jakżeż skrzywdziłam samą siebie w tej rannej młodości... Ale Doktor się rozpedził. Udało mu się wepchnąć nas do świata piękna, zachwytu i cierpienia. Jako coś naturalnego i ściśle związanego tak z urodą przyrody, życia i radości i szczęścia. Dopiero to razem to jakby otworzyło nam oczy. Wszystkie stałyśmy się inne. Doktor nie rezygnował z dalszego budzenia nas. Została zaproszona do pracy i przyjechała p. Górską (Janina) zajmująca się stosowaniem - połączeniem śpiewu, deklamacji i gimnastyki, ćwiczeniom w dużych i małych grupach. Dziwne my byłyśmy dzieci. Chwytałyśmy wszystko jak powietrze, natychmiast wchłaniałyśmy w siebie i wpadałyśmy w rytm tych prac. To były cudowne rzeczy. Półkołem, kołem, w szeregach - w tyralierze! Uczyłyśmy się najpierw wierszy, potem dykcji przy ich czytaniu, omówieniu znaczeń emocjonalnych. W tych ćwiczeniach brały udział „starszynki” „średniaczki” a czasami nawet były maluchy - aniołkami, klęczącymi pastuszkami przy ogniskach, dzieckiem samotnie pozostawionym w izbie.

Wracałyśmy do domu na skrzydłach! I nowe obowiązki w pracach wszyscy chłopcy tak starsi i średniaki też! przy artemetyce - nie zaniedbywałyśmy naszych wszystkich poprzednich prac. Wrzało! Czekałyśmy na wakacje jak na zbawienie, bo ileż to będzie czasu na rytmikę! Ćwiczyliśmy zawsze w parku, albo przed domem na trawnikach. Najpierw wszystkie sceny były opracowywane w domu - później zaczęliśmy się wychylać na świat.

„Ja w tej izbie spać nie mogę”.

„W góralskiej chacie”.

„Żeńcy” „Poszły żeńce w pole żyto żąć!”

zaczynał sopran - a potem chór wielogłosowy powtarzał zwrotkę. „Snuć miłość jak jedwabnik” opracowane razem z Zosią Małynicz. Nie pamiętam tych wierszy od początku do końca. Tyle lat! Ale jedną inscenizację pamiętam całą. Wiele lat w każdym mieście szukałam rozmaitych starych antologii, autorów tzn. poetów ale nigdzie nie natrafiłam na ten wiersz. Po naszych publicznych występach po nim ludzie płakali!

Oto ten wiersz - melodeklamacja

„A gdy na wojenkę szli, ojczyźnie służyć
Wicher wiał im w oczy od rozstajnych dróg,
Niebo się nad nimi zaczynało chmurzyć
Pod deszczową chmurą w polu krakał kruk.
Nikt im iść nie kazał, a wszyscy wiedzieli
za co idą walczyć, komu spłacać dług!
Poszli, bo tak chcieli, bo takie dziedzictwo
wziął od dziada wnuk.
Żony się u strzemion mężów nie wieszały
Matki się nie kładły na ziemi na próg,
Dzieci nie wołały ojców, których w polu
Witał wróg!
Tylko w ciemne noce
kiedy po ugorze szedł z pod ciemnej
chmury głuchy armat huk
Ktoś się cicho modlił w modrzewiowym dworze,
Ktoś w bielonej izbie głową tłukł o próg!”

Były poza melodeklamacją występy solowe Dajnisa - piękny bas, tańce np. tzw. rosyjski taniec z francuskiego „matelot”. Tańczyła go jedna z naszych koleżanek uczennica szkoły baletowej w Błagowieszczeńsku, gdzie ojciec jej był dyrektorem Teatru Opery i Baletu. Matka po rozstaniu z mężem, który nie chciał wracać do polski wróciła sama (b. piękna kobieta) do W-wy, założyła pracownię krawiecką, szykowną i odwiedzana przez dużo eleganckich kobiet - zabrała tak Syna jak córkę (przyjechały ostatnim transportem z Rosji) do siebie do „domu” w r. 1925.

Występowaliśmy w Wejherowie w sali Prusińskiego, w sali parafialnej przy farze w Rynku, w Pucku, Rumii i Gdańsku. Wszędzie zbieraliśmy ogromny aplauz i częstokroć prośby o drugie występy.

Często w tym roku byliśmy „napojone” muzyką do pełna. W sali gmachu szpitalnego był piękny salon. Kto tam gospodarzył nie wiem. Był duży piękny balkon jak zwykle na las - przy nas zawsze otwarty na roścież - dywan na podłodze piękne fotele i najpiękniejszy fortepian. Często latem doktor podczas kolacji zapraszał nas „no które dziś zechcą przyjść do m nie z wizytą na koncert w moim niedoskonałym wydaniu - proszę bardzo - do sali (tak się mówiło) doktora Sokołowskiego naszego lekarza. Smutno dziś muszę powiedzieć a już zupełnie nie potrafię tego wytłumaczyć było nas niewielu. Zawsze Bereśniewicz Aleksander obecnie żyjący w Gdańsku nasz drużynowy Janek Piotuch, czasami Wesołowski obydwie Cytowiczówny Wera i Luda, ich brat Eugeniusz, Kryłówna zawsze. Siadałyśmy na dywanie i doktor nam grał. Przy tej okazji opowiadał nam i o Chopinie i o innych nieznanym nam nazwiskach świata muzyki. To

były wieczory zaczarowane - był piękny park i las za oknami, czasami księżyc - doktor grał po ciemku. Wracałyśmy jak z zaczarowanego pałacu. Przecież nam nikt już nie opowiadał bajek - a rodzinne matczyne już zostały zupełnie zapomniane.

Ale Doktorowi wciąż było mało, rozfiglował się, rozpędził (trochę gwarowo). Zaczął tak na nasze wieczorynki na wszelkie wolne kilkudniowe przerwy w szkole, okresy świąt no i naturalnie najszcześniejsze wakacje zapraszać do nas swoich przyjaciół z W-wy.

Tak jak pisałam pierwszymi gośćmi był p. Małynicz, Zosia jego córka, aktorka, Szczepan Baczyński, aktor. Przybyła p. Kasperska była diva operetki i opery która doksztalcała obie Cytowiczówny, dobrze już starsza pani, syn znanego pisarza G. Daniłowskiego jego syna, który założył tzw. chór Dana o wielkiej popularności w Wwie (przyjechali raz na kilka dni i co wieczór śpiewali nam na wieczorynce!) Danek tak go nazywaliśmy grywał z chłopcami w piłkę w tenisa łazili po lesie i pięknie gwizdali. Był p. Szukiewicz jakiś młody pisarz i p. Szukalski b. dziwny rzeźbiarz, który z byle jakiej gałązki robił piękne „wygibaszy”, które wieszaliśmy u siebie w pokoju uczelni. Ale najbardziej godnym gościem tak jak Go przedstawił nam Doktor był Artur Górski. Już niemłody a może schorowany, ponurak, milczek, zawsze bez uśmiechu. Na oko nie znał chyba uczucia radości. Doktor podszedł do mnie i powiedział „Halinko, podobna obcytana jesteś na pamięć - oddaję pod twoją opiekę naszego gościa. Porozmawiaj z nim pokaż mu nasz piękny park, opowiedz co czytasz, co ci się podoba - i co nie on ci dużo ciekawych rzeczy powie”. Goście zwykle wszystkie posiłki spożywali razem z nami w jadalni. Zawsze po śniadaniu (a były to wakacje!) podchodziłam do p. G. i prosiłam go na spacer po naszym parku. Ze smutną miną (chyba był do tego melancholik!) szedł ze mną. I zaczynałam gadać. Pamiętam, że któregoś dnia podczas moich „wynurzeń” zaczął się nareszcie i to dosyć głośno śmiać. Od tego czasu zaczął sam mnie szukać jeśli nie byłam blisko. Długie lata korespondowałam z nim, miałam piękne listy od wielu ludzi - wszystko zginęło w 1939 r. Moje listy fotografie, świadectwa. Z Zosią Małynicz utrzymywałam telefoniczny kontakt prawie do Jej śmierci.

p. Wielhorski skrzypek - już po opuszczeniu Niskiej często Doktor odszukiwał nas i zapraszał do Wielhorskiego na Marszałkowską. Żył samotnie, pięknie grał na skrzypkach i naturalnie często opowiadał o ludziach z tej branży. Przyjmował nas tzn. obie Cytowiczówny, Gotowicką, Mazurównę i mnie podwieczorkiem i małymi ciasteczkami. Zdaje się że nie miał większego wzięcia i po wielu latach dowiedziałam się, że był „homo”. Bywało więcej ludzi ale nazwisk ich już nie pamiętam. Tak upłynął rok 1925 w poezji i muzyce.

No, ale za to rok 1926 był rokiem obozów. Zaczął się ten okres przede wszystkim wielkim marszem i jednodniowym pobytem nad jeziorem Żarnowieckim. Duża grupa tak dziewcząt starszych i średnich, chłopców wzięła w tym udział. A tymczasem Doktor sprowadził harcmistrzów ze znajomością żeglarstwa, część chłopców przydzielił do prac w obozie na Helu. Szykowały tereny na namioty, kopali rowy które były ławami na stoły z desek, przeciągnięte wzdłuż itp. Mało o tym wszystkim wiem.

Nie byłam na Helu w obozie ani razu. Doktor był strasznie zdziwiony - ale Jego metodą nie był najmniejszy przymus nas do czegokolwiek, i jeśli którekolwiek nie chciało wykonywać przeznaczonej pracy lub brać udział w organizowanych działaniach - wysłuchiwał odmowy delikwenta. Usiłował namówić, ale efekt pozostawiał samemu dziecku. I nigdy z tego powodu nikt nie miał najmniejszych wymówek. Pozostałam prawie sama w domu, z częstymi wizytami p. Górskiego, który po powrocie z Helu u nas odpoczywał. A na Helu instruktorzy uczyli pływać, żeglować, kierować łodziami. Sybirakom to bardzo się wszystko podobało! Luda Cytowicz ta młodsza o pięknym alcie przepłynęła z Helu do Gdyni i robiła furorę! Dookoła było kilka łodzi kontroli.

Po tak wspaniałym wyczynie Ludy C. w Klubie Żeglarskim w Pucku był wielki „jubel” Przewodniczyli przedstawiciele Klubu, harcmistrz „Obozu Dz. Syberyjskich” Antoni Gregorkiewicz oficjalny nasz opiekun harcerski, Doktor Jakób Klewicz, Aleksander Bereśniewicz już wtedy wykazujące wielkie uzdolnienie żeglarskie, żeglarka - półpersonel nasz Jadzia Skapska (obecnie w Anglii od r. 1946 zamężna za znanym dziennikarzem angielskim pochodz. polskiego Truszkowskim, po wojnie o zmienionym nazwisku Truscoe). Naturalnie w Pucku byliśmy wszyscy z występami solowymi, eurytmiką, jak zwykle śpiewaliśmy już na otwartym powietrzu wszystkie pieśni łącznie z włoskimi „Santa Lucia” i jak byłam głęboko wzruszona słysząc raz w TV występy Pavarottiego z tą samą piosenką! „Płyn barko moja, pogoda sprzyja, niech nas prowadzi Święta Łucyja!”

Do dziś dnia w wielkim stylu żeglarzem i instruktorem żeglarstwa na Politechnice Gdańskiej był Aleksander Bereśniewicz kapitan Żeglugi Wielkiej, tak też wychował swoje dzieci. Córka Ewa chociaż jest czemś tam znanym z informatyki jest też kapitanem Ż. Wielkiej. O Obozach myślę, że dużo musiał napisać p. Theiss. Aleksander żyje chociaż ma już lat 90 chyba z hakiem dopiero 2 lata temu skończył wszystkie swoje poodróże na szkolnym żaglowcu Politechniki po wszystkich oceanach. Mieszanina narodowościowa była u nas ogromna. Najwięcej było Polek z Rosjanami i odwrotnie. Mało było Ukraińców z Polkami Chińczyk z Polakami, jakiejś mieszanek Eskimoskiej z Polakiem, był jakiś Sandro Piotr, z którym jak opisywałam w Mielżynie, „trułam te piekielne zakonnice”.

Nie znam wykroczeń tzn. wszystkich, bo niektóre to były nam znane i które we własnym zakresie tępiłyśmy. Przeważnie były to kradzieże z naszych szafek w uczelni. Znałyśmy te złodziejki i w sypialni robiłyśmy im awantury i dawałyśmy dowody, że o tym wiemy. W późniejszym życiu kilku Sybiraczko m przewróciło się w głowie. Doszukiwały się hrabiowskich pochodzeń, wystawnego bogatego życia na Syberii itp. Było tego 2 wypadki. Kochały mężczyzn o znanych nazwiskach w W-wie jak np. rodzina Popławskich i chciały zlagodzić swoją obecność w „zakładzie”.

Już na wiosnę 1926 r. zaczęły się przygotowania do obozu w Helu. I tak jak wszystko u Doktora zaczął najpierw poprzez trudne i długie marsze do wypróbowania sił dzieci do wysiłku, który czekał w obozie. Były zatem małe obozy w Pucku (wiosenne wakacje) marsz do Jeziora Żarnowskiego czy Żarnowickiego - nie pamiętam - nie brałam żadnego udziału

łu w tych przygotowaniach. Starsi chłopcy tzn. Domalanus wysoki strojny chłopiec o bardzo dużych pięknych, smutnych oczach, A. Bereśniewicz, Dajnis, Piotuch i inni wyjeżdżali z Grekorkiewiczem na rekonesans na Helu w celu znalezienia odpowiedniego placu na nasz obóz. Wszystko to robiło wrażenie jakby jakieś „plemię” szykowało się do wojny. I nareszcie nadeszły wakacje. Wszyscy wyjechali na Hel. Byłam tam tylko raz na jakiejś uroczystości. W ziemi były porobione ławy, poprzez wykopanie dołów dookoła kwadratu ziemi, który służył za stół. Namioty, organizacja całego życia codziennego i woda. Pływanie gimnastyka, rygor żeglarski, łodzie najpierw a później żaglówki.

Tam dopiero bywało dużo gości z całej Polski - wszyscy zainteresowani tymi jakimiś dziwnymi „dziećmi”. Doktor spotkawszy mnie na „deptaku” spytał „No a ty Halinko może zechcesz pojechać z nami?” odpowiedziałam Panie Doktorze, nienawidzę wody chyba tylko w łazience! Spojrzał na mnie zdziwiony. Nigdy nawet jednym słowem nie stosował żadnego przymusu w stosunku do nas. Zostało na s kilka osób. Nareszcie czytałam, często byłam w szwalni, było dużo zaległej pracy „krawieckiej”. Chodziłam do lasu, nad staw. Często goście jak np. tak Z. Małynicz jak i A. Górski byli zmęczeni jednak spaniem w namiotach i spacerach po Helu - wracali do Wejherowa. Wtedy my pozostawione z p. Strzałkowską, Feldową - opiekowałyśmy się przybyszami. Karmiliśmy poiliśmy a oni dobrocią i serdecznością, a Zosia codzienna deklamacją umilała nam życie. Obok naszego budynku stała taka dziwna altana - wysoko postawiona miała kształt okrągły, dach - myślę, że było to miejsce za czasów niemieckich dla orkiestry tych chorych ludzi, którzy tu mieszkali. A my całe wieczory spędzaliśmy w tej altanie. Zosia nazywała mnie „Gałuszka”! Mnie Doktor przedstawił p. Górskiemu „A oto nasza pożeraczka książek”! Miałam również adoratora! Był nim starszy chłopiec ułomny i trochę niedorozwinięty. Chodził podczas tych wakacji za mną jak pies. Ryńkiewicz - nie pamiętam imienia. Jedno biodro sterczało do góry - przeciwne ramię padało na dół! Był brzydki zawsze jakiś brudny, tłuste włosy opadały mu na twarz pełną okropnych wągrów od których zalatywał nieprzyjemny zapach. Jak tylko zobaczył mnie siedzącą samotnie gdzieś na ławce, natychmiast przykustykiwał i wyciągał zawsze noszony z sobą zeszyt zapisany jego wierszami. Obowiązkowo mi je czytał. Były pisane ni to po polsku ni to po rosyjsku jakimś slangiem - skąd pochodził. Dużo a właściwie nic nie rozumiałam. Pewnego razu dopadłszy mnie w jadalni powiedział: no a teraz dopiero zobaczysz jaki piękny wiersz napisałem”. Było to coś długiego i stale jeden refren „finti - la chołodno - finti - la żarko”. Widzisz to o tej maszynie co stoi na ścianie i daje nam zimą ciepło - prawda jak dobrze pomyślane tylko nie wiem jak ona się nazywa, tak jakoś bardzo trudno!!! Miałam już od młodości szczęście do wariatów tak jak pokaże dalsze moje życie. Z chłopakami w ogóle się nie zadawałam i nie chodziłam parami po kolacji w alejach. Dziś nikt już z tych par nie żyje. Pomimo moich często niepočetalnych postępów i zachowań - wiedziałam bo czułam że mnie jednak wszyscy tak wychowawcy jak i ten nieszczęsny półpersonel, któremu czasami dokuczałam i doprowadzałam do płaczu jak np. M. Wasilewską moją najpierw zastępową a potem drużynową. Była to b. delikatna i dobra koleżanka.

Sala p. Prusińskiego na głównej ulicy Wejherowa znana była i we wszystkich otaczających dookoła osiedlach jak Rumia Chylonia itp. Była duża i mieściła się przy „Gospodzie pana Prusińskiego”. Wszystkie okolicznościowe obchody rocznic, w esela, wizyty urzędowe z Gdańska, narady i bankiety kupieckie, bale w karnawale i występy eurytmiki „dzieci syberyjskich” też tam się odbywały. Po Mszy św. w Farze w Rynku z udziałem naszego Chóru p. Prusiński, kiedy tłum ludzi (razem z nami) opuszczał kościół i tłoczył się przed Kościołem obcałowywał ręce p. Rogowskiej dziękując za ucztę jaką dostarczyliśmy modlącym się. Ona zawsze zmieszana obracała się do nas i mówiła „p. Prusiński proszę dziękować tym dzieciom - to jest ich zasługa”!

Pomny tego p. P. co pewien czas (2 razy!) przysłał kilkanaście biletów do kina - i po raz pierwszy byłyśmy zawsze oszołomione przez kilka dni! Ale doszło i do tego, że przysłał bilety na objazdową na pewno operetkę chyba z Poznania z „Hrabinią Maricą”. Kino i Operetka zrobiły na nas kolosalne wrażenie i długie były nasze dysputy na te zdarzenia. Mieliśmy zatem dużo przyjaciół tak w Wejherowie jak i w okolicy. Nie tylko „przyjaźnią” żyli „dzieci”. Największą naszą adoratorką i opiekunką była w niedalekim od Wejherowa właścicielka dużego majątku p. Żyliczowa. Zajeżdżała do nas czasami nawet pozwalano Jej wjeżdżać na sam teren Zakładu i w lekkim powoziku zajeżdżała przed naszą jadalnię, a po chwili chłopcy pewnie z wozu przy szosie tarabanili wózki worków z owocami! Często bywała na naszych wieczorynkach gdzie poznawała naszych gości, tak okolicznych nauczycieli Wejherowa a czasami nawet Gdańska, Często też u nas bywał prof. Urbanek szeroko znany działacz społeczny i chyba polityczny i słuchał poezji wygłaszanych przez Zosię Małynicz, Baczyńskiego i Henryka Ładosza. Henryk Ładosz, Jan Wesołowski i kilku innych, których nazwisk nie pamiętam wszystko to byli młode lewicujące towarzystwo z budującego się wówczas warszawskiego Żoliborza. Wesołowski pozostał z nami jako naczelny harcmistrz aż do rozpadu Wejherowa i z nim też utrzymywałam później w życiu serdeczne i rodzinne stosunki. To było jak już w wiele lat później poznałam trochę lewicujące trochę bohema. Wesołowski był „żonaty” 6 razy drugi raz nawet z jedną „starszynek” sybiraczką. Nie utrzymało się długo to małżeństwo! Oboje z Ładoszem, który też romansował niemało! byli czarującymi z dużym humorem, wdziękiem, dobrocią i życzliwością dla ludzi „szalapatami” Spędziliśmy z nimi niezapomniane zabawy, wycieczki harcerskie, ogniska w lesie deklamacje i tańce! Nawet w czasie okupacji Wesołowski raz wpadł do mnie z jakąś młodą osobą „proszę Cię ukryj ją jakoś ja się „pozbięram” (znaczyło to, że odprawi ówczesną „żonę”) a ojciec ją goni! Boże! co to byli za wspaniali „chłopcy”. Starczyło im czasu by pracować w Podziemiu, przynosić do mnie skrzynki z amunicją „do schowania” założyli żoliborski Teatr dla Dzieci kukiełkowy „Baj”. I przy tym też pracowali u nich nasze sybiraczki!

Piszę o tym może za dużo! Ale ja tak pragnę zachować w pamięci tę atmosferę i wejherowską i późniejszą tych ludzi! Widzę ich i pamiętam po dziś dzień. O Ładoszu jak również są jakieś opracowania pewnie w literaturze „teatralnej” w prasie lat międzywojennych było tego dużo.

Ważne i jedynie specjalnie dla mnie były metody wychowawcze Doktora.

Nie mnie osądzać Doktora czy miał słuszne metody wychowawcze i pedagogiczne. Nie wiem czy odbył jakieś studia w tej materii (myślę, że nie!) był lekarzem. I nas kochał. To była jego metoda - metoda miłości i czułości do nas. I jakiejś mądrej cierpliwości, taktu.

W naszej kuchence był zwyczaj, że czasami podczas wieczornego smarowania chleba na śniadanie i na II do szkoły, zostawało często naddatek szmalcu. Smarowaliśmy wówczas chleb podawany do obiadu. Na jednym końcu sali stała nasza „naczelna druhna” Jadzia Skapska z półpersonalem i obserwowali salę. Tak było przyjęte. A na drugim końcu (duża sala!) Kryłówna dyżurna rozkładała chleb na stołach! Raptem do mnie podeszła „półpersonalowa” i powiedziała „zdaje się, że na swoim i wybranym sąsiednim stole - rozdajesz specjalnie wybrane kawałki chleba!” Kosze (2) stały obok mnie - dopiero zaczęłam rozkładanie chleba! „Wobec tego poczekaj chwilę za nim zamiast mnie kończyć pracę”. I zaczęłam ciskać pajdami chleba przez całą salę na stojącą Skapską i jej towarzyszkę. Mierzyłam w nich ale chleb czasami padał na podłogę, na stoły, między! Wyrzuciłam jeden kosz, złapałam drugi - i też go opróżniłam w ten sam sposób. Nikt do mnie nie podszedł - nie odpędził od tych koszy! Kiedy kosze zostały opróżnione powiedziałam głośno „No a teraz możecie sprawiedliwie podzielić chleb” I wyszłam z jadalni. Na obiad nie poszłam. W uczelni któraś mi mówi „Halina! doktor prosił, żebyś przyszła na alejkę - on ciebie tam czeka”! Poszłam. Wstał, objął mnie ramieniem i poszliśmy spacerować w alejkę. „Czy wiesz, że jesteś naszym największym utrapieniem?” Wiem!. A dlaczego utrapieniem, to ci to zaraz wytłumaczę! Rozumiem, że poczułaś się niesprawiedliwie osądzoną. To było słuszne! Ale reakcja twoja była jak najbardziej niesłuszna! Znasz doskonale wartość chleba a rzucać go jak śmieć po całej sali Halinko to było coś okropnego, co mogło spotkać chleb! Gwałtowność reakcji twojej jest znana. Złość i nienawiść do koleżanki wzięła w tobie górę! Wywarłaś ją na chlebie! Ale wierzę, że nie tylko umiesz miotać się zła i wściekła! Jest w tobie tak jak w każdym z nas poza złością i wściekłością - dobro i potrzeba piękna! Wiem, że żałujesz i wstydzisz się. Wierzę w ciebie (podkreślał to tak mocno, że dziś 88 letnia kobieta z drżeniem serca, z niezgłębioną wdzięcznością czcąc Jego pamięć!) i proszę obiecaj mi, że będziesz pracować nad sobą. W chwili wybuchu pomyśl sobie, że ja chcę być z ciebie dumny!” no a teraz biegnij! Gdyby było w dzisiejszej Polsce więcej takich wychowawców myślę że niepotrzebne by były poprawczaki!

Krew mnie zalewa, gdy czytam te wszystkie „mądre” recepty na leczenie młodzieży, pedagogów, wychowawców prześcigających się między sobą w wymyślaniu coraz to „nowych metod” wychowania! W żadnej z nich nie przeczytałam słowa „miłość”. Nie psioczę na komunizm, ale rzeczywiście „wyprali” ludzi z uczuciowości a słowo „miłość” wyrugowali ze wszystkiego.

Był wstęp do większego przeżycia!

Zawsze wracałam główną ulicą Wejherowa do domu inne często szły „Kalwarią Wejherowską” przez las. Zatrzymywałam się przy wystawach i przy swoim nieumiarkowaniu wrażeń najlepiej się czułam przy wystawie z butami. Był rok 1924 jeszcze chodziłyśmy w drewniakach, chociaż niektóre już miały buty! Buty to było marzenie nas wszystkich! Niektóre przez Ambasadę otrzymywali drobne kwoty pieniężne od nawet dobrze za-

możnych rodziców i mogli sobie kupić buty. Zresztą rodzice wszyscy powrócili do Polski, jeśli nie zdążyli umrzeć! Stojąc przed wystawą nie mogłam siebie opanować, zresztą w ogóle o tym nie myślałam! Bardzo bym chciała mieć buty! Mruczałam pod nosem zachwalałam białe „łódeczki”, chwaliłam z zachwytem lakierki takie, siakie i owakie, dużo tego było na wystawie, ganiłam jakieś półbuty z trochę wysoką cholewką zapinaną na boku przez trzy białe guziczki. Później w W-wie na głos ryczałam ze śmiechu, kiedy takie same zobaczyłam. Stałam jak zaczarowana i gadałam już dobrze głośno! I obróciwszy się raptem zobaczyłam stojącą przed sobą dziewczynkę ze zdziwieniem się przysłuchującą się moim recytacjom. Była wysoka, w moim (dokładnie) wieku ruda z lokami, o olśniewającej białej cerze!

Sukienkę miała białą w czerwone grochy taką samą kokardę we włosach a przy niej stał biały szpic na smyczy też z piękną taką samą jak jej sukienka!

Patrzyła na moje drewniaki i kalecząc język polski spytała „chciała-bys mieć buty?! Z ochotą odpowiedziałam, że nawet bardzo bym chciała. „To wiesz co idziemy do mojej mamy, a ona tobie natychmiast kupi buty!” Oprzytomniałam. Powiedziałam, że i tak jestem spóźniona na obiad i muszę już uciekać. „Proszę cię bardzo może jutro spotkasz się ze mną o tej samej porze tu przed sklepem? Ochoczo odpowiedziałam „Dobrze jutro się tutaj z tobą spotkam. Byłam b. zaciekawioną tą dziewczynką, pięknie ubraną, elegancką z pięknym do tego psem! Żadnej koleżance o tym spotkaniu nie powiedziałam. Na następny dzień zobaczyłam przed sklepem piękną panią z dziewczynką. Była brunetką o trochę już jakby ociężałym ciele tzn. trochę tłusta, pięknie ubraną, w kapelusz (wtedy była moda takie szerokie duże kapelusze!) przywitała się ze mną i też trochę kalecząc język polski powiedziała mi „chodź ze mną do sklepu wybierzemy pantofle”. I wybraliśmy śliczne czółenka na płaskim obcasie w kolorze beż. Trzymałam je w ręku nie wierząc własnym zmysłom. Mama poprosiła, żebym poszła do nich na podwieczorek ale zaczęłam się bać. Przyznałam się, że jestem tu z Zakładu Dzieci Syberyjskich i bez pozwolenia wychowawczyń nigdzie nie mogę oddalać się od domu. Nikt nam o tym nie mówił, niczego nie zabraniał, bo nikomu do głowy nie przyszło, że nas może coś niedobrego spotkać. Pożegnaliśmy się. Mama i córka nic nie mówiły. Wróciłam z paczką do domu. Trzeba trafu od razu spotkałam p. Rogowską, było już po obiedzie! Spytała co ni osę, gdzie byłam a ja z emfazą, z radością posiadania tak pięknych pantofli w samych zachwytach nad Matką i córką (nie podejrzewając reakcji p. R.!) opowiedziałam o spotkaniach i kupnie. P. R. była wstrząśnięta „Ale co to są za ludzie, czy prosiłaś ich o to kupno? Nie prosiłam sami dali. Halinko dziś dostałam właśnie list od doktora, z prośbą o samochód do pociągu - doktor dostał b. dużo obuwia dla chłopców i dziewcząt. (Był koniec roku szkolnego 1924!) Nie ubieraj się w te buty, schowaj je do szafki poczekajmy do doktora! Posłuchałam ją i wstawiłam buty do szafki. Wszystkie Sybiraczki nie mogły wyjść ze zdziwienia i niektóre nie wierzyły mi że nikogo o nic nie prosiłam.

Na następny dzień miałam dyżur w pralni i byłam jak zwykle b. zadowolona. Raptem wpada Nelka i krzyczy Halinka natychmiast idź do Holu coś tam się dzieje niesamowitego, p. R. cię woła! wdeptuję mokre nogi

w drewniaki, w trochę mokrej sukience „leciem” do holu. I raptem staje osłupiona obok p. R. stoi dorodny już siwiejący piękny pan marynarki handlowej z medalami na mundurze, uśmiechnięty trochę rubasznie, obok niego pani i dziewczynka. Przedstawiają się p. R. „Jestem komandorem statku Stanisław Łabęcki moja żona Olga i córka Halina - po rosyjsku Galina. Słyszeliśmy o Zakładzie i jesteście zadowoleni że z taką dziewczynką zaprzyjaźniła się nasza córka. My z żoną często wyjeżdżamy w rejs a ona zostaje ze służącą. Teraz będzie miała towarzyszkę. p. R. wytłumaczyła, że mogę być tylko od czasu do czasu, bo uczę się i mam dużo obowiązków w domu. Chcieli od razu wziąć mnie z sobą, ale ja odpa-
liłam „nie mogę dziś iść z państwem, bo muszę skończyć pranie!” p. R. zastrzegła, że o każdej wizycie chce wiedzieć i że muszę się temu podporządkować. Obiecałam. p. St. Łabęcki był Polakiem w carskiej służbie na morzu. Ona była Rumunką.

Halinka знаła rosyjski, rumuński i francuski - słabo polski. Nie chodziła do żadnej szkoły. B. dużo czytała. Była miłą i serdeczną koleżanką. W służbowych rejsach męża p. Olga często z nim wyjeżdżała. A ja po obiedzie pędziłam do Halinki. Opowiedziałam Im o Mielżynie o moich „przechcinach” o moim prawdziwym nazwisku i imieniu Tamara Kryłowa p. O. załamała ręce: jak to możliwe, żebyś ty Rosjanka zapomniała swego rodzowego języka? Zaczynasz się u nas go uczyć! Z nią i córką zaczęłam rozmawiać po rosyjsku - ojca prawie nigdy nie było w domu - od p. Olgi zaczęłam brać z sobą rosyjskie książki. Podczas pobytu ojca zabierał często (meldując p. R.) mnie na całą niedzielę - jeździliśmy do Gdańska do restauracji na pyszne obiady, chodziłam z nimi na koncerty do Parku! I byłam bardzo dumna gdy marynarze salutowali p. St. Był rok 1925 największy rok moich wrażeń, wzruszeń i przeżyć. Bo Zakład zawsze był u mnie na I miejscu. Tak to szło. p. Olga zaopiekowała się mną po opuszczeniu szkoły o czym piszę w następnych zeszytach. Myślę, że dobrze będzie jak tu zakończę tę przyjaźń.

W r. 1927 kończąc szkołę wracałam od p. Ł. z dużą książką rosyjską, Lwa Tołstoja. Wchodząc do uczelni na progu stała nowa nasza wychowawczyni (o tem potem!) tłusta spasiona morda, martwy wyraz twarzy - u pasa przy sukni pęk duży! kluczy. Objąć ręką nie mogłam. A skąd to panna wraca? Wracam z miasta z wiedzą p. R. A to co? I nim zdażyłam zareagować złapała książkę - otworzyła i rozdarła się „A to dobre sobie kacapskie książki czytasz i p. R. zapewno ci na to pozwala - to w polskim zakładzie wychowawczym kryją się takie kacapskie typy! Za polskie pieniądze i coś jeszcze było ale już nie pamiętam... Wyrwałam pęk wiszących kluczy u pasa, cisnęłam babę jak piłką na podłogę, siadłam na niej okrakiem i waliłam z całej siły po głowie, po twarzy, po pierśsiach - zasłaniała się rękoma, widziałam coś czerwonego ale waliłam i waliłam!... Z uczelni która była tuż obok na hałas wypadły dziewczyny, naturalnie były to chwile - najpierw patrzyły co się dzieje a potem rzuciły się mnie ściągać z p. Laskowskiej. Niech będzie wspomniane jej nazwisko! Babę odprowadzono do łazienki, bo były już w grupie starsze nasze drużny! A ja stałam w grupie naszych średniaczek i pierwszy i ostatni raz trzęsłam się jak osika i szczekałam zębami!

W dwa dni później przyjechał doktor z p. B. Laskowskiej nie widziałyśmy. Dziewczyny zachowywały się spokojnie i wydawało mi się, że tak

jakby cieszyły się, że nareszcie baba dostała. Była ponurą, głupia figura!

Trzeba pamiętać, że był to już rok 1927!

Wstyd przyznać, że dopiero teraz 16.2.98 roku wzięłam do ręki pracę p. Theissa otrzymaną od niego w r. 1991! Celowo jej nie czytałam. Bałam się, pisząc swoje wspominki zacząć „niechcący” czerpać z jego zdobytej wiedzy od innych członków. Zmiany życia naszego na przełomie grudzień-styczeń 1926/27 był dla nas widoczny. Ale my „dzieci syberyjskie” nigdy nie miałyśmy w zwyczaju omawiać jakieś nasze ogólne sprawy ani pojedynczo ani razem.

Wszystkie nasze najlepsze opiekunki i przyjaciółki wyjechały pp. Jędrzejewska, Wachowska, Feldowa, Bukowska, Mikułówna (z którymi całe moje życie późniejsze a nawet mojej córki było z nimi związane) opuścili nas starsi chłopcy po zawodówkach (mój Piotuch Janek!) dziewczynki „starszynki” po seminariach nauczycielskich i ochroniarskich, tak jakby i żywienie nie tyle gorsze, co mniejsze się zrobiło! Dopiero Theiss napisał te wszystkie niecne „rozmowy” w stosunku do tych dwojga ludzi, którym my zawdzięczamy życie! Zresztą Polacy rzeczywiście zawsze niszczą sami siebie.

Przyjechały nowe „wychowawczynie”. Muszę je tutaj opisać bo później już nie będzie okazji o nich myśleć!

1. p. Kulbicka - starsza, otyła, trochę niechlujnie ubrana, prostaczka i ordynarna. My już trochę otrzaskane z „lepszym towarzystwem” byłyśmy przerażone. Pokój jej mieścił się na naszym piętrze obok naszej sypialni. Pierwszego dnia po przyjeździe zdziwiło nas rano widowisko wystawionych przed drzwiami jej pokoju, kilka par butów. Stoją to stoją. Na następny dzień to samo. Z rana wchodzi do sypialni i głosem władczyim zapytała „Czy „panienki” przypadkiem nie wiedzą co się robi z brudnymi butami?” Odpowiedziałam ja - naturalnie je się czyści! „No to bierzcie się do roboty i niech te wasze „półpersonele” wyznaczą dziewczuchy, które mi te buty poczyszczą. Z półpersonalem którego już prawie nie było nikt nie rozmawiał. Żadna z nas nie ruszyła butów - a wręcz przeciwnie (nie wiem do dziś która!) ktoś w te buty nawalił po prostu kupy!!! p. R. referowała to p. Doktorowi.

2) osobą była moja p. Łaskowska. Zewnętrznie była podobna do „Kulby” a wewnętrznie to charakteryzuje ją własne wystąpienie do mnie. Po przyjeździe Doktora i p. Bielkiewicz z rana przed wyjściem do szkoły Aleksander Bereśniewicz (nasz drużynowy zwykle obecny przy swoich podopiecznych przy wszelkich rozprawach) i poprosił mnie pójść z nim razem do Doktora! Już nie na deptaku! Weszłam do pokoju p. B. Leżała w łóżku w białym puchatym peniuarze - na poduszkach! Od razu na wstępie zwróciła się do Doktora siedzącego obok stolika - trochę dalej „No i widzisz, że nasze wysiłki żeby z tych kacapskich korzeni coś porządne-go stworzyć - nic nie dały - i wiem, że nie dadzą! Nie wiem co mi się stało! Pierwszy raz w życiu miałam czarno przed sobą! Pod łóżkiem stał

pełny nocnik moczu... schyliłam się i chlustnęłam jej w twarz na te peniuary cały nocnik!!!! Wyszłam z pokoju, Aleksander za mną. Objął mnie ramieniem, płakałam pierwszy raz w Wejherowie - oparta na jego piersi i powtarzałam jak w malignie że to teraz kiedy w czerwcu skończę szkołę! teraz , teraz będę musiała iść do poprawczaka! (nie wiedziałam wtedy, że już były rozmowy likwidowania naszego Wejherowa!) kojarzył mi się z Mielżynem. Szlochałam głośno i rozpaczliwie. Al. mętnie coś bełkotał „uspokój się doktor cię nie odda” odda! odda! Siedzieliśmy na ławce, uspokoiłam się. Al. pojechał do seminarium a ja poszłam do magazynu i dyżurna podała mi małą walizkę, prosiłam ją oto. Była zdziwiona i mówiła „Halinko, coś ci znów przyszło do głowy!!” Do walizki wrzuciłam nocną koszulę, grzebień szczotkę do zębów - żadnych zeszytów tylko kilka książek, które dostałam od „gości” na uroczyste święta! Poszłam do holu w jadalni i z walizką u nogi usiadłam na pierwszej ławce. Jakiś czas siedziałam. Nie płakałam, byłam zupełnie spokojna! Raptem drzwi się otworzyły i stanął Doktor!

Był wzburzony bardzo! Był czerwony jakby mu się powiększyły oczy! Przenikliwe (nie złe) spojrzenie i ostrym głosem, którego nigdy u niego nie słyszałam spytał „A co ty tu robisz?” „Czekam na wyjazd do poprawczaka!” Ja ci zaraz dam poprawczaka! Marsz w tej chwili do szkoły! Już! Spóźniona jesteś o dwie lekcje, walizkę zwróć do magazynu sam! Poszłam do szkoły i nigdy o tym nie było ani słowa więcej!

Dziś jestem stara, urodzona 28.V.1910 roku w Pskowie. Nędzna kacapka - nerwy już mam faktycznie trochę zszargane - i w tej chwili płacze jak małe dziecko głośno i boleśnie - wspominając tę dobroć, te miłość, tę mądrość jakiej doznałam!! Byłam rzeczywiście trudnym dzieckiem! Mściwa, nie zazdrosna - często dziewczuchy jak p. Feldowa zjawiała się z rana w jadalni, wiadomem było że tu chodzi o jakieś zastępstwo którejs w pracy (było kilka takich które wyraźnie mnie nie lubiły) słyszałam jak mruczały „nie zgłaszaj się zaraz nasza „podlizucha” zerwie się do roboty! I zrywałam się! A tej co mruczała podczas kolejnego dyżuru w jadalni - rozlewając kawę do dzbanków na stole wrzucałam albo brudną ściereczkę albo stary kapeć i zalewałam kawą! Wrzask był przy stole „kto dziś dyżuruje” A Halina no to którejs się dostało od niej”. Milczałam. Albo normalnie wychodziłam wcześniej kilka chwil i przyczajona za węglem z kijem krokietowym w rękę - na wychodzącą rzucałam się do bicia! Razu pewnego, musiał to być chyba III kwartał 1925 r. dziewczynom w uczelni przyszło do głowy rozmawiać o zbliżających się egzaminach i ciekawość jakie też stopnie otrzymamy za kwartał. Wiedziałyśmy, że któregoś najbliższego dnia będzie konferencja nauczycielska i będą omawiane stopnie! Byłam obecna w uczelni. I raptem któraś mówi, „a może by Halinka coś wykombinowała, żeby się dowiedzieć o tych stopniach” a druga odpowiedziała wart o by podsłuchać, ale nasza „podlizucha” to tylko do pracy - ale żeby nam pomóc to na pewno nie zechce. Mnie poniosło, dwa razy nie trzeba było powtarzać. Dobrze jędze, podsłucham!

Szkoła wydziałowa mieściła się na jedynej głównej ulicy wzdłuż całego miasta na przeciwnym końcu naszego Zakładu. Był to jakiś stary, dawno opuszczony przez Niemców młyn. Uczniów było nie dużo, sale ogromne, w naszej były jakieś zamknięte drzwi - czasami x się sama z sobą co też tam za tymi drzwiami? ale nikt nie otwierał tych drzwi.

Nad naszą salą tzn. w tym młynie był tak jakby na górze mały budynek! Był to był.

Dowiedziałyśmy się kiedy będzie narada i tego dnia nie wróciłam do domu tylko zostałam w szkole. „Sala konferencyjna” była w innym końcu sali niż klasa - stoły i fotele dla personelu były niedaleko tych tajemniczych drzwi. woźnych u nas nie było! Zaczęłam próbować otworzyć drzwi - szło z trudem, już myślałam, że się nie dadzą - ale nacisnęłam, otworzyłam zobaczyłam ciemność i jakieś kręcone schody idące w górę z kupą leżących na nich sznurów. Wlaziłam na najbliższy schodek zatrzasnąłam drzwi i usiadłam. Niedługo czekałam. Słyszałam wszystkich wchodzących! Był mój ukochany prefekt - brat-łata (podobno pił!) angiela, p. Borycka (portret jej mam o tym później!) dyrektor, p. którą w kilka miesięcy wyrzuciłam książką w głowę i wyleciałam ze szkoły! I inni. Zaczęli rozmawiać.

Prawie wszyscy razem coś sobie opowiadali - nie było rozmowy o stopniach. Było ciemno, choć oko wykol, czemś śmierdziało ni to naftą ni to smołą - niewyraźnie słyszałam głosy - „za nisko siedzę!” zaczęłam się trochę kręcić wspinając się na wyższe schodki. I co najdziwniejsze ja nic nie słyszałam, kiedy usłyszałam wyraźny głos p. B. „słyszycie jakiś dzwon?!” Jaki dzwon, no coś dzwoni - ja trochę przestraszona zaczęłam się wspinać, wyżej i nogami zaplątałam się w sznurach! Nogi podciągałam w górę - i już wiedziałam że to mój sznur gdzieś dzwoni. Na tej wieżycy był dzwon! Co robił dzwon we młynie? może był sygnałem zakończenia pracy, przerwy nie mam pojęcia. Zaczęłam nerwowo się szarpać ze sznurem usiłując się wyrwać ale im więcej się starałam tym bardziej alarmująco grzmiał dzwon! Teraz już wszyscy słyszeli, zrobił się churgot krzesel, nóg i dyrektor otworzył tragiczne (już nie tajemnicze drzwi!) drzwi. W pierwszej chwili nie zobaczył mnie ale później... Wylazłam - byłam w opłakanym stanie! Stałam wśród wszystkich zebranych profesorów przede wszystkim brudna! Pewnie od r. 1916 albo i więcej może młyn nie działał była wojna! Czarne pasma sadzy i pajęczyny niczem jakieś surrealistyczne liany zwisały z sufitu a tym samym na mojej głowie i ubraniu. Byłam w białej, tzn. czarnej już bluzce, rozczochrana. na spódnicy zwisały jakieś strzępy grubego kurzu jak jakiś oślizgły płyn. Biedny prefekt ścigał ze mną te sploty i ciągle mówił „ale p. dyrektorze może najpierw ją umyć!” Bo pewnie i twarz miałam umorusaną tą sadzą! Jako tako mnie otrzepali umyli w łazience i dopytywali się „co mi przyszło do głowy i po co tam polazłam?” Pierwsze słowa dyrektora były „Kryłówna co też ty tutaj robisz, dziecko?” Swój zwyczajem szczerze odpowiedziałam „Dziewczyny nie chciały wierzyć, że ja pójdę podsłuchać jakie będą stopnie na kwartał” Nauczycielstwo zarykiwało się ze śmiechu. Narady żadnej dalszej nie było. Dyrektor i p. Borycka idąc do domu w moją stronę, wzięli mnie ze sobą, był już wieczór i dyrektor oddał mnie w ręce p. Rogowskiej i długo z nią rozmawiał. Oczywiście wytrzeszczyła, była przerażona „i żadna nie powiedziała, że ty zostałam w szkole!” Naturalnie była rozprawa z Doktorem.. Doktor zawsze szczegółowo wypytywał się jak to się zaczęło, sam pomysł (nie pytał kto prowokował!) co chciałyśmy wiedzieć, dlaczego, czy chciałyśmy się ewentualnie poprawić w stopniach (czemu ja gorąco zaprzeczyłam!) Chodziliśmy po deptaku doktor czasami mnie gładził po głowie i

trochę jakby zadumany mówił „No nic takiego złego nie zrobiłaś - ale najgorsze jest to, że tak łatwo dajesz się sprowokować na jakieś działanie właściwie nie w twoim interesie - i b. mnie interesuje czy gdyby cię namówić na jakieś czyny nieczne też tak by ochoczo i lekkomyślnie się zgodziła? Wyjaśnij mi to. Pomyśl o tem. Wiem, że na pewno od razu mi na to nie odpowiesz, dziś muszę wyjechać ale w sobotę będę czy obiecujesz przemyśleć tę sprawę i mnie opowiedzieć? Obiecuję panie doktorze - no to dobrze - trzymaj się jednak ty siebie trochę ostrzej! Na te buty w dzbankach spytał się „A czy tobie byłoby przyjemnie gdybyś się napiła z takiego dzbanka?

Był rok już 1926! Drugą przygodę też miałam w szkole. Nie pamiętam z jakiego powodu w sali p. Prusińskiego był bal.

Nas już z występów ludzie wejherowscy i okoliczni znali - i Dyrektor przyjechał z prośbą do p. R. o jakiś chociażby mały nasz melodeklamacyjny występ. p. R. zgodziła się, zresztą na tym balu była razem z naszymi wychowawczyniami. Uczestniczyłam w tym występie, podali przy stołach kolację, zjadłam wszystko b. smacznie - ludzi była pełna sala. Duże oświetlenie, ogromne „balie” z palmami po kątach, zaczęły się tańce. Było nas sybiraczek niedużo, Aleksander najlepszy tancerz i kilka naszych „primadonn”. Tańczyć nie umiałam ale uwielbiałam muzykę a walce to już był szczyt mego smaku! Spostrzegłam że moje buty były prawie bez zelówek! Strapiona wlałam gdzieś za jakiś kubeł z palmą i siedziałam cichutko. Walce grały, wszyscy tańczyli a dyrektor z Janką Mazur ciągle łąził po sali zaglądali w każdy kąt i słyszałam „no gdzie jest ta Kryłówna” w końcu znaleźli. Dyrektor wyciągnął mnie z pod tej palmy i mów „Halinko wszyscy dziś się bawimy, zobacz jak twoje koleżanki tańczą weź ty się do roboty też!” Najpierw coś tam kręciłam a później mówię „p. dyr. mam zupełnie podarte zelówki i nie umiem tańczyć!” Co to znaczy podarte zelówki „a oto podarte zadarłam nogę i pokazuję - Dyrektor ryknął śmiechem i gdzieś poszedł. Po chwili

wrócił i przyniósł mi małe białe czółenka. Kazał włożyć nie chciałam - poszedł szukać p. Rogowskiej. Naturalnie sybiraczki już coś widziały, że rozrabiam, otoczyły mnie a Aleksander powiedział to dlaczego w domu o tym nie mówiłaś tylko tutaj na zabawie przy tylu ludziach? Ale stało się. Przyprawdzili p. R. była zmartwiona, widziałam po jej twarzy to była b. wrażliwa, delikatna i taktowna pani. „Jak pan dyrektor już ci przyniósł te pantofle, to nie grymasz weź je podziękuj i idź na salę” Podziękowałam, na salę nie poszłam bo bałam się w cudzych pantoflach gdzieś na śliskiej jak wosk posadźce runąć na podłogę!

Na następnym spotkaniu doktor znów omawiał ze mną „towarzyskie” nieporozumienia na balu. Przy rozmowie była p. R. która broniła mnie a doktor powiedział „Pani Aniello Halinka jest bardzo dobrym i mądrym dzieckiem - ale b. się boję że kiedyś wdepnie w jakieś okropne tarapaty!, tak jakby do nich była stworzona, nieprawdaż! Na całe życie to zdanie zapamiętałam. Rzeczywiście tak jakbym była stworzona na tarapaty.

Najpiękniejsze są wspomnienia z okresu świąt B. Narodzenia. Zawsze w jadalni wysokiej była do sufitu choinka. Doktor przywoził całe pudła z rozmaitych firm zabawek, balonów świeczek i prezentów. Maluchy miały za obowiązek na święto upleść ogromne sznury kolorowych girland i nie raz siedziałyśmy z nimi i kleiliśmy te cuda. Później te girlandy rozpinano się zwieszające z sufitu na cały kąt, gdzie stała choinka! Prezenty były b. skromne i małe zazwyczaj chowane pod poduszką - w sypialni. Wracaliśmy do sypialni w wieczór wigilijny później już po kolacji po odśpiewaniu kolęd, których zatrzęsienie umiałyśmy nauczone przez p. Rogowską.

Prezenty to były grzebienie, lub grzebyki dla tych które miały długie włosy i je pięknie upinały, były nieduże kawałki pachnącego mydła (bo zwykłego takiego jak do prania bielizny to miałyśmy pełno w łazience) ale pachnące! czasami te co lubiły czytać dostawały książkę, wstażki kołnierzyki z koronek do sukienek zimowych, pastę do zębów, do butów (później były wymiany na czarne, na brązowe) były igielniki, pudełko talku pachnącego jak perfumy, czasami któraś dostawała małe nożyczki do paznokci, noże do rozcinania papieru i książek, do tego zawsze po jakimś pudełku landrynek, rodzynek wszystko to było pięknie opakowane i wsunięte pod poduszkę. Wszystko to robiły wychowawczynie. Były berety, czasami jakieś kolorowe rękawiczki. Nie pamiętam, żeby ktoś miał pretensję o niby „lepsze” lub „gorsze” prezenty. Każda z nas z dumą latała po całej sypialni i pokazywała co znalazła pod poduszką. Na pierwszy dzień świąt doktor i p. Bielkiewiczowa czasami goście często p. Artur Górski zjadali z nami pierwsze śniadanie. Kiedyś doktor spytał mnie „no a ty Halinko, co dostałaś pod poduszką” nie pamiętam co to było - a on się spytał „a co byś naprawdę chciałaś? Chciałabym dostać mały notesik” „Tylko? Halinko!” tak panie doktorze. Tylko. I w wiele tygodni potem bez żadnych świąt wieczorem znalazłam pod poduszką - notesik. Jest rzeczą nie do wiary jak po wszystkich zawieruchach „tarapatach” które przeżyłam potrafiłam zachować ten notesik i teraz pani Doroto przy spotkaniu z Panią pokażę ten notesik. Rok 1998 i 1926. 72 lata temu! Dostawałyśmy nowe buty, fartuszki czarne do szkoły, to było normalnie wydawane z magazynu w okresie świąt.

Nie wiem co dostawały starsze nasze panny. U nas jakoś bardzo trzymałyśmy się swoich podziałów. Tam to już był „półpersonel” i miał u nas autorytet. To były porządne, dobre i mądre dziewczyny. Ktoś może pomyśleć że „wypiększam” wszystko. Otóż nie! Opiszę tutaj (bo dalsze już moje życie będzie bez sybiraczek!) niektóre nieudane życiorysy - ale na tyle dzieci a wszystko prawie o sobie nawzajem wiedziałyśmy nawet kiedy rozstałyśmy się. I już często nie spotkałyśmy się z wieloma.

Co ciekawe to te przykre życiowe „tarapaty” przeżywały jednak starsze nasze koleżanki.

„Średniaczki” jakoś z życia wychodziły obronna ręką. Bo były młodsze jak wpadły pod wpływ wychowawczy doktora.

1) Był jeden wypadek wrzucenia dziecka 2 dniowego do wisły i 3 lata więzienia! Później szczęśliwe małżeństwo i nadzwyczaj wychowane 3 córki ze średnim wykształceniem.

2) taki sam wypadek - nie udusiła tylko podrzuciła i była też karana. Mieszanka Ukraińca z Polką. Z tą była większa sprawa. Podczas okupacji związała się z Gestapowcem. Obwoził ją po całej Polsce. Oficer. Obsypywał pieniędzmi i pewnie „żydowską” biżuterią. Typ jasnej jak słońce blondynki, z figlarną buzią. Podobno podczas Powstania uciekli oboje gdzieś w świat! Siostra była porządną dziewczuchą i bardzo cierpiała z powodu siostry.

3) Podczas okupacji też prowadziła się z Niemcami.

4) - „ - - „ - - „ - - „ -

5) Naciągaczka zamożnych mężczyzn często żonatych na kompromitujące sytuacje i lekki szantaż. Później rozmaite „korupcje” i hochsztaplerka. Więzienie 2 lata za jakieś finansowe sprawki (podrobienie podpisu na dokumentach!)

6) Uprawiała tak jakby dziś powiedzieć „uliczny bazar” - spekulacje cenowe - chyba trochę paserki.

7) kilka „szlifowały bruki” Szczecina chyba ze 3.

To byłoby wszystko tzn. około 10

Z tych „szlifowych” dwie wyszły dobrze za mąż a co z trzecią nie wiem.

Myślę, że na 380 dzieci w Zakładzie - cyfra 10 po ciężkich zresztą na pewno perypetiach życiowych to chyba nie za dużo!

Same bez rodzin, bez żadnego zaplecza, z już jako tako wyrobionym może poglądem na życie wiek 18-21 lat!

Zatem myślę, że nikt nie powie, że „wypiększałam”! Po wyjeździe Doktora „Kulba” nie wystawiała żadnych butów, nienawidziła nas - właściwie w ogóle z nami nie rozmawiała, Laskowskiej od czasu tego wieczoru kiedy ją pobiłam - w ogóle na następny dzień już w Zakładzie nie była.

Raz do roku w czasie Wielkanocy wszyscy i chłopcy i dziewczynki szliśmy do Fary do Spowiedzi.

Po lewej chłopcy - po prawej dziewczynki w kolejkach do kilku konfesjonałów. Miałyśmy czasami z tych spowiedzi niezły ubaw. Jednym ze spowiedników był jakiś znaczny kanonik stary już człowiek nazywał się Dąbrowski. W r. 1972 byłam w Wejherowie i jakąś przechodzącą kobietę starszą spytałam „czy Pani przetrwała okupację tutaj” „tak” zdziwiona odpowiedziała. „Jestem dzieckiem syberyjskim” i ciekawi mnie los prałata czy kanonika Dąbrowskiego co z nim się stało? Ach zginął w obozie tuż za tym Zakładem był obóz koncentracyjny - spędzono większość całą inteligencję i duchowieństwo Wejherowa. Zginęli wszyscy moi profesoro- wie i Ci z „młyna” i wielu innych. Nie pamiętam nazwy tego obozu (co za dziwna sprawa też na literę P.) Pawiak, Pamiry.

Otóż trafiłam na Dąbrowskiego. Z czego byłam dumna dziś już nie pamiętam, ale natychmiast jak uklękłam powiedziałam „jestem dumna”. Ksiądz czy nie usłyszał czy zrobił to umyślnie „powtórz głośniej bo nie rozumiem” Powtórzyłam głośniej „jestem dumna” i po raz trzeci ryknęłam ze złością prawie na całe gardło „Jestem dumna” na to ksiądz wyleciał z konfesjonału i ryczał na cały kościół - „nie jesteś dumna tylko durna moje dziecko - a durni ludzie powinni przebywać w szpitalu. Wyszłam z kościoła - nie płakałam. Byłam wściekła! Czasami ktoś zresztą dość nieśmiało mówił, „a czegoż ty tak jesteś dumna”. Odczep się! Trochę podśmiewali się ze mnie, ale mnie to nie bolało.

Natomiast z chłopakiem Kazikiem było też nie wesoło. Raptem jakiś ksiądz wypadł z konfesjonału i ryczał n a całe gardło (co to wtedy z tym klerem było?) A tobie nie z dziewczyną tańczyć ale ty pucybutcie, zboreźniku jeden z miotłą tańczyć!” Uciekł jak oparzony z kościoła. W uczelni tego dnia wszystkie zastanawialiśmy się co to za słowo „pucybut”. Żadna z nas nie znała tego słowa.

Przy spotkaniu z Doktorem powiedziałam Doktorowi, że nie pójdę więcej do spowiedzi - opowiedziałam, że jestem durna - a co to znaczy panie Doktorze pucybut bo tak Ksiądz nazwał Kazika. Myślałam, że Doktor pęknie ze śmiechu. Zebrała się nas gromada a on ksztusząc się ze śmiechu powiedział co to znaczy „pucybut” a mnie jak zwykle prosił „Przemyśl sprawę Halinka - ksiądz Dąbrowski znam go jest b. mądry i dobry - szkoda, że nie rozwinął z Tobą rozmowy na temat dumy. To b. dobry w ogóle temat, to było wszystko.

Trudno jest pisać o latach 1926!

Jedna z moich obecnych znajomych której , z dumą dałam do czytania „dzieci” powiedziała mi „Ależ rzeczywiście byliście głodni jeśli jedliście groch i brukiew z pola” (nie doczytałam porządnie Theissa i nie wiem w którym to miejscu i kto to napisał!) Szlag mnie trafił! Po przeczytaniu tej całej epopei tyle zrozumieć! Tuż za naszym budynkiem wzdłuż wzgórza i szosy były szerokie pola w części „posadzone” (?) grochem a w drugiej części brukwią (taką jakiej nigdzie dziś nie uświadczysz - słodkiej, pachnącej, prawie tak miękkiej jak melon!) Nam faktycznie musiało brakować witamin. Nieczęsto dostawałyśmy surówki z jarzyn. Czasami na deser jabłko! No, ale my z Mielżyna! Jesienią dobraliśmy się do pola. I w pojedynkę cichutko z nożem w ręku czołgaliśmy się na pole a czołgaliśmy się dlatego, żeby nas nie spostrzeżono z szosy. Ale właściciela pola zamknęli na to oczy! Zatem łąsiło nas tam kilkoro! Pamiętam raz niedaleko siebie, siedząc wśród młodziutkiego zielonego groszku usłyszałam jakieś przeciągłe jęczenie. Podczołgałam się i zobaczyłam Tadka skulonego i przestraszonego. Był w moim wieku! Halina okropne mam bóle! Coś się stało z moim żołądkiem! „Nic się tobie nie stało! To zielony groch za dużo zjedzony cię rozpiera! Chodź pomogę Ci wstać i zaprowadzę do Zosi Mikułłówny! Zaraz Ci przestanie” Poszliśmy. Wspominałam, że też obok naszego budynku tuż przy lesie była piękna altana. Jesienią jeśli u nas przybywali „goście” któraś (nie ja!) wpadła na pomysł, żeby ich poczęstować też na podwieczorek naszymi specjałami! Na talerzach znalazł się wyluskany słodziutki groszek, pokrojona w cienkie plasterki brukiew, lekko przyprawiona solą

(posypana!) i podawana w altanie. Zosia Małynicz знаła to z Ukrainy, p. A. Górski z niedowierzaniem próbował - ale później „zapłatał” kawaleczki ochoczo! Szczepan B. Wesołowski J. Kilka razy na to przyjęcie wpadł na werandę Doktor. Było nas kilkoro, którzy bawili gości! Spojrzał na nas uważnie, mrugnął i szeroko się uśmiechnął! Też częstował się „podwieczorkiem”

Cała ta „brukiew i groch” było uzupełnieniem naszego braku witamin! Organizm sam nam podpowiedział co należy robić! Ale nie głód!

Robiłam też czasami „happeningi” jakby dzisiaj powiedzieć! Do Wejherowa z W-wy przyjeżdżały córki p. Wachowskiej, którą najstarszą Basię uwielbiałam! Była bardzo piękną dziewczyną! Byłam o nią dziko zazdrosna! Któregoś wieczoru nie podeszła do mego łóżka (spała z nami w sypialni!) a ja zobaczyłam, że na jej łóżku siedzą Żeńka i Ninka (moje zażarte „wroginie”. Darować? O, nie!

Odczekałam długo światło już było pogaszone i ja ciągle słyszałam ich szepty! Wylazłam z łóżka, wlałam pod sąsiednie i zaczęłam się czołgać po podłodze, żeby dotrzeć pod jej łóżko i dowiedzieć się o czym tak żarliwie rozmawiali! Sala była duża! Czołgałam się! Raptem ktoś się odezwał. Dziewczyny ktoś się u nas czołga! Druga „czy ś ty zwariowała, no kto się może czołgać!” Ja przywarłam do podłogi - zaległa cisza. Odczekałam i znów pod łóżkami czołgałam się na drugi koniec sali. Tu już kilka głosów odezwało się (pamiętna scena w baraku w Mielżynie, gdzie zostało porządnie poturbowanych kilka koleżanek podczas ucieczki z baraku! To ta nasza „syberyjska” jakaś psychoza i przeżywanym kiedyś jakiś strach!) Ależ dziewczyny! Palcie światło, ktoś się naprawdę czołga! i to nawet tu gdzieś koło mnie!” Zapalono światło! Wszystkie wyskoczyły z łóżek i zaczęły szukać! Jest! Bójcie się Boga! to Halina gdzieś się czołga! Wylazłam. „Czy ty zwariowałaś (nie mogły się uspokoić, roztrzęsione) Halina gdzie się ty czołgałaś? coś okropnego. Milcząc poszłam do łóżka. Dłuższy czas były debaty „Czego ona wtedy wieczorem łąziła po podłodze”? A w otwartym oknie nad moim łóżkiem często słyszałam wieczorami czochojące się ptaki w gałęziach drzew. Senne.

Słuchałam i myślałam o nich. Kocham ptaki i koty! Przez kilka miesięcy wprowadzonych „wieczorynek” zawsze z nami był Doktor! Warto tu wspomnieć, że może ktoś myślał, że były to normalne walce, polki i oberki! (Ciekawa jestem co było mówiło Mazowsze oglądając te tańce!) Chłopcy nasi starsi to byli tancerze, już ogarnięci pasją tańca Rosjan! Nasze oberki wystukiwane mocnymi podeszwami naszych chłopców to były kozackie stepowe dzikie „trepaki” przysiady, przygóby, kręgi, kołowanie!

Cofaliśmy się pod ściany jeśli na środku zjawiał się Piotuch Janek z Janką Jackowską! Szyby drżały, doktor niezmordowanie tłukł fortepian i ugiwała się podłoga! To Azja z Europą tańczyli! Europą był Doktor, który nas do niej nieszczęsnych „mieszkańców” prowadził. Sama Janka po ukończeniu sem. naucz. wyjechała do pracy do Bielska Podlaskiej. Przyjechał po nią z Ameryki Andrzejewski już po wyższych studiach w Ameryce (bawili się dziećmi na podwórku!) ożenił się i został z nią w Polsce. Historia tych Andrzejewskich była b. ciekawa. Kilkoro dzieci po-

zostało w Ameryce i odmówiło powrotu do Polski. Jedna Agnieszka (?) została zakonnicą. Wśród nich byli Andrzejewscy. Jeden przyjechał po żonę do Polski i został w Polsce, a drugi przyjechał ale to jeszcze było w Wejherowie po następną żonę, Kasię Choderską po obozie w r. 1926. Też przyjaźń i jak się okazała miłość, która dojrzewała i przetrwała tyle lat! Kasia już u nas była „starszynką” typ jasnej blondynki podobnej do naszej Koterbskiej! Była „rzemieślniczką” miała podstawowe tylko nauki naturalnie jeszcze w Rosji i już nie dało się przereobić (lata 19-21 wiek!) programu średniego wykształcenia, jak było z innymi „starszynkami” które były w rosyjskich gimnazjach, kilka z nich znało dobrze języki, niemiecki, angielski, i francuski jak późniejsza żona Doktora - Władka Połowska. Na pewno to były dzieci z rodzin inteligentnych, zamożnych, i pewno już potracili rodziców - skąd znalazły się w Komitecie Ratunkowym Dzieci Polskich. Ta właśnie grupa kończyła seminarium nauczycielskie w Wejherowie w przeciwieństwie do grupy „rzemieślniczek”, które po krótkim przygotowaniu fachowym wszystkie zostały skierowane do różnych prac zawodowych w całej Polsce.

Andrzejewski przyjechał akurat jesienią już z biletami powrotnymi do Ameryki, przyniósł ślubną suknię od koronki na głowę po pantofelki, Doktor i p. Bielkiewicz urządzili ślub i przyjęcie weselne w jedynym Hotelu wówczas w Gdyni w „Riwierze” pięknym gmachu tuż nad samym morzem, niedaleko później wybudowanego mola, gdzie w „kasowej” budce od 6 rano do 6 wieczór siedziała w r. 1927 od lipca Kryłówna! Już po szkole i po Wejherowie...

Nie uczestniczyłam w tym weselu, ale wszystkie nasze starsze koleżanki brały w tym pięknym weselu udział i na następny dzień żegnały Kasię na zawsze! Po krachu Wejherowa (podłość ludzka nigdy nie zgaśnie! I im czystszy jest człowiek, tem brudniejszym go robią!) p. Bielkiewicz osamotniona bo nastąpiło też jakieś rozstanie osobiste Doktora z p. B. - wyjechała do Ameryki właśnie do Kasi i u niej tam w najtkliwszej opiece umarła.

Kasia do Wejherowa nie wróciła z uczyty weselnej i tak ją już na zawsze pożegnaliśmy.

Miała dwu braci - oboje po wyższej szkole marynarki wojennej - służyli we Flocie Polskiej cudowne chłopaki - mieszkający w latach już jako emeryci - w Gdyni w x - oboje już nie żyją - może któraś jedna z żon.

Wracam do rzeczywistości (ówczesnej oczywiście!!) „Wieczorynki” nasze kończyły się kiedy Doktor spocony, zgrzany, uśmiechnięty i szczęśliwy - mówił „siadajmy - trochę pośpiewamy i pójdziemy spać - umęczycie się dostatecznie” Faktycznie sala wyglądała jakby to byli uczestnicy gladiatorzy w dzikich zapasach. Spoceni ledwie trzymali się na nogach - rozkładali się na podłodze i rozpoczynaliśmy swój ulubiony wieczorny śpiew.

Nigdy w tych „bachicznych” „trepakach” nie brałam udziału, ale zostawałam dla śpiewu. Muszę ten śpiew dokładnie opisać bo to dopiero był sam smak wieczoru.

A brzmiał on tak!

W garnku dziura! (trzy razy miły Romciu, Miły Romciu)

To zatkaj! to zatkaj!

Czem ją zatkać? - " - - " -

A słomą, a słomą!

Słomy niema! - " - - " -

A utnij, a utnij!

Czem ją uciąć? - " - - " -

Toporem, toporem!

A topór tępy... - " - - " -

To naostrz! to naostrz!

A czym naostrzyć? - " - - " -

Kamieniem, kamieniem!

A kamień suchy... - " - - " -

To namocz, to namocz!

A czym; namoczyć? - " - - " -

A wodą, a wodą!

Wody niema ... - " - - " -

to przynieś, to przynieś!

A czym przyniosę? - " - - " -

A garnkiem, a garnkiem!

I w tym momencie zrywał się głośnym hukiem cały chór głosów

A w garnku dziura, miły Romciu (z rozpaczą!) miły Romciu!

Rozlegały się oklaski, okrzyki - zabawa była skończona.

Cały kunszt tego śpiewu polegał na mistrzowskim używaniu znaczenia poszczególnych tak pytań jak i odpowiedzi. Akcentowania używanych słów. W pytaniach - niepewności, niezręczności niezaradności - w odpowiedziach rady, pomocy, czasami lekkiej kpiny. Przeciąganie słów (typowo rosyjska umiejętność śpiewu!)

Czasami pytania zadawały dziewczęta, odpowiedzi chłopcy, (co wieczór inaczej! i odwrotnie.

Pytanie zadawane kilkoma „płaczącymi” głosami - odpowiedzi różne, ostre, szybkie jakby ze zdziwieniem, że pytający nie wie czym namoczyć suchy kamień itp. Odpowiedzi chórem, i znów odwrotnie.

Co wieczór w innych tonacjach! A oklaski? za dobre wykonanie podobające się „głosowo” odpowiedzi. Nikt nas tego nie uczył! To pewnie było już nabyte w dalekiej młodości podczas przebywania wśród Rosjan, którzy przy każdej okazji jeśli było więcej niż trzy osoby natychmiast

zaczynali śpiewać! Ten śpiew był zastrzeżony jak jakiś rytuał tylko na naszych „wieczorynkach” nasennych! Nigdy nie używany publicznie!

Halina Nowicka

Psków

Omsk

Chabarowsk

Władywostok

Japonia

Ameryka

Polska - Mielżyn

30.XI.1993

Nie podejmuję się spisywać dziejów mojej najbliższej rodziny t.zn. rodziny mojej Matki. Bo tylko ją miałam. O Rodzinie Ojca wiem niewiele - od Matki usłyszane w Rudnikach przy spotkaniu z nią po Jej powrocie do Polski w r. 1927.

Ojciec mój był „niezakonoroździennyj” t.zn. nieślubny syn dworskiej „dziewki” ze wsi - (prała, zmywała podłogi nazywała się Tatiana) miała związek z synem - studentem na wakacjach u Ojca „pomieszczika”. (Ciekawostką jest, że chcąc napisać po polsku słowo „pomieszczik” nie znalazłam go w trzech posiadanych przez siebie słownikach rosyjskich!)

Tatianę po ujawnieniu ciąży, do której przyznał się syn dziewczica, oznajmiając na dodatek, że ją kocha - wyrzucono na wieś a syna wysłano na wyższą uczelnię zagraniczną. Tatiana podobno była sierotą, dziewczyną dużej urody. Tłukła się po całej wsi, urodziła chłopca i umarła.

Dzieckiem opiekowali się kto Bóg dał. Wyrósł i poszedł w wieku siedmiu lat pasać krowy i konie w nocy. Po dwunastu latach wrócił z żoną i z dwojgiem własnych dzieci „panicz” i zainteresował się, co z Tatianą. „Owszem umarła” powiedzieli mu na wsi, ale tłucze się tu bezdomny jej syn- „ładny i udany z niego chłopak”.

„Panicz” obejrzał syna. Nie wiemy, co w nim ruszyło się. Miłość pewnie już dawno przebrzmiała (a może nie?) czy zwykłe ludzkie sumienie. Czasami „kacapi” też mają „sumienie”! Wziął chłopca i umieścił u rodziny - małżeństwa dekarzy w Petersburgu. Czy go usynowił, bo nazwisko Kryłow jest nazwiskiem „szlacheckim”, czy usynowiło go małżeństwo, któremu powierzył tego chłopca - nie wiadomo. Matka moja powiedziała: „nigdy go o to nie pytałam”.

Chłopiec skończył gimnazjum, był dobrze wychowanym chłopcem, bardzo ładnym i miłym, poszedł na Politechnikę w Petersburgu.

Tutaj też był brat mojej Matki Franciszek Naruszewicz, tym razem z Pskowa.

Staruszkowie lekarze zmarli na cholere, która podobno w okolicy lat 1885-1900 była epidemia. W Petersburgu zostawili chłopcu nieduży kapitał, który pozwolił mu żyć i kształcić się.

Trudno mi jest pisać o swojej Rodzinie. Postaram się nie wyrażać żadnych swoich opinii o tym wszystkim, co tu będę pisać. Zresztą nic w tych latach spędzonych w Pskowie nie pamiętam, poza kilka ma faktami.

Wiadomości o Rodzinie mojej Matki częściowo uzyskałam od samej Matki częściowo od jej siostry tej właśnie Wandy Połubiankowej z Rudnik, z dwójką jej dzieci przeszedłszy szlak z Chabarowska dookoła świata do Polski Bronisławą i Czesławem Połubiankami. Dziad mój Feliks Naruszewicz był synem ziemianina z Suwalszczyzny - mając lat 18 brał udział w powstaniu listopadowym 1863 roku i w kilka lat potem znalazł się na osiedleniu w guberni pskowskiej, w samym Pskowie.

Nie wiem czy był tam ze swoim ojcem, rodziną. Nigdy o nich nie słyszałam. Wiem tylko, że Naruszewicz junior pojechał na nauki do Niemiec, opanował język - po 5 latach wrócił do Pskowa (jednak coś było, że go tu trzymało!) i został maszynistą na międzynarodowej trasie Petersburg--Berlin. Rzadko bywał w domu.

Od razu po osiedleniu wykradł z domu rodzinnego na Żmudzi, Litwinę 17 letnią pannę przywiózł ją do Pskowa i ożenił się bez zgody Jej rodziny, która się miała za lepszą od Naruszewiczów, rodu gwałtownych, nietolerancyjnych, upartych despotów i powiedziałabym nawet tyranów sądząc po czynach mojej Babki. Był to bezsprzecznie „iście” patriotyczny i super katolicki dom polski”

Doskonale czuję i widzę atmosferę, rygory nastroje i przekonania tego domu czytając różne rodzinne pamiętniki spiswane z tamtych czasów. Babka Beata w Pskowie się objawiła w r. 1870 i od tego czasu do swojej śmierci w r. 1909 w wieku lat 56-ciu urodziła 16 dzieci, 10-ciu zmarło, 6-cioro ocalało. Z opowiadań moich ciotek wiem, że przewijali tam bez przerwy rodzinne prałaty, opaty, kanoniki jakieś prowincjały - dom był rozmodlony, stłamszony i przede wszystkim nienawidzący Rosjan jakąś chorobliwą obsesją czemu się nie dziwię, czytając dziś co się w tej nieszczęsnej Polsce działo po r. 1863. I tak oto z takich korzeni urodziłam się jako Tamara Kryłowa w domu mego Dziadka i Babki Feliksa i Beaty Naruszewiczów w Pskowie 28 maja st. stylu 1910 roku.

Niedawno przeczytałam pamiętniki braci Iwanickich i dopiero tam zobaczyłam te nastroje popowstaniowe i jej konsekwencje dla Polaków. Zamyślona i smutna wspominałam jak spędzano nas i w szkole i w pracy na uroczystości, obchody, akademie (dziś to się nazywają festiwale!) wieczory harcerskie ku czci... powstań 1863 i 1830 roku.

Jestem przekonana, że nikomu do głowy nie przychodziły (w wyobraźni!) bitwy potyczki, zsyłki, wywózki, ranni i zabici. Tem bardziej dzieci syberyjskie, wiem na pewno, że na słowo „wojna, głód itd.” wyobraźnia i wiedza nasza natychmiast zniknęła. Dopiero teraz po przeżyciu osobistym zdaję sobie sprawę co to były za burzliwe, niesprawiedliwe i straszne czasy. Czytając te rozmaite książki myślę sobie, że Syberia więźniom i zesłańcom Polakom zawdzięcza swoją cywilizację, położone fundamenty przemysłowe, kopaliny i wydobywanie węgla. Wywieziono wówczas cały wierzchołek młodej zdolnej wykształconej młodzieży i starszych naukowców i fachowców w swoich zawodach. Ciągłe się czyta, że Polacy t.zw. osiedleńcy zakładali szkoły ogólne jak i zawodowe, szerzyli czytelnictwo, zakładali biblioteki. Nie mówiąc o zastosowaniu kultury w życiu codziennym mieszkańców. Świetnie wyobrażam dzisiaj sobie te ich wszystkie „życia”. Co za 100 lat będą myślały „małolatki” o przejściach kanałami, o okrążeniach, o łapankach o kartkach? W może będzie jeszcze gorzej?

Dom w Pskowie (dziad mój dobrze zarabiał!) był duży, ogród warzywny i owocowy sad. Pięć córek i syn. Wszyscy w latach 1905-1909 w domu poza synem na Politechnice w Petersburgu. W domu u pokój przerobiony na kaplicę - codzienne ranne i wieczorne modlitwy całą rodziną. Celebrowała naturalnie Babcia.

W domu pracownicą najemną była Dunia i chłopak w ogrodzie. Reszta pracy - gotowanie, sprzątanie całego domu prasowanie, czerowanie, szycie bielizny, składowanie tego całego dobra w olbrzymich szafach i kufrach i pilnowanie, żeby nie zjadły mole! - wszystko to musiały robić (niczym u nas w Wejherowie) wszystkie córki po kolei. Najgorzej tych prac nienawidziła ciotka Wanda - najstarsza. Ciągłe udawała chorą i ciągle Babka straszac ją na pewno karą boską - pędziła do roboty.

Sądząc po fotografiach wszystkie były bardzo porządnie i elegancko ubrane. W soboty były „tańce” zawsze w obecności Babci na sali. Przychodzili tylko Polacy, studenci, synowie polskich ziemian i księża, przykładający się do „rączki” Pani Dobrodziejki (siedzieli pewnie pod ścianami!) To nie są moje pomysły wszystko to w długie wieczory w Rudnikach wspominały moja matka i ciotka! Były nawet wypadki, że nie zawsze Babka pozwalała córce tańczyć z wybranym partnerem. Interweniowała.

W niedzielę cała rodzina szła „grupowo” do kościoła. Obiady były zawsze z jakimś prałatem lub kanonikiem. Rozmowy pobożne i stateczne, żadnych chichotów! Dziewuchy były nad wyraz udatne! Hoże, wysokie, strojne, zalotne, o pięknych włosach i oczach! Czasami wieczorami podczas „haftów” śpiewały - psalmy lub pieśni Moniuszki. Moja Matka miała piękny głos i śpiewała w kościele w chórze!

Biedne dziewczyny! Roboty było dosyć! Suszyło się makaron w dużych papierowych torbach zawieszonych pod sufitem w spiżarni, je-

sienią (co już ja pamiętam) smażyło się w ogrodzie konfitury i przetwory. Wszystko musiało być w domu! Co pewien czas przekładało się jabłka i w słomie chowane melony! Dość o tym domu. Moja pamięć zachowała dziadka z pasem nade mną 3 1/2 letnią! - powrywałam wszystkie dopiero co wzeszło małe ogóreczki. Ogołociłam ogród. Pamiętam jak Matka moja wyrywała pas z rąk swego ojca (a często ona musiała wyrywać pas najpierw z rąk swego ojca a później męża!) Drugi obrazek to spacer z matką nad jakąś rzeką. Brzeg był pochyły obsypany dzwoneczkami „kołokolcziki” pod olbrzymią jakąś ścianą ni to twierdzy ni to bram cerkiewnych. Sądząc po albumach Psków był ponurem miastem.

Matka moja była ulubienicą Ojca, to ona szykowała mu na te dalekie podróże lokomotywą walizeczki z jedzeniem, smakołykami przez siebie robionymi - zmianami bielizny itp. Sabina i moja Matka były łagodne i spokojne. Reszta sióstr była gwałtownych temperamentów, silnych jak by dziś powiedzieć osobowości i rygoru Babci jak życie później pokazało nie bardzo wychodziło im na dobre!, raczej nie! nie bardzo było im w życiu pomocne!

Jedną z dziwnych osobliwości mojej Babki Beaty była wielka nieżyczliwość do książek i do kadryli. Opowiadały mi moje „bajczarki” że tańczenie kadryla było w domu na sobotnich tańcach „zabronione” Pytałam „dlaczego” nie znając w ogóle co to za taniec kadryl - matka odpowiadała że nie miały wówczas i nie mają teraz na to odpowiedzi. Książki były tylko w pokoju Dziada. Rosyjskie, polskie, niemieckie. Dużo czytał. Babka tam nie miała wstępu - nawet podobno nie chciała! To były „przyczyny zła” na świecie grzech i sodomia - pewna droga do piekła bez czyścica. Moja matka za to rwała się do książek i często sama i w obecności Dziada przesiadywała u Niego. Ciotka opowiadała, że Babcia zgrzytając zębami i przemierzając marszem pokoje zawsze wymyślała dla „Kazi” jakąś pilną robotę aby ją wywabić z pokoju.

Co było w tym kadrylu, w książkach? Chyba, że te obydwa słowa zaczynały się na „k”. Dziad podobno babkę bardzo kochał. Ale tak jakby w stawiku przykrytym rzęsą życie trwało w pozornym bezruchu i ciszy. Wszystko zabalgotało od przybycia Kryłowa. Franuś jednolatek Kryłowa i pewnie na tym samym wydziale bardzo się z nim przyjaźnił. Pierwsza rozmowa z Matką musiała być w r. 1906. Babcia powiedziała, że raczej trupem padnie, nim rosyjska noga wejdzie w próg jej domu. Miała rację z różnych powodów - patriotycznych i osobistych o , których wtedy jej to nie przychodziło do głowy.

Pierwszą „zakochaną” była Wanda. Ojciec mój był bardzo ładny, wesoły „bałaguł” z gitarą i z kilkoma tomami różnych wierszy. Czytał im wszystkim, kto chciał i nie chciał słuchać. Wieczorami po modlitwach młodzież zbierała się na werandzie wychodzącej na ogród - sad owocowy (wszystko to sobie wyobrażam podparta luźnymi uwagami „Rudniczanek-bajczarek”). Śpiewali rosyjskie piosenki o , których nawet trudno było pomyśleć w tym domu.

Ludowe piosenki, smutne i tęskne, zawsze o nieszczęśliwej miłości i o rozstaniu. Pańszczyźniany naród, gdzie chłopcy szli do wojska na 25 lat a dziewczyny szły do „dworu” na „dworskie dziewczki” do posługi paniczów.

O czym oni mogli śpiewać. Wertyńskiego nie było. W sowieckiej Rosji nie śpiewano tych prawdziwych ludowych piosenek, sowieci układali nowe „ludowe” sowieckie pieśni. Gdyby je posłuchać jedną po drugiej - ani ton ani rytm nic się nie zgadzało w tym śpiewaniu kiedy ja we Lwowie zaśpiewałam im ludowe rosyjskie piosenki - poniektórzy z nich mówili „to już carskie wyrzutki wymyślili to na Zachodzie”.

W latach 80 tych zaczęli do tego powracać! Jakież to mogły być „rozputy” na tym pskowskim balkonie! Speszony pewnie tym polskim domem biedny „kacapek” ratował się „gitara” miał 21 lat! Z rana Babka wołała na „dywanik”, o której się kończyło śpiewanie, co śpiewali, o czym były rozmowy. Czy były pocałunki, czy czułe słówka lub komplementy o tym Babce do głowy nie przychodziło zresztą jestem pewna, że tego nie było. Ale najbliższej soboty Babcia sprowadziła inżyniera geologa Fabiana Połubianko - dawno zerkającego za Wandą i pracującego - kazała mu się oświadczyć a Wandzie przyjąć oświadczyzny. O sprzeczniwie nie było mowy, o odwołaniu się do Oj ca nie było mowy - bo On w tych „domowych” sprawach w ogóle nie brał udziału.

I tak oto Wanda w tym samym roku „odbyła” ślub i z niekochanym a bardzo porządnym i miłym człowiekiem wyjechała do Tyflisu gdzie Fabian dostał w jakimś „górnicyzm konsorcjum” dobrą pracę. Podobna awantura była w roku następnych wakacji ale z Zofią. Z tą bardzo energiczną i twardą dziewczyną były kłopoty, ale i z nią Babcia poradziła - wysłano ją w głąb Centralnej Rosji też do jakiejś rodziny Szweykowskich (Bronia Połubianko mówiła mi „no ty jako Rosjanka nie wiesz co to znacz y - ale „y” w środku polskiego nazwiska - znaczy szlachectwo” (Było to w wiele lat później!)

Dzieje tej Zofii były romantyczne i tragiczne! Zakochała się naprawdę w młodym Gieysztorze (podobno z książęcych rodów) była bardzo piękną kobietą - zaszła w ciążę, urodziła martwą córkę i rodzina normalnie wyrzuciła ją z domu. Co z nią było przez jakiś czas nikt mi tych plotek nie mówił, ale na własne oczy w Pskowie widziałam jak w karecie z dwójką białych koni w przepięknej toalecie z mężem generałem Kożewnikowym przyjechała z Petersburga do Pskowa. No naturalnie, żeby napsuć krwi swojej rodzinie. Nienawdziła podobno tego biednego kacapa z całych sił - ukrywał się w latach 1917-1918 - wydała go władzom sowieckim, wróciła do pannieńskiego nazwiska i przyjechała w r. 1922 do Polski. Pomijam najbardziej tragiczną sprawę w jej życiu.

Naturalnie młody Gieysztor znikł z jej życia - ale ona w którąś noc Sylwestrową przedostała się na bal Korpusu Paziów w Pałacu Zimowym i stojąc na balkonie z lekka otwartym rąbnęła z rewolweru do tańczącego Gieysztora - skandal był nie ludzki. Zatrzymano ją ale rodzina Gieysztora bała się strasznie skandalu po spotkaniu z Gieysztozem Zofia opuściła Petersburg a jego wysłano do Ameryki. Żeby wszystko uciszyć!

W Polsce Zofia miała przyjaciela młodego chłopca (duża różnica lat!) którego kształciła w Uniwersytecie W. Utrzymywała (miała kupę biżuterii!) ożeniła z młodą kobietą i kilka lat im matkowała. Czasami podejrzewam że jestem do niej trochę podobna. Poznałam ją jak znalazłam się na Niskiej. Rodziny uczyć nie miała i do żadnych bliższych związków między nami nie doszło.

Na krótko przed swoją chorobą i śmiercią gdzieś w latach ostatnich 60 tych - prosiła mnie bym pojechała z nią do Siedlec do dra Gieysztora, który tam praktykował. Nazwisko to już wtedy było mi znane z jej życia - pojechałam z nią, była u tego doktora - co tam było nie wiem, kim był ten lekarz w stosunku do tamtego młodego - Zofii nie pytałam. Było mi smutno. Ona też mi nic nie powiedziała. To wszystko co wiem o Zofii. Ach jeszcze jedno. W szpitalu na kilka godzin przed śmiercią na ogryzku gazety napisała „Halina zgłoś się do dra... był moim kochaniem i u niego przechowuję resztę swojej biżuterii - odbierz to”. Nie poszłam, nie odebrałam. Młody człowiek, który dzięki jej miłości i trosce skończył studia był w międzywojennej Polsce znanym adwokatem.

Z trzecią córką Kazimierą nie poszło tak łatwo. Była córką swojej Matki. „Wyrzeknę się Boga, Kościoła i wszystkich świętych a Kryłowa chcę za męża! Awantura z Matką była tak okropna, że Babka dostała zawału i po kilku dniach zmarła! Była b. otyłą kobietą i co dzień kolejna córka czesała jej do kolan sięgające włosy - nie mogła rąk podnosić! Jedyna wnuczka Tamara Halina Kryłowa dziedziczyła po niej tę „kompleksję”.

W sprawę ukochanej córki wdał się Dziadek. Matka moja nie była w ciąży ale wówczas o mało nie całonocne spędzanie czasu na muzykowaniu we dwoje na werandzie było już dostateczną kompromitacją met bardziej że awantura z Babką i rozgłaszane wszem i wobec oświadczyzny mojej matki „że tylko Kryłow” rozeszły się po mieście. Użyto wpływu kanoników, których Matka moja przepędziła i oświadczyła, że wyrzeka się Kościoła. Podobno było piekło! Najgorsze było to, że mój ojciec tenże Kryłow nie kochał Kazimiery i nie miał zamiaru się z nią zenić!

W ogóle memu Ojcu nie wpadły w oczy Polacy! Podobno dziad z bronią w ręku (to wszystko od Wandy i Zofii słyszałam) zmusił Kryłowa do małżeństwa. Rewelacją tego ślubu (jakby tego wszystkiego jeszcze było mało!) było to, że moja Matka ślub brała w żałobie - bo po Matce! Matka ślub brała 19.6 a Babka zmarła 16.5.1909. Gdzie ojciec pracował w Pskowie nie wiem.

Mieszkaliśmy u Dziadka. Sabina kolejna córka wyjechała do rodziny bardziej na zachód poznała Rosjanina czy Łotysza z pochodzenia Niemca - wyszła za mąż - Iwandt - miała 4 dzieci i moja córka Kasia była u nich w Pskowie w r. 1972 - Sabina pracowała na międzynarodowym telegrafie w Wiatce i nawet Niemcy ją stamtąd nie wyrzucili.

Wybuchła I wojna światowa. Ojciec mój był oficerem carskiej armii i został skierowany do I Syberyjskiego Pułku Kozackiego w Omsku. O tym pułku jest mowa w książce „Dwinger E.E. Armia za drutem kolczastym” Kraków-Wwa Panteon. Mobilizacja musiała być już organizowana w Rosji chyba na początku 1914 roku bo przyjechaliśmy; y do Omska latem - dom był zorganizowany, dwie dziewczyny „dieńszczyk” i kochanka Ojca młoda dziewczyna. Podobno podczas awantury z moim Dziadkiem Kryłow miał powiedzieć „nie kocham pańskiej córki i ona dobrze zapłaci za ten ślub” No i zapłaciła! Po podróży do Omska nie pamiętam ale pamiętam że jechaliśmy tam przez miasto Jarosławł i Kostroma. Może tak biegła kolej nie wiem.

W Jarosławlu ze statku (jechaliśmy jakąś rzeką) matka zносиła mnie do dorożki do szpitala na rękach (jak chleb na dożynkach) miałam zapalenie stawów rąk i nóg. Byłam w szpitalu. Z podróży tej pamiętam obrazki z życia rosyjskiego.

Matka musiała mieć ograniczone pieniądze na podróż. Hotele były zawsze tylko jedno w każdym mieście - były obliczone na wyższych wojskowych, podróżujących urzędników carskich na inspekcjach, szlachty - ziemiaństwa przyjeżdżające do miasta na czas dłuższy - i były drogie. Dzielne pobyty nie były wynajmowane w dodatku z 2 ką dzieci. Ale były tzw. domy zajezdne. Pokoje można było wynająć na dnię - tak mieszkaliśmy w Jarosławlu po moim wyjściu ze szpitala.

W takim „domu zajezdnym” „zajezdnyj dom” nie było restauracji ani kuchni, żeby można było np. coś ugotować. Lepsze „domy zajezdne” były zawsze niedaleko hotelu a stamtąd zamawiało się obiad, , który lokaj w białym kitlu i z „pańskimi” minami przynosił posiłek. Wszystko zawsze było zimne i często grymasiliśmy przy jedzeniu a matka oparta przy stole gorzko płakała. Te obiady i tych „kelnerów” dobrze pamiętam. Matka była prawie bez bagażu - miała dwie podróżne skórzane torby - często na stacji gdzieś wychodząc - siedziałam przy tych torbach. W Omsku była głośna rozprawa z wyjazdem współlokatorki. Matka kazała nam nie rozbierać się i sama siedziała w jadalni w ubraniu. W końcu wyniesiono kufry młodej pani i ojciec z nią odjechał.

Omsk to na ówczesne czasy był dużym gubernialnym miastem. Duże główne ulice były wymoszczone „końskimi łbami” a reszta tonęła w głębokim kurzu latem, jesienią w błocie z drewnianymi „trotuarami” wzdłuż ulicy. To było kilka desek ułożonych na wbitych w ziemię kołkach aby trochę wyżej. Dom nasz stał jakby na przedmieściu.

Z jednej strony był niewielki brzozowy lasek, piękna aleja z drzew wiodąca wprost na od r w step, z drugiej strony wzdłuż ulicy było kilka domów obok nas na niewielkim wzniesieniu, droga do miasta i na horyzoncie po zejściu z naszego wzniesienia naprzeciwko również na górze stała cerkiew.

Z tą cerkwią wiąże się moje przeżycie pamięć którego zachowało się do dnia dzisiejszego. Ojciec był rzadkim gościem w naszym domu. W końcu 1914 roku przyjechał z Chabarowska do nas Dziadek. Fabian Połubianko zmobilizowany z Tyflisu do Chabarowska 1914 r. po roku zmarł na gruźlicę - zmiana klimatu była zabójcza. Wanda z trojgiem dzieci poszła do pracy,; szybko znalazła sobie zamożnego przyjaciela i jakoś zaczęła żyć. Pracowała w Dyrekcji Kolei Żelaznych w Chabarowsku. Matka moja w Omsku ustanowiła porządek dnia i pracy w swoim domu wg własnego wychowania Babci. Był duży dom ogród warzywny, sad i przyległy duży lasek.

W Rosji tem bardziej na Syberii taki dom musiał być samowystarczalny. Matka, Dziadek i ja jechaliśmy furmanką do miasta. Na kamienistych drogach „brukowanych” tak trzęsło, że mnie mocno trzymano bym nie wypadła z wozu! Hałas na ulicy od tego jazgotu (przecież bez ogumienia) był ogłuszający. Na głównych ulicach „dworniki”, (dozorcy ale to w polskim znaczeniu nie umywa się do „dworników” byli oni przeważnie to co dziś się nazywa „informato-rami” a dawniej szpiclami) mieli obowiązki od samiułkowego rana rozkładać po jezdni snopy słomy aby likwidować hałasy i zmieniać te snopy - niechby spróbowali zapomnieć - pamiętam rozmowy mojej matki z dziadkiem jak za jakiś tego rodzaju „nieobowiązek” biedny dozorca został zesłany na Sachalin. Wtedy jeszcze nie było Kołymy, Workuty - Był Sachalin.

W czasie mojej „natężonej współpracy narodowościowej” z białymi Rosjanami w Wwie o czym piszę w V zeszytcie bardzo dużo czytałam po rosyjsku. Z Bibl. Narodowej dostawałam wszystkie 16 tomów Czechowa. Ale moi „biali” powiedzieli mi, że jest tom 17 ty ale go nigdy się nie dostanie do czytania. Dopiero w latach 60 tych miałam w Bibl. Nar. na Ochocie znajomą czy krewną Marii Krasnodębskiej i od niej udało mi się dostać 17 tom z „prohibitów”. Otóż Czechow w latach 1890 tych pojechał na Kamczatkę i Sachalin. I pewnie to było pierwsze opisanie osiedlania więźniów tak Polaków, jak i Rosjan. Strach wtedy było to czytać.

Nie ma co opisywać po wszystkich okropnościach „gułagów” które dziś znamy. No to właśnie tam zsyłali tych nieposłusznych lub leniwych „dworników” i Polaków. W sklepach jesienią trzeba było zakupić na długą zimę herbatę, cukier, mąkę, tytoń. Oleje rozmaite, sól, mydła itp. Zimą ostrą i śnieżystą nawet sanie nie chciały jechać. Zaopatrzenie na zimę w mięso było bardzo dobre. Przyjeżdżali chłopci ze wsi i przywozili całe świniaki, półcie wołowiny.

W ogrodzie naprzeciwko kuchni było głęboko w ziemi wykopana spiżarnia „kładowśka”

Były tam półki, beczki - czego tam nie było. Były np. worki z orzechami laskowymi, włoskimi i „kedrowyje oreszki” . Po polsku „kedr” - to cedr - nie wiem czy na Syberii były cedry - ale orzechy były. Dom od strony kuchni był otoczony werandą (pod jednym dachem z domem) oszkloną też z półkami i z ogromnymi beczkami drewnianymi i cynowymi na przechowywanie wody. Z wodą były duże trudności chociaż Omsk jest otoczony rzekami. Wodę wozili latem i zimą „woziwody”. Latem przywozili wodę pitną - trzymaną w innych beczkach - i wodę z rzek do użytku domowego. Woda pitna była tylko do użytku w kuchni. Np. do picia (a były czasami okropne upały!) my dzieci piliśmy ze „spiżarni” mleko lub wozami przywoziło się arbuzy i melony składowane na podwórzu na specjalnie wybudowanych) „podmostkach”.

Podłoga z desek i na słupach pochyłe nawisłe dachy! Z owoców w Omsku pamiętam te arbuzy, melony, jabłka i żurawiny. Cytryn ani winogron ani pomarańcz, ani gruszek ani truskawek. Ojciec bywał u nas gościem. Dla niego trzymało się w domu trzy myśliwskie psy i stajnię dla konia. Często przyjeżdżał z ordynansem, z kolegami i jeździli na polowanie. Dziczyny u nas w domu było dużo i często matka przez nasze dziewczuchy posyłała sąsiadom kuropatwy i zające tyle przywozili myśliwi. Najpiękniejsze zające były zimą - były białe. Ze skór tych zająców robiło się puszyste dywany na podłogę zimą w naszym dzieciennym pokoju robiło się „rotundy” t.zn. takie okrycia sukienne podbite futrem zajęczym szerokie peleryny bez rękawów.

Naturalnie „burżujskie” rotundy były podbite sobolami! Niedaleko nas (a w ogóle na Syberii było dużo Niemców posiadających duże gospodarstwa rolne dziś by się mówiło przetwórcze) była właśnie taka ferma mleczna. Czy e co dzi tego nie wiem t.zn. nic z tego nie pamiętam ale pamiętam jak zajeżdżał w dwa konie wóz ze stągwiami mleka, śmietany, serów okrągłych jak niektóre stoły! sery były rozmaite i wszystko to zносиło się do piwnicy x tej wykopanej w ziemi „spiżarni”. Oprócz tego były tam beczki z solonymi grzybami i solonymi trochę większymi od rajskich jabłuszek - zielonymi jabłkami. Oprócz jabłek solonych, kwaszonych pamiętam z dzieciństwa kwaszone całe nieduże główki kapusty też w beczkach.

Suszone grzyby podwieszane pod sufitem były x na tej werandzie przy kuchni. Za to herbata, cukier w dużych spiczastych głowach dużych i małych (pamiętam np. że były okryte zawsze grubym niebieskim papierem) tytoń, zapalki były przechowywane u Dziadka w pokoju. Duże metalowe pudła landrynek też! Żurawiny były w ogromnych glinianych garach w piwnicy.

Najwięcej poza zającami u nas w kuchni było ryb i to zarówno latem jak i zimą. Latem ojciec jeździł na ryby. Raz nawet na noc mnie małą dziewczynkę, musiałam mieć wtedy ze 6 lat zabrał ze sobą na łódź. Było tam dużo rybaków i łowili ryby, na „ogień”. Rzucali coś palącego się do wody! Matka moja w nocy po powrocie robiła ojcu okropne wyrzuty i skargi, że chciał zabić dziecko!

A mój ojciec wyobrażam go sobie był fantasta, romantykiem, kochał życie i wszystko z nim związane! Ale był gwałtownym i brutalnym człowiekiem.

Pamiętam dokładnie okropną scenę na naszym podwórzu. Skąd tam się wziął x tzn. nieduży oddział żołdatów - nie mam pojęcia i jakoś nie spytałam o to moją matkę przy spotkaniu w Polsce. Oddział w szarych szynelach stał w szeregu przed ojcem - i ojciec nahażką bił ich po kolei na odlew! Jak popadło! Na to wypadł mój dziad i matka. Dziadek stał przytuliwszy mnie do siebie na progu kuchni - a matka rzuciła się do ojca. Obrócił się i rąbnął matkę najpierw przez pierś a gdy siłę uchyliła bił ją tą nahażką po plecach. Dziadek rzucił się do Matki i ją odciągnął. Opowiadałam to kiedyś mojej przyjaciółce - w Polsce. Nie uwierzyła, że można bić w ten sposób człowieka (a było to jeszcze przed wojną!) i mówiła mi „ale już tyle lat minęło a ty to pamiętasz” A ja się pytam - czy taki widok można zapomnieć?

Wróćmy do dnia codziennego. Do jedzenia. Co się jadało w m moim domu. Były kapuśniaki słynne „szczy” rosyjskie rosoly z makaronem naturalnie ręcznie robionym, barszcze ukraińskie ze śmietaną, sznycle, kotlety mielone, zajace z buraczkami (często!) kuropatki smażone - nie! pieczone w „ruskim piecu” w cieście i ryby. Do rosołów często były pierogi nadziewane mięsem z ryżem. Były pierogi t.zn. wg naszych dziś określeń ciasta w brytfannach nadziewane kapustą z grzybami, ryżem z rybą, rybą z wody i pieczoną znowu w „ruskim piecu”.

Były ryby w galarecie, nie pamiętam zupełnie kur ani kurczaków! Były kartofle pieczone w piecu w łupinach - z masłem, ze śmietaną! Było bardzo dużo kasz. Perłową jadaną na mleku! gryczaną ze świeżym mlekiem, z zsiadłym. Kasze się gotowało nie w kuchni na płycie - ale znowu w glinianych garnkach po przepaleniu pieca ruskiego - i usunięciu nawet żaru - wsuwało się te garnki do pieca. To były pieczone kasze!

Każdej niedzieli z rana już na śniadanie były pieczone pierożki z twarogiem, z rybą i ryżem. Takie trochę podobne sprzedaje się u nas z czarnymi jagodami. Była sałatka jaka często robiłam we Włochach „ferajnie” mego męża podczas ich wizyt na „popijawę” u mnie. Oto ona! Buraczki w kostkę, kwaśne ogórki w kostkę, kilka kartofli w kostkę, garstkę fasoli gotowanej, śledzie w kostkę, cukier, sól, pieprz, cebula, oliwa, ocet. Do smaku!

Śledzie były u nas w domu pamiętam często. Z cebulą ze śmietaną. Lubiłam pić śmietanę z kubka. Nie wspominam mlecznych zup! Matka moja była nadzwyczajną gospodynią i kochała kuchnię! O ciastach nie wspomnę. Bo na rosyjską x to było istne szaleństwo wyrobów ciastkarskich przy czym rosyjskie łączyło się z polskimi tradycjami np. mazurki nieznane na rosyjskich stołach!

Były jeszcze takie x - coś jak podplomyki pieczone na gorących węglach - z konfiturami lub ze śmietaną. Był zawsze coraz to i inny kisiel z mlekiem.

Pomimo zup gotowanych zawsze na mięsie dodawano jeszcze śmietanę. I ja do dziś lubię zupy do , których zawsze dodam śmietanę! Te stały cudownej śmietany i śmietanki od naszych sąsiadów Niemców. Często Dziadek zabierał nas dwoje do nich z wizytą. To był duży dwór coś jak PGR - koni, krów, owiec. Ogromne majątki - i to wszystko na pewno zniszczyli Sowieci.

Czytać nauczyła mnie matka bardzo wcześnie. Czytałam dużo i chętnie. Niedaleko nas była biblioteka - chodziłam sama dumna do zmiany książek. Wyobrażam sobie, że znając nazwiska i pamiętając je do dziś - nie mogłam rozumieć wszystkiego co czytałam. Czarska - coś w rodzaju naszej Zarzyckiej, Bajki Braci Grimm, wszystkie bajki rosyjskie, podkradałam książki u Matki która chowała je przede mną np. Kuprina „Jonna” - życie prostytutek! lub książki Turgeniewa, którego kochała moja matka.

Właśnie Bajki Grimma dostałam na choinkę w r. 1916 od ojca. Jakie były moje zabawy i jak spędzałam czas. Lubiłam wszystkie moje zabawy. Najczęściej z rana szłam do mojej sąsiadki - przyjaciółki Soni córki któregoś z niższych oficerów „Pierwszy Kozacki Pułk” x Chodziła zawsze bosa i nie miała majtek. W związku z tym ja wychodząc frontowymi drzwiami, które wychodziły na taras zdejmowałam buty i ściagałam majtki. I oto raz pewnego znalezione je na tarasie! Co to się działo z moją matką! Była u rodziców Soni - ja się jej nie wyrzekłam i matka moja pojechała z Matką Soni i kupili jej buty i majtki. Ale Sonia w lesie mówiła do mnie „no nie mogę chodzić ani w tych butach ani w tych majtkach - ty zostań w swoich jak się bardzo gniewa twoja mama - ale ja je chociaż tu w lesie zdejmę!”

Chodziłyśmy po lesie i po drogach prawie do kolan w kurzu z pudełkami i zbierałyśmy rozmaite drobne szkiełka kolorowe od butelek z kwiatkami od zbitych filiżanek i talerzy! Namiętnie to obydwie kochałyśmy. Później nazbierawszy - oglądałyśmy. Miałam już duże pudło tych szkiełek! Uszka! denka czasami cegłą wyrównywałyśmy kształty! Goniłyśmy dużą żelazną obręcz o szerokiej listwie kijem albo ja za Sonią albo Sonia za mną , w tym strasznym kurzu. Matka po powrocie sadzała mnie natychmiast w sieniach przy kuchni do balii i szorowała jęcząc! Któregoś dnia (majtek nie zdejmowałam) w lesie zdjęłam buty i wracając nie mogłam ich znaleźć. Sońka przerażona uciekła do domu a ja poleciałam cichcem do Taniuszy. To była taka zastępczyni mamy - jakby ochmistrzyni, nosiła klucze, rządziła się ordynansem jak był u nas (bo nie było go stale - był przy ojcu) i drugą dziewczyną. Poszła ze mną do lasu i długo szukałyśmy moich butów, w końcu je znajdując.

Następna przygoda była gorsza. Poszłam sama do lasu i stamtąd goniąc motyle utonąłam w Stepie.

Nie mogłam znaleźć drogi do domu bo tam nie było dróg! tylko wysoka trawa - ułożyłam się na ziemi i zasnęłam. A tymczasem w domu zrobił się rwetes. Zawiadomili ojca w twierdzy. Przyjechał konno z kilkoma żołdatami i z zapalonymi pochodniami przeczesywali w nocy najbliższe osiedla okolice stepu. Znaleźli mnie i pamiętam jak senna ojciec trzymał mnie na koniu!

Łapałam taką muślinową siateczką motyle i przekłuwając przez środek szpilką przyczepiałam do dużych kartonów. Lubiłam w lesie na polanie patrzeć na łątki po rosyjsku x albo również po polsku ważki. Miały takie wylupiaste ogromne oczy - były znacznie większe niż te które oglądałam w Polsce - siadały w pobliżu - skrzydła rozłożone lekko drżały i mieniły się kolorami tęczy, błyszczwały!

Lale porcelanowej wydarłam ręce i nogi i tak jestem sfotografowana na jednej z fotografii natomiast miałam większe i mniejsze lalki szmaciane - miały pięknie narysowane oczy, warkocze z pa-kuł, koszule kolorowe i spódnice, na wierzch wiązane fartuchy. Spałam z nimi i często rozmawiałam. Najlepsze były zabawy w sklep. Na obramowaniu piwnicy był szeroki dookoła wał. Tam się stawiało wszystkie towary i wynosiło się z domu cukier sól, wszystko co się dało łącznie z pierożkami - układało albo na wpół rozbitych szklankach, talerz y, lub na liściach łopianu - robiło się papierowe torebki, papierowe pieniądze - do tego wszystkiego zawsze była potrzebna pomoc Taniuszy. Byłam właścicielką naturalnie i sklepową. Tutaj już było więcej dzieci z sąsiedztwa i nawet zjawiał się mój brat Wadimka, którego od nas bezlitośnie goniłam. Okrzyk mego brata „idę zabić Tamarę” był powtórzeniem stałym mego Dziada w stosunku do mnie. Bo i wzajemnie też była nieprzyjaźń między nami.

Przy stole pośrodku siedziała matka po lewej stronie brat i ja, a naprzeciwko siedział Dziadek. Posiłki były zawsze wspólne. Stół był szeroki, dziad ręką nie mógł mnie sięgnąć i ja często widząc, że patrzy na mnie pokazywałam mu język. Dziadek zrywał się po nas czasami przewracając talerze „ja ją zabiję!” ja wpadałam pod stół i obserwując jego buty z pod serwety suwałam się pod całym stołem czasami krzycząc po rosyjsku (z repertuaru Sońki!) x - stary chrzan x - stary czart lub x najstarszy diabeł - Begemota wyłażąc spod stołu ganiałam dookoła stołu przy czym w tę łapankę włączała się moja matka chcąc mnie obronić przed pasami dziadka!

Pokój dziadka (wejście z kuchni) był istną skarbnicą „majsterkowicza”. Czego tam nie było, tam przesiadywał mój brat, a ja często wpadając pokryjomu porywałam pierwszy z brzegu przedmiot: młotek, suwak, nożyce wynosiłam i upychałam w jakimś kącie w kuchni.

„striekola”

Poczem twardo trzymałam się^W pobliżu matki, słysząc miotającego się dziadka w poszukiwaniach i ryczącego „nikt nie mógł tego wziąć tylko to kacapskie nasienie musiało tu być, Wadimka mówił, że była”, Braciszek mnie sypał!

A gry w klasy, a skakanka, piłka, berek i chowany. Dziś nie widziałam dzieci tak wesoło się bawiących! Dzieci do lat 10, które do nas przychodzą, nawet nie chcą spojrzeć na znaczki, piękne pocztówki, kolorowe serwetki, do piłki w ogrodzie trzeba je namawiać. Siedzą i czekają, co będzie w telewizorze!

Zimą w jadalni (tak jak często pokazują filmy z lat ubiegłych -) pod wiszącą pośrodku lampą - matka cerowała a my rysowaliśmy, oglądaliśmy w książkach obrazki, matka czytała bajki, a dziadek raz w przystępie humoru uczył mnie godzin na zegarku. Zegarek był wielkości deserowego talerzyka i był schowany w lewej kieszonce „tużurka” u dziadka na piersi. Była wspaniała gra w „kamienie” i w tę grę grałyśmy „sybiraczki” jeszcze w Wejherowie.

Nazwisko autorki książek dla dzieci Klaudii Łukaszewicz pamiętam do dziś. Ile lat!! Bibliotekarka mówiła „a ty Tamaroczka tylko byś Łukaszewicz czytała a weź np. wiersze dla dzieci Niekrasowa” Nie, ja chcę Łukaszewicz. Było tam coś, co przeniosłam za drzwi naszej sypialni. Domy syberyjskie były drewniane budowane z ogromnych okrągłaków - zatykano szczeliny albo pakułami albo mchem ale jak uzyskiwano gładkość ścian? Nie wiem. Mieszkania musiały być tapetowane. I na drzwi wieszano portiery! Były to tkaniny raczej zawsze ciężkie, po obu stronach drzwi, poniżej klamek ujęte na boki tak jakby sukienka kobieca frędzlami z wiszącymi drewnianymi, kolorowymi kulami.

Z jadalni drzwi prowadziły do sypialni Matki do korytarza i do kuchni. Drzwi do sypialni były zawsze otwarte i „portiery” swobodnie sobie wisały. Za drzwiami (warunek był żeby nie naderwać tapety!) zrobiłam okrągłą dziurę aż do białego wion zawiesiłam z obu stron na gwoździkach „portiery” a dookoła obklejałam papierkami z cukierków, wycinałam małe obrazki z książek, rysowałam małe ludziki, wycinałam i przyklejałam, pióra od kur, kawałeczki wstążek, koronek a nawet małe kawałki szkiełek, kradnąc klej z dziadka pokoju. To musiały być jakieś reminiscencje z Łukaszewicz. Wieczorami siadałam przed tą dziurką i opowiadałam co mnie spotykało w ciągu dnia. Czy moja Matka widziała tę ścianę? W każdym razie nigdy się nie gniewała, że na tapecie zawieszam te bazgroły.

Jesienią były inne przyjemności i pamiętają je dzieci, które mieszkały we „dworach” i miały sady. Otóż było to smażenie konfitur - zawsze w ogrodzie na dużym palenisku, w ogromnych miedzianych misach smażyły się konfitury! Moja matka zasiadała niczym królowa na tronie, mieszała, ważyła cukier i owoce - dziewczyny musiały być ciągle pod ręką! nam dawano do oblizywania łyżki!

Smażone konfitury stały w słojach na półkach w tej werandzie przy kuchni. Była weranda druga od frontu gdzie stał duży stół, ławy a w razie większej ilości osób wynosiło się krzesła. I tam w niedzielne popołudnia latem odbywały się przedziwne zebrania - myślę, że to był obyczaj u wszystkich Sybiraków - ale nigdzie np. w literaturze na to nie natknęłam się.

Przy stole na werandzie zbierali się w niedzielne popołudnie po obiedzie coś jakby na podwieczorek wszyscy domownicy i goście. Ulicą jeździły wozy naładowane jak snopy zboża - snopami grochu - wiązanego i układanego na stole. Wszyscy dookoła wybierali z tego snopa strąki grochu i go jedli. Łupiny rzucało się na podłogę. Groch był zawsze młody i słodki jak miód. Szperało się, szukało mniejszych strąków bo były lepsze. Znalazłam w Supraślu taki podobny do naszego domu w Omsku dom. Był na wysokim podmurowaniu - w Rosji nie było podmurówek! tylko taka od frontu weranda i coś w ogólnym pejzażu było z mego dzieciństwa.

Miałam nie tylko przyjemne wspomnienia.

Dziada swego nigdy nie widziałam siedzącego bez pracy. Zawsze był zajęty - zawsze coś robił. Najczęściej widziałam go jak przy-szykował drzewo na opał - i na lato do kuchni i na całą zimę na cały dom. Chłopi przywozili ogromne bele drzewa - sosny, brzozy (dziś mniej więcej pamiętając ich długość zmierzyłam centymetrem) długość ich była 90 cm. to były takie kłocce - porąbane t.zn. przepiłowane drzewo po kawałkach. Na podwórzu stał ogromny pień - dziad z ogromną siekierą podchodził do kłocu - jednym zamachem wbijał siekierę w sam środek i podnosił go siekierą ponad swoją głowę - żeby drugim rozmachem rąbnąć tym kłocem o pień, kloc był zawsze rozbity na dwie części. Ale ten moment - ta chwila kiedy siekiera z kłocem wzlatywała w górę - dech mi zapierało ze strachu, że on spadnie na głowę dziadka był straszny - zamykałam na chwilę oczy - dopiero łomot uzmysławiał mnie że dziadkowi już nic nie grozi. Czasami stałam opodal i napatrzeć się nie mogłam tego rąbania. Właśnie te duże kłocce przepołowione całe używało się zimną do pieca w pokojach. Były i małe rąbania - duże składowano tuż przy domu pod dachem z desek - małe układało się na ścianach domu. To był właśnie mój horror! A jak pachniało pięknie drzewem - i świata się nie widziało bo były okna zamarznęte w piękne, artystyczne wzory!

W Omsku widziałam kilka razy trąby powietrzne kurzu i pewnie małych kamieni. Ludzie zawsze wiedzieli kiedy taka trąba ma przyjść i przychodziła. Sunęła wysoka aż do nieba jak kolumna lekko się chwiała - a na górze miała tak jakby kapelusz! W takie chwile nad miastem leciały niczym ptaki - dachy pewnie „słabszych” domów dał nie duży wiatr - i były przygotowane takie grube wołokowe materace ściśle przylegające do okien.

Na zewnątrz domu były okiennice drewniane na Syberii często rzeźbione i pięknie malowane - w oknach były otwory przez które po zamknięciu okiennic - przesuwano się do wnętrza domu x - żelazny mocny pręt zasuwany przez otwór na końcu zatyczką.

W czasie takich „trąb” zasłanianie na zewnątrz okiennice - wewnątrz materace wojłokowe i trzeba było siedzieć właściwie nie wiem dlaczego po ciemku! To zawsze było pod wieczór - często zasypialiśmy i następny rano był znów ślicznym dniem. (Poza nieszczęściami jakie spotykało na pewno sporo ludzi!) kurz po takich trąbach był bardziej miękki niż sól! Zjawiały się na horyzoncie i sunęły majestatycznie niczym ogromne żagle - do ostatniej chwili matka nie mogła mnie ściągnąć do domu.

Myślę, że o rosyjskich „baniach” na wydziale Rusycystyki można by było pisać doktorskie rozprawy. Nad Mereczanką w Rudnikach też była bania. Banie zawsze muszą być nad rzeczką niedaleko młyna, nad dużym strumieniem. Z bierwion (jak zawsze w Rosji) nieduża izba nie wysoka (wysoki mężczyzna 1.80 m. musiałby się schylać!) z przedpokojem. Wieszaki i ławy by móc się rozebrać !

Drzwiczki pieca były w przedpokoju t.zn. w sionce a piec w drugim pomieszczeniu, jak były połączone ogromne kamienie z piecem nie pamiętam - ułożone obok siebie w koło - obok stały beczki z wodą. Kamienie były rozpalone jak żelaza do gorącości. Co pewien czas polewano się je wodą - robiła się gorąca para. Wzdłuż jednej ściany były nary i kilka schodków. Nary były x t.zn. były trzy piętrowe. My dzieci czasami nawet siadałyśmy obok matki na drugim. Ale wytrzymać można było pewnie tylko 2-3 minuty! Oprócz tego w bani zawsze tak pięknie pachniało! Namoczone drzewo nar z oblanymi ścian - bierwion - dawały specyficzny zapach i zapach moczonych x to miotły lub miotełki z witek brzozy - duży pęk - biło się tym po plecach nogach, udach i ramionach. Nas bili też.

Do bani jeździliśmy zimą sankami - w bani był upał nie do wytrzymania - matka często wyprowadzała nas do sionki, i po chwili znów wracaliśmy na nary! Zapach brzozy (witki z listkami!) mydła i ta wolność oblewania się wodą ile zechcesz. W bani było zawsze nieduże okienko. Do bani jeździliśmy co sobotę - woźnica na saniach miał „zajęcie rotundy” owijało się nas w nie jak kukły i tak wracałyśmy do domu. Z nami i matką zawsze były nasze Tania i Luba. Po przyjeździe do domu był przygotowany samowar i piło się gorącą herbatę z żurawinami! Były naturalnie pierożki!

Córka moja jako lekarz towarzysząca wysokogórskiej międzynarodowej grupie wspinaczy w Ałtaju była w Barnaule gdzie spędziliśmy w jurtach kirniskich wakacje. Opowiadała, że teraz banie są dwuizbowe większe, piece duże kamienie tak samo polewa się wodą. W drugim pokoju też nary - by ludzie mogli trochę odsapnąć po tych kamieniach polewanych wodą.

Z beczek czerpało się wodę drewnianymi czerpakami podobnymi do naszych góralskich a obok siebie na narach stało zawsze naczynie drewniane z wodą - polewało się twarz bo para bywała tak gęsta, że się obok siebie nie widziało sąsiada. Ach te rosyjskie banie!! Dopiero dziś pisząc te kartki wywołuję te wspomnienia - już prawie zatarte!!

Latem - pamiętam taką jedną jazdę do miasta. Jechał dziadek, mama i ojciec przysłał ordynansa - pewnie były jakieś większe zakupy - wóz był zaprzężony w dwa konie - i jeśli po powrocie do domu wozem w jednego konia dziewczyny załamywały ręce nad naszymi „wyglądami” - to co można było powiedzieć jeśli kurz na drogach ugniatało osiem kopyt! Wtedy woźnica na od r mamę i nas odwoził do bani - były tam już dziewczyny, nagrany „par” i x i woda!

Mężczyźni pojechali po nas. Dziwnie, że lepiej pamiętam banie i jazdy do niej zimą niż latem. Często latem wyjeżdżaliśmy z matką i jedną z dziewczyn do Kirgizów na „kumys”. Kumys to sfermentowane w ogromnych skórzanych workach kobyłe mleko! Bardzo smaczne, kwaskowe i piło go się dużo w te upały! Mieszkaliśmy w osobnej „jurtce” ale urządzonej tak po kirgisku, spaliśmy tak jakby w jakichś szufladach wzdłuż ścian - pośrodku palenisko i nad nim otwór na zewnątrz dla dymu. W naszej jurcie nie gotowało się jedzenia - jedliśmy z Kirgizami siedząc w kucki na powietrzu przy ich „trójnogach”. Wisiały tu garnki z zupą, z jarzyną, z mięsem. Pamiętam ich tradycyjną potrawę. Nad trójnogiem wisiała duża miedziana miednica, głęboka - z tłuszczem baranim. Obok kobiety lepiły w rękę tak jakby małe pączki - wielkości włoskiego orzecha - wrzucały na gotujący się tłuszcz, wyjmowały i osuszały na sitach. Były to bardzo smaczne kulki i my z bratem zawsze czekaliśmy na to „pieczenie”.

Obok był wypalony z trawy step i dzieciaki - nasi towarzysze chodzili (odwrotnie niż Sońka!) w sandałach podobnych znów do naszych góralskich kierpców. Na głowie miały sukienne czapeczki i skórzane kurtki za kolana! Chronili się w ten sposób od gorąca! Nie pamiętam zabaw z tymi dziećmi, ale coś przecież musieliśmy robić bo czasami i miesiąc siedzieliśmy w jurtach.

Dziadek przyjechał do nas do Omska pewnie w 1914 roku zimą i odjechał do Chabarowska do Wandy Połubianko pewnie gdzieś w r. 1916 latem. W Polsce podczas spotkania mego z Matką w r. 1928 spytałam ją co to były za wesołe spotkania i śpiewy w naszym domu w Omsku i dlaczego nigdy nie było ojca z nami. Matka odpowiedziała mi, że ojciec znudzony pracą w twierdzy zapisał się do Instytutu Języków Wschodnich obejmujących dialekty i narzecze wszystkich ludów ówczesnej Syberii (było coś takiego, gdzieś podczas czytania pamiętników z Rosji trafiłam na nazwę takiego Instytutu w Omsku!) Towarzyszy a najwięcej towarzyszki swoje sprowadzał do nas na wieczorne i nocne śpiewy i dyskusje (trzeba przyznać, że nie pił!) a mieszkał zawsze w mieście z jakąś „kochanką”.

Po wyjeździe dziadka raptem do nas przyjechała najmłodsza siostra Matki Bronia - wówczas 20 letnia panna. Piękną to ona była naprawdę. Skąd i czemu do nas przyjechała nie wiem. Może już przed tem była z ojcem umówiona? No ale o tem się jednak nie mówiło. Może rzeczywiście spotkanie mego Ojca z Bronią było dla obojga uderzeniem pioruna. W każdym bądź razie ojciec pozostał w domu. Z korytarza, z werandy jedne drzwi prowadziły do pokoju ojca a naprzeciwko były drzwi do dużego pokoju, w , którym obecnie zamieszkała Bronia.

Z czasu krótkiego u nas pobytu Ojca najwięcej skorzystałam ja. On chyba dla „niepoznaki” bardzo się mną zajmował. Co dzień w książce b były zaznaczone daty, które wiersze mam się uczyć. Dużo znałam rosyjskich wierszy, do dziś niektóre wówczas uczone i przez matkę i przez ojca pamiętam. Prowadził ze mną rozmowy i wieczorami na „nieodstępnej” werandzie siedząc z Bronią - mnie na tych pogaduszkach zatrzymywał. Wtedy już mówiło się o jakichś brakach w zaopatrzeniu, do mojej Matki przychodziły kobiety i były długie z nimi rozmowy. Ale u nas nic się nie odczuwało. Był Dziadka pokój jeszcze pełen cukru, nafty i zapalek! Tyle, że lampy teraz czyściła i naftę nalewała Taniusza!

Aż tu któregoś dnia było jeszcze ciepło! (to już wiem od Matki!) ojciec zostawia kartkę dla Matki „Proszę nie szukaj nas, kocham Bronię, odjeżdżamy i nie liczy, że kiedykolwiek wrócę”. A to już pamiętam. Matka objęła mnie i powiedziała „wiem gdzie oni są - ojciec Cię Tymciu bardzo kocha - może jak Cię zobaczy, skruszy się jego serce i wróci do nas - jedziemy razem do Ojca.” I pojechaliśmy.

Było ciepło. (Ja coś tak jak Rodowicz „było ciemno, było ciemno” - a ja było ciepło!) Z woźnicą w tarantasie to taki jakby kosz wyמושczony słomą, przykryty tkani nami - można w nim spać - pojechaliśmy do Ojca. Było to daleko bo noce spędzałam w wiejskich chałupach! Dojechaliśmy. Mogłabym narysować ten dom i to wejście po wysokich schodach - we wsi zamożny dom. Broni nie widziałam - na straszny krzyk ojca sturlałam się zdjęta strachem do tarantasu - a moją matkę normalnie jak piłkę cisnął ze schodów daleko na podwórze. Matka płakała, Broni nie było, gospodyni domu też się nie widziało, słyszałam tylko krzyk dziki ojca i łagodne chłopskie umawianie furmana by matka wróciła do wozu. Wróciła.

Wracałyśmy. Wtedy odeszła Luba, została tylko Tania. W niedługim czasie przyjechał z Chabarowska Dziadek i tak jak przyjechał pomimo próśb Matki by chociaż dzień odpoczął - wyjechał na wieś pod wskazany przez Matkę adres.

Często w bezsenne podkowieńskie noce myślę co tych wrogów powstrzymało od gorszych jakichś bied. I o czem ci dwaj gwałtownicy z sobą mówili? Dziadek zabrał Bronię do Chabarowska - a ojca w domu u nas nie było. W 1917 roku nie zaznaliśmy głodu ani niedostatku, dom był samowystarczalny i były zapasy.

U Matki nad dużym łóżkiem, w , którym ona zimą spała z Wadimką a ja w łóżeczku naprzeciwko - wisiał ogromny obraz jak ja mówiłam „a co to za barin siedzi na tym grobie” Matka mi nie odpowiadała - a ja w wiele lat później poznałam ten obraz „Był to Chrystus w Ogrójcu”. Widziałam kilka razy moją matkę wieczorami klęczącą przy łóżku i nie mogłam zrozumieć co ona takiego robi. W naszym domu nie słyszało się słowa „Bóg” ani żadnych rozmów o religii. Matka moja biorąc w żałobie (po śmierci swojej Matki) ślub brała go w cerkwi, ojciec był absolutnie obojętny religijnie.

Co myślała i czuła moja Matka nie wiem ale po spotkaniu z nią w Polsce - wiem, że była całkowicie niewierząca w nic. W nic. Ani w Boga ani w ludzi! Wówczas dla mnie z Wejherowa przejętą ideami społecznymi Żeromskiego było to sprawa zupełnie niezrozumiała. Matka nie uczyła nas ani żegnać się ani mówić jakieś pacierze - a słowo samo „Bóg” jako słowo umykało mojej uwadze. Nie umiałam się przeżegnać ani po katolicku ani po prawosławiu i panie na Sedance ucząc mnie „żegnania się” były bardzo zdziwione .

5.I.1994.

Straciłam wenę do pisania. Muszę poczekać aż wróci.

11.1.1994.

Nie mogę o niczym innym myśleć, jak tylko o tej dacie t.zn. 11.1.1977. Dziś moja wnuczka skończyła 17 lat! 17 lat! A gdzie moje 17 lat? Moje 17 lat -nie mogę przestać porównywać tych dat! 28 maja 1927 roku - moje 17 lat i 11.1.1994 - 17 lat mojej wnuczki!

Jej szczęśliwa młodość, o której niema pojęcia że jest szczęśliwa, bezpieczna z matką, która jej przychyła nieba! I m moja? Czy to jest zazdrość? Nie, nie zazdroszczę! to jest żal... Żal przejmujący do szpiku moje stare kości...

20.I.1994.

Tutaj coś mi pamięć zawodzi. Z daty urodzenia mego brata najmłodszego x - Aleksandra w r. 1917 wynikałoby że cały epizod z Bronią był podczas gdy moja matka była w ciąży! Ale to już dotyczy wszystkich zmarłych! Niech oni i ich nieodpowiedzialne czyny - śpią w pokoju wiecznym!

Ale Nowy Rok czy też Wielkanoc rosyjską t.zn. prawosławną pamiętałam całe życie. Jednak to była Wielkanoc - nie było śniegu! i byłam lekko ubrana. Bez futer! Nasza ulica stała tak jakby na lekkim wzniesieniu i na końcu był taki x - stok, zbocze w niedużą dolinkę i na następnym wzniesieniu stała cerkiew.

Matka wzięła mnie za rękę i zaprowadziła na sam brzeg zbocza, z którego wiła się w zakrętach droga do cerkwi. Droga w pojedynkę, w dwójkę bo ścieżka musiała być wąska szli ludzie z zapalonymi świecami zapadał wieczór - sznur palących się świec wił się jak wąż - a cerkiew jak żagiew płonąca bijącymi w niebo światłami stała na wzgórzu! Było już ciemno.

Długo stała moja matka ze mną na tym stoku. Widok ten wypłynął ze mnie kiedy po raz pierwszy pokazałam się w cerkwi, gdzieś w r. 1931. Trwa niezmienny do dziś w oczach i bliską mi jest malarzka jakaś wizja Nowosielskiego.... Nie pamiętam jak długo nie było ojca w domu. Był już za to mały brat. Któregoś dnia jednak stanął w naszych drzwiach. Musiał być konno bo czarne długie oficerskie buty były szare od kurzu - był w drelichowym wojskowym płaszczu jeszcze z naramiennikami.

Musiała być jesień 1917 roku! Scena, którą tu opiszę znów będzie niezrozumiała dla wielu ludzi, ale ja ją widziałam! Matka wpadła do przedpokoju (ostatnio b. niedbała o swój zewnętrzny wygląd) włosy długie do kolan ledwo upięte grzebieniami i szpilkami opadały falą na plecy runęła na kolana przed ojcem i włosami wycierała buty z kurzu! Proszę myśleć co kto chce - ale np. ja dziś ją rozumiem!

W r. 1918 zaczęły się ni przelewki. Zabrakło już żywności, nie było cukru, soli, nafty.

Nie pamiętam kiedy odszedł ojciec do Twierdzy w Pietropawłowsku. To już znam z opowiadań po spotkaniu z matką - i nie mogę odżalować, że nie wyczerpałam dokładnie tych wszystkich dziejów tego okropnego roku. Któregoś dnia ojciec wrócił w podartym mundurze z zerwanymi naramiennikami („pagony”) na płaszczu i ze zgniecioną „carską” furaską w błocie. Musiał być bity. Po mieście krążyły Robotnicze Delegacje Rewolucyjne ze zbiegłych kryminalistów, dezertersów i band obdartych głodomorów. W Twierdzy postanowiono zebrać się wszystkim wojskowym (ocalałym!) już jako członków armii Kołczaka. Sońka wpadła do mnie rozogniona i zawołała „choć oglądać powieszonych burżujów!”

Naturalnie poleciałam z nią: tuż za naszym domem prowadziła do lasu i dalej w step piękna aleja brzoźowa - na każdym z drzew wiśli chłopcy - tacy może trochę więksi od nas kadeci z pobliskich koszar kadeckich. W mundurkach bez czapek kołysały się miarowe jak wskazówki zegara... Pobiegałyśmy z Sońką trochę i wróciłyśmy do domu. W tym czasie rodzina Sońki (wiejska rodzina) dzięki mojej z nią przyjaźni przynosiła nam kartofle, kapustę, słoninę nawet mleko. Ojca już jednak nie było musiał to być jednak koniec 1917 lub wczesny początek 1918 roku.

Wieczorami krążyły dookoła naszego domu jakieś patrole - zaglądały w okna, chowałyśmy się wtedy na podłodze pod oknem w kuchni. Szukali pewnie ojca, którego już nie było.

Pamiętam, że życie skupiało się w stołowym pokoju - bo w razie strzelaniny było osłonięte ze wszystkich stron, matka moja siedziała na kanapie myślę, że dziś to należałoby nazwać, że była w stanie „katatonii” i nikt się nami nie opiekował. Już nie rozbieraliśmy się do spania nie kapaliśmy - jak zagonione zwierzęta w klatce nie wysuwaliśmy nosa z mieszkania. Były ciągle słychać długie serie karabinów maszynowych - i tak oto weszłam w świat wojny. Miałam skończonych 8 lat.

Na ulicach zatrzymywano ludzi wyglądających na „burżujów” x - „pokaż ręce” i jeśli nie były to wg nich ręce ludzi pracy - tuż na miejscu byli zabijani.

W pewien dzień wpadł do nas chłop i runawszy matce w nogi wyjął „ach barynia i pani męża też posiekali na kawałki”. Okazało się, że był to sierżant Notapienko - był z ojcem w twierdzy - oddziały uzbrojonej Rady jednak dotarły do Twierdzy w Pietropawłowsku. Wkrótce potem przyszła do Matki delegacja starych już ludzi - oficerów z propozycją wyjazdu na Daleki Wschód t.zn. do Władywostoku. Organizował się ostatni pociąg z Omska.

Matka przyjęła propozycję i oto gdzieś w sierpniu 1918 roku siedzieliśmy w porządnym „coupe” z aksamitnymi ławkami rozkładanymi do spania - stolikiem pod oknem i dużą grupą wyższych i niższych rangą oficerów w innych wagonach. Sami starcy i kobiety z dziećmi. Naturalnie były całe paki ubrania, srebrne sztucce, biżuteria matki - pieniądze już nie miały wartości a ponieważ szło do zimy „rotundy zajęcze” zajmowały poczesne miejsce. Były kołdry, poduszki - dużo tego pamiętam było - nawet ciasno w przedziale. Pojechaliśmy - po przejeździe mostu - most został przez naszych współpodróżnych wysadzony w powietrze. Odjeżdżaliśmy - i na zakręcie widać było padający most jak na dłoni.

Co mogło myśleć i czuć dziecko które na to wszystko patrzyło i czy tak jak dziś jest modne mówić „że dzieciństwo stanowi o dalszym rozwoju dziecka in plus lub in minus właśnie od przeżyć w dzieciństwie” ciekawa jestem jaki też wpływ to pozostawiło na mnie na całe życie - i czy w ogóle pozostawiło. O tym o czym teraz piszę - nigdy nie rozmawiałam z nikim. Którejś nocy - pod wpływem miłosnych emocji - próbowałam opowiadać memu mężowi niektóre z tych oto wspomnień - a on zdziwiony „jakżeż po tylu latach możesz coś takiego pamiętać”. Co to znaczy pamiętać - ja nic nie pamiętam - ja to wszystko tak jakbym oglądała film widzę do dziś dnia. Widzę obraza mi - niczym malarz - chłonę pejzaż. „A ja z Kurytyby z naszego domu nic prawie nie pamiętam”. Co on miał pamiętać? Ogromny dom bogatych ludzi, do budowania którego teść mój z Hiszpanii sprowadzał jakieś gatunki drewna hebanowego na powały, schody i boazerie. Kupa guwernantek - służby. Było dwu synów w domu. Guwernantki, bony, obce języki do nauki...

Pociągi opalano drzewem tzn. napęd do jazdy. Jak daleko było od Omska do stacji Tajga nie mam pojęcia.

Kiedys gdzieś na jakiejś mapie widziałam to miejsce. Pociąg do-
rwał do Tajgi i z braku paliwa stanął. Pewnie myśleli (dziś my-
śle!) że znajdują dalsze zapasy drewna i znów pojedziemy. Ale nie-
stety na stacji były Ochotnicze Rady Robotnicze. I tu nam dali
„burżujskiemu nasieniu” popić!

Wywalili wszystkich na ubity ziemny plac, w głębi stał mały bu-
dyneczek - a wzdłuż placu barak jak stodoła z drzwiami pośrodku.
Kobiety wpędzono do baraku a nas dzieci (dużo nas było) pozosta-
wiono zbitych w gromadkę na placu. Nie było strasznie. Mężczyźni
którzy nas spotkali na stacji stanowili dziwne widowisko. Mieli
buty bez sznurowadeł i obcięte guziki u zszarganych szyneli - ale
byli i inni w wysokich wojskowych butach i kożuszkach. Nas jednak
dzieci ubawili ustawieni mężczyźni z wagonów - byli od szyi po
pas obwieszani medalami i krzyżami - stali dumnie (do czasu!) wy-
prostowani i usiłowali coś tłumaczyć naszym „panom”. A na placu
szedł pod niebo głośny niczym karabiny maszynowe rechot ex żoł-
nierzy! Nawet było tak jakby wesoło! Śmieli się do upadłego!
Zdzierali te medale i wobec oporu bili po twarzy tych starych lu-
dzi. A potem wszystkich rozebrali do bielizny. Zabrali mundury,
spodnie, płaszcze. Wynosili z pociągu wszystkie nasze paki. Nawet
z nas zdjęli płaszczyki i buciki. Po co im były potrzebne dzie-
cinne ubrania?

Po jakimś czasie wróciły kobiety. Wtedy całą grupę przeprowa-
dzono na dalszy tor z „tiepłuszkami”. Wejść na nie było b. trudno
ale zejść też dla nas dzieci było wysoko. W wagonie po obu stro-
nach były nary - jedna dosyć wysoka można było na niej co prawda
schylonym siedzieć - ale zawsze siedzieć - druga nad nią już tyl-
ko do leżenia i ostatnia najwyższa - w ogóle nie do „zamieszka-
nia” taka była mała t.zn. niska. Po obu stronach tej najwyższej
były wąskie okienka oszklone. Pośrodku stał żeliwny piecyk - tak
znana z okupacji - „koza”. Mężczyzn znów rechocząc posłali po
słomę na te nary. Naznoszono słomę i zapakowano nas do tych „tie-
płuszek”.

Czy zabili kogoś na tej stacji - nie wiem - było kilka genera-
łów admirałów i wyższych oficerów armii carskiej. Pociąg wyjeź-
dzający z Omska a widziany przeze mnie na zakręcie podczas burze-
nia mostu wyglądał jak długi wał. W Tajdze było już tylko kilka
„tiepłuszek” a zatem musieli zabić tych wszystkich mężczyzn sto-
jących na placu. W naszej „tiepłuszce” było kilku starych ale i
kilku młodych, którzy pewnie na stacji po morderstwach chcieli
zabrać się razem z nami na Wschód. Dlaczego w ogóle dali nam ten
pociąg i pozwolili odjechać? Myśmy zajęli lewą stronę wagonu mat-
ka na dole, nas na narach pośrodku zakopała w słomę. Po przeciw-
nej stronie byli inni ludzie - nie pamiętam ich.

Nie mieliśmy naczyń, wiader, łyżek, drzewa do pieca - ciepłego
ubrania - szedł wrzesień - na Syberii już zimny - pociąg jechał
na wschód - szła zima. Nie wiem jak s szybko t.zn. jak daleko od
st.

Tajga znaleźliśmy pociągi z żołnierzami wojsk interwencyjnych angielskich, amerykańskich i czeskich. Na jakiejś stacji przyszli chyba Amerykanie - dali nam wiadra, menażki, łyżki kilka kubłów węgla i porąbanego drzewa. Dzieciom rozdali koce. Myślę, że musieli być ciężko przerażeni. Kazali matce co dzień przychodzić do wagonów aprowizacyjnych - dostawaliśmy menażki zupy i trochę chleba. Dostawali wszyscy.

Ile było „tępłuszek” nie wiem. Staliśmy długo na jakiejś stacji. I raptem okazało się że nam więcej nie dadzą lokomotywy - a pociąg z Amerykanami odjeżdża! Matki długo nie było - amerykańskie zgodzili się przyczepić nas do swego pociągu. I tu znów nie wiem - czy tylko nasz wagon czy inne też - nie wiem. Trwało to jakiś czas - amerykańskie zniknęły - nasz wagon znów utkwiał na stacji (co znaczy stacja? stacja na naszym szlaku to były przystanki w stepie gdzie stał mały budynek a na horyzoncie rysowały się zarysy wiejskich chat!)

Tym razem przyczepili nas do Anglików - tak myślę, bo wyglądali inaczej niż Amerykanie. Tymczasem musieliśmy się chyba zbliżyć do - albo już po Krasnojarsku! Były duże mrozy i nie wyłaziliśmy ze słomy! Teraz Anglicy nas karmili - ale w naszym wagonie już nie było nikogo poza nami. Raz po raz ktoś z przeciwnych nar mówił do mojej matki - x. „On już doszedł” t.zn. że zmarł. Wtedy matka wołała mnie do pomocy. Ci starcy nie byli już zdolni do niczego poza śmiercią.

Trzeba było (przeważnie robiłyśmy to w nocy) odsunąć drzwi „tępłuszki” a było to bardzo trudne - i trupa przedtem zdjawszy z niego jakiś „pidżak” wypchnąć z jadącego pociągu. Później nożem zeskrobawszy wszy z wszystkich załamania i skrętów szycia - wywieźć „pidżak” na gwóźdź wbity na zewnątrz wagonu na „wymrożenie” a musiały już być 45-50-mrozy! Później tymi wymrożonymi ubraniami matka przykrywała nas na tej słomie.

Najgorzej było z opałem piecyka. Na „stacjach” czasami nawet w polu t.zn. w grudach śniegu po kolana chodziłyśmy z matką i taszczyłyśmy drewniane płoty stawiane wzdłuż torów - to były okropnie ciężkie płoty ale wciągaliśmy je do wnętrza wagonu czasami pomagali nam żołnierze - ale też oni tak jakby się bali to robić. Później nożem strugałyśmy szczapy do piecyka - do dziś dnia mam mały ślad - wieczysty znak strugania na prawej dłoni przy wskazującym palcu. W wagonie zostaliśmy tylko my. Matka i troje dzieci. Wszystkich wypychaliśmy „za drzwi”.

Nie wiem czy były inne wagony - ale wiem i pamiętam jak już po przejechaniu około Bajkału gdzieś na dużej stacji myślę, że musiała to być Czyta (ogromny dworzec perony - tłumy ludzi - Chińczyków widziałam wtedy po raz pierwszy!) ktoś zaglądając do naszego wagonu powiedział „i to tylko jeden wagon ocalał z tymi dziećmi?!”

Już dawno nie jechaliśmy z Anglikami. Najlepiej pamiętam Czechów bo to do nich byliśmy na ostatnich etapach jeszcze przed Bajkałem przyczepiani. Czechów dobrze pamiętam bo można było się z nimi trochę porozumiewać. Byli po prostu bardziej z nami rozmowni. Sami nam przynosili jedzenie - zawsze zupy - często zaglądali do wagonu i pytali matkę czy czego nie potrzebuje.

Dojechali z nami do Chabarowska i pojechali dalej - pewnie do Władywostoku - chyba wtedy były jeszcze jakieś statki. Z całej podróży jeszcze pamiętam też okropne zdarzenia. Gdzieś - nie wiem jak to było - czy odczepili nas Anglicy - zostawiając na jakiejś „stacji” (a gdzie oni się podzieli?) - czy w ogóle byliśmy jakoś inaczej pozostawieni na tej „stacji” - dość, że już nie było co jeść... byliśmy na torze sami.

Był ogromny śnieg. Matka owiązała mnie w te wszystkie „pidzaki” buty miałam duże wojskowe - napchane słomą sięgały mi aż do kolan - w niedalekiej zdawałoby się odległości zasypane śniegiem ale widniały chaty. Wyszliśmy z wagonu i poszliśmy w kierunku wsi. Raz poraz matka musiała wracać (szła przodem!) bo nie mogłam wyciągnąć nóg z zasp śnieżnych... raz wyciągnęłam gołą nogę! Ale doszliśmy do pierwszej chaty z brzegu. Nie było widać śladów na śniegu ani ludzi ani psów - było cicho, tak jakby nikogo nie było.

Wieś była duża. Drzwi od chaty były otwarte - śniegu nawiało i na podłodze i na barłogach ze słomy leżeli na pewno już nieżywi ludzie - bez ubrań, w bieliźnie zamrzli - matka zaczęła zaglądać gdzie się dało... nic nie było do zjedzenia. Tylko pod niskim piecem jest zawsze dość duże takie jakby schowanko. Normalnie na wsi wsadza się tam świeżo narodzone koźlątka kurę z kurczętami, chore jakieś stworzenie i tam matka wygrzebała kilka zaschniętych skórek od chleba i kilka zmarzniętych kartofli - naturalnie zabraлиśmy to - trochę w chustę matka zabrała narąbanego drewna.

Dalej do wsi nie poszliśmy. Wróciliśmy do wagonu. W jaki sposób później znów jechaliśmy nie wiem i właśnie wtedy byli Czesi. To już musiało być za Czytą. Tam grasowały bandy, normalne bandy, które grabiły wsie i mordowali ludzi. Natomiast przed Chabarowskiem było spotkanie z „regularną zorganizowaną bandą byłych carskich żołnierzy, pewnie kryminalistów też” pod dowództwem gen. Siemionowa.

Podjeżdżaliśmy do stacji - trochę większej wsi. Jeśli słyhać było głośniejsze rozmowy lub awantury - ja natychmiast włączyłam na tę najwyższą narę i chuchając często na okienko jednak dużo zdarzeń mogłam obejrzeć. Tym razem też włączyłam na tę narę - i co dziwne pamiętam, że okienko było otwarte! Na ubitym klepisku wzdłuż toru dosyć szerokim - leżeli zabici ludzie - głowami w stronę toru nogami do dołu - wszyscy byli bosi, w zszarganych oblepionych brudem szyneli - bez czapek.

Rozczochrane długie włosy spływały na piersi, brody sięgały pasa - rozpięte koszule ukazywały gołe ciało. Matka moja ściągnęła mnie z góry i powiedziała „Niby dobrze zrobił gen Siemionow, że pozabijał tych bandytów - ale Bożeż ty mój - przecież to też ludzie”. Bożeż Ty mój! Ileż to ja trupów naoglądałam się w swoim życiu.

Należałoby tu wspomnieć o naukach mojej matki. Właziła między nas na słomę i przytuliwszy do siebie mówiła „Nie chcecie być zabici - być nieżywi - prawda Tumciu (Tumcią się nazywałam po polsku!) to zapamiętajcie sobie, że nie jest już waszym nazwiskiem Kryłow - jesteście Pietuchow Pietuchowa Tamara, Pietuchow Wadim i zawsze rano zaglądając nam w oczy pytała „no jak się Tunciu nazywasz” - „Pietuchowa” „a ty Wadimka” - „Pietuchow”. I tak oto dojechaliśmy do Chabarowska nie przeczuwając, co jeszcze nas czeka.

Na stacji otoczył nas tłum - była już wiosna! Nie wierzyli, że my z Omska - potrząsali głowami a my ubrani w „pidżaki” rojące się od wszy staliśmy wśród tłumu. Dorożkarze na dworcu pomimo przekleństw zebranej publiczności nie chcieli nas wziąć do dorożki - nareszcie jakiś chłop z klatkami nieznanymi nam ptaków wziął nas na wóz i odwiózł na ulicę Korsakowską. Do ciotki Wandy wdowy po Fabianie Połubianko mieszkające w Chabarowsku z Dziadkiem Naruszewiczem Feliksem i z trojgiem dzieci. Pracowała jako urzędniczka w Dyrekcji Kolei. Spotkanie było straszne. Ciotka zemdląca, matka moja nie zemdląca - dzieci ci z Chabarowska płakały - a my nie!

Staliśmy brudni i głodni i czekający znów na coś okropnego! Najprzytomniej się znalazł Dziadek. Zabrał nas na podwórze i najpierw ogolił nam głowy - wszyscy się bali tyfusu! Potem starym „omskim” zwyczajem nastawił sagany wody - wyciągnął balie i nas wykapał - potem zabrał się do Matki. Sytuacja w mieście wyglądała nie najgorzej. Były chińskie sklepy - działały szkoły - nie było strzelaniny - z rana przychodził Chińczyk i na takich „koromysłach” założonych na szyi - niósł po obu stronach ogromne trochę jakby płaskie kosze - pełne jarzyn.

Naturalnie w pokoju dziadka była znów spiżarnia i wydawało się nam po kawałeczku cukru wielkości landrynki - był chleb a nawet było mięso. Ubrania z nas wszystkie Dziadek na podwórzu spalił. Sąsiedzi znosili sukienki, buty bieliznę, pościel jedzenie. „Kommuna” była serdeczna i każde sąsiadki patrząc na nas - płakały. Moje cioteczne rodzeństwo Bronia i Czesław Połubianko chodziło do gimnazjum - najstarsza była właśnie w ub. roku po maturze. Naturalnie zapisali i mnie. W szkole dostałam brązową sukienkę i taki rosyjski fartuszek, jaki często widzimy w sowieckich filmach. Dowiedzieliśmy się że co pewien czas wpadają jakieś bandy - ale ostatnio jest cicho.

Dowiedziałam się, że Chińczycy bardzo lubią Polaków - że mówi się na nich „chinozy” lub „czumizo”.

Po południu bawiliśmy się na podwórzu z rosyjskimi dziećmi - w klasy, w chowanego, w berka. Naturalnie w „kamień”. Ciotka miała przyjaciela Polaka - dobrze prosperującego człowieka. Przyszło lato i coś się zepsuło. Szkoły zamknięto. Do nas na lekcje przychodziła jedna z nauczycielek i uczyła nas rosyjskiego, matematyki.

Chodziłyśmy z nią całą gromadą - czworo dzieci, do parku na spacer. Park był na dużym wzniesieniu - nad przepiękną rzeką Amurem, i widać było stamtąd jak do niej wpływała druga rzeka. Drugi brzeg był ledwo widoczny - taka była to rzeka! Po spacerze wychodziliśmy na ulicę: był trotuar - a obok były wykopane rowy - wzdłuż ulicy. Niedaleko parku widoczna jak na dłoni stała cerkiew. Ani Dziadek ani Ciotka nigdy nie prowadzili z nami rozmów o modlitwach a nasze rodzeństwo też nie było nabożne.

Pewnego dnia wyszliśmy spokojnie z parku i raptem za sobą na ulicy usłyszeliśmy jakieś jakby zduszone pojedyncze sylaby - pół krzyku! Nauczycielka jednym ruchem zgarnęła nas do rowu. „Nie podnoście głowy, milczcie!” Obok ulicą biegł oddział dziwnych żołnierzy ze strasznymi szablami w rękę - tak jakby w tyralierze! Napotkani ludzie na ulicy - cięci szablami padali bluzgając krwią. Oddział biegł drobnymi kroczkami - później już znałam te kroczone! Leżałam w rowie obok nauczycielki i zerkając na trotuar, na migające w biegu nogi. Raptem zobaczyłam, że kok na głowie kobiety obok mnie tak jakby się oderwał i długi warkocz leżał obok! Nie podnosiła głowy. Żołnierze przebiegli - a ja zaczęłam się strasznie śmiać! Okazało się, że nasza nauczycielka nie miała zbyt bujnych włosów i nosiła sztuczne warkocze!

Do miasta wpadli Japończycy! Byli dzień czy dwa, rozdawali woreczki z ryżem mąką, cukrem i olejem. Podwójnie dawali jeśli się pokazało polskie jakiegokolwiek dokumenty. Zapomniałam napisać co się przydarzyło mnie. Otóż natychmiast po przyjeździe spałam cały miesiąc i nic z tego czasu nie pamiętam!

Karmiono mnie, wysadzano a ja spałam. Takie spanie ze mną powtórzyło się po przyjeździe z Mielżyna do Wejherowa a trzeci raz po pogrzebie matki 6.I.1931 r. Więcej takich śpiączek nie miałam. Ale skłonności po rozmaitych stresach i kłopotach do spania miałam całe życie.

Japończycy pewnie sami nie wiedzieli, że przyjechali w złą godzinę. Bo od ich wyjazdu u nas już nie było spokoju! Natychmiast po ich wyjeździe do miasta wpadły bandy - i rabowali u ludzi to co dostali od Japończyków! Ale myśmy mieli Dziadka - brał udział w japońskiej wojnie - i drewniany trotuar położony, by nie utonąć w błocie - pod spodem w samym podwórzu miał wykopany rów - tam chowało się zapasy i zasypywało kamieniami - a nad tym był trotuar!

Nigdy u nas nic nie mogli znaleźć - klnąc po kochanej „matuszce” dochodzili do wniosku „a wy to burżujskie nasienie wolicie zdechnąć z głodu niż poprosić Japońców o żarcie duma was trzyma się”. W kuchni natomiast podwójne deski kryły dokumenty - w zależności od tego kto wpadał do miasta wyciągało się!

Bandy - Pietuchowy, gen. Siemionow „biały” grabieżcze niby z regularnej carskiej armii Kryłow - Japońcy - to Naruszewicze. Dyrekcję Kolei zamknęli - przydziały jakie takie żywności ustały! O żadnych spacerach nie było mowy - bo mniej więcej co dwa tygodnie u nas byli inni goście i gospodarze!

Byliśmy odmyci trochę odkarmione no ale przyszłość rysowała się niewesoło. Przyjaciel Ciotki zdaje się uważał, że Ciotka ma za dużą rodzinę - ustała też trochę pomoc „przyjacielska”. Podczas mego pobytu w Chabarowsku - muszę przyznać, że Dziadek serdecznie i dobrze się do mnie odnosił. Już nie krzyczał na mnie, nie nazywał „rosyjskim pomiotem” podtykał czasami coś słodkiego. Ja też tak jakby okazywałam mu posłuszeństwo i zaufanie. Nieraz wieczorami stałam na „pikiecie” kiedy Dziadek otwierał naszą skarbnicę w rowie! Chwalił mnie „zuch dziewczyna” zaczęłam się wyrabiać na „dzielnego człowieka”.

My jak to dzieci biegaliśmy po podwórku z kolegami sąsiednich domów i tylko na serie z karabinów maszynowych lecieliśmy do domu. Bo pojedyncze strzały tu i tam nie robiły na nas wrażenia. W domu początkowo dorosli nas dzieci spuszczały do piwnicy, zejście do której po wysokich schodach było w kuchni. W piwnicy było ciemno i zimno i znacznie więcej baliśmy się w piwnicy niż na górze. Wywojowaliśmy i więcej nas nie zamykali. Dziwne to było życie.

Doskonale znaliśmy kto wpada do miasta i co trzeba chować. Od strony portu t.zn. zatoki zawsze wpadali Japończycy i bandy głodnych obdartych, obrośniętych strasznych ludzi, „biali” generała Siemionowa jeszcze zachowywali jako taką dyscyplinę. Byli w dobrym ubraniu ale byli bardziej okrutni i bezwzględni od tych głodomorów. Robiło się coraz gorzej. Już za pieniądze nic do jedzenia nie można było zdobyć. Wymieniało się bieliznę, pościel, ubranie. Drożyzna jeszcze nie sięgała wymiany biżuterii czy zegarków i złota. Nasze kochane „chinozy” też zaczęli mniej chodzić. Kobiet ich prawie nigdy nie widzieliśmy. Od małego niemowlęcia chyba krępowano im bandażami nóżki - i wyrastały na kobiety z malutkimi nóżkami tak dziwnie chodząc i drobiąc małe krocзки. Mieszkali trochę na dalekim przedmieściu - tak jakby we własnych dzielnicach, coś jakby w gettach - nie wiem czy im nie wolno było się osiedlać w mieście - czy oni woleli trzymać się razem. Mam pocztówki z widokami takiego osiedla.

I raptem narada rodzinna dorosłych postanowiła się rodzinie rozdzielić. Ale nadchodziła zima! Zima roku 1919!

We Władystoku mieszkała ze swoim mężem Sergiuszem Przepiórskim całkowicie zruszczonym Polakiem już z dzieciństwa (rodzice w powstaniu 1863 roku) nienawidzącym notabene Polaków! uciekinierka z Omska z objęć mego ojca - Bronisława Naruszewicz. Przepiórski podejrzewam, że był NKW-dystą - miał porządne mieszkanie - było jedzenie i w r. 1919 urodził się syn Rajmund. Zdaje mi się jednak że siostry miały z sobą jakieś powiązania. Wanda naturalnie chciała nas się pozbyć - i wczesną jesienią 1919 roku znalazłyśmy się z Matką - i dwójką braci we Władystoku.

2
Pewnie Bronisława znalazła nam jakiś dziwny pokój ni to była łazienka w burżujskim domu ni to przedpokój w jakimś „kazionnym” przedsiębiorstwie. Podłoga była z płytek fajansowych w niebieskim kolorze i była strasznie zimna. Było 1 żelazne łóżko i wózek dla małego brata - nota być ten nieszczęśnik urodzony gdzieś w końcu 1917 roku jeszcze w r. 1920 nie siedział samodzielnie nie mówiąc o chodzeniu. Matka sadzała go na łóżku (bezpiecznie!) nie objawiał żadnej własnej inicjatywy ruchu - podpierała go stosem jakichś łachów i tak siedział - zresztą nie zwracałam na żadnego z nich najmniejszej uwagi.

Matka została kelnerką w stołówce NKWD (Pietuchowa!) wracała często pobita i spuchnięta na twarzy. Bili ją może nie była dość zręczną kelnerką dla tej bandy! Ale czasami przynosiła w garnku zupę (chyba jakieś zlewki) i kilka kawałków chleba. Po powrocie bez słowa kładła się przy małym i leżała... w pokoju zresztą nie było stołu ani krzeseł... nie wiem w ogóle jak to było! Naturalnie zostałam pozostawiona samej sobie! Do Bronisławy czasem biegłam po jedzenie, ale ona bardzo się bała swego męża - i jak tylko usłyszała jego kroki wypychała mnie kuchennymi drzwiami na schody. Ale zawsze coś zaniósłam do domu do jedzenia. Od tego czasu prawdopodobnie - na pewno nic o tym świadomie nie myśląc - zresztą nie pamiętam co myślałam - poczułam się zobowiązana do aprowizowania rodzeństwa.

Na podwórzu były gromady dzieci, które całymi dniami pozbawione opieki chodziły własnymi drogami. Chętnie przyłączyłam się do nich i wkrótce zrobiłam się przewodniczką rozmaitych grup często zupełnie mi obcych - w każdym razie nie z naszego podwórka dziećmi.

Chińczycy już dawno nie chodzili ze swoimi koszami pełnymi jarzyn i smolnych szczapek do podpałek w piecu. Przeważnie wyruszyliśmy na miasto gromadą - najpierw do bogatych i dużych sklepów chińskich na głównej ulicy - tłusty spasiony Chińczyk często wynosił nam pokrojone pajdy chleba - słodyczne - czasami w małych paczkach herbatę lub kakao. Byliśmy uszczęśliwieni.

Pewnego razu zobaczyliśmy pochód starych mężczyzn (bo tylko tacy zostali w mieście!) z ogromnymi wiadrami idącymi w stronę portu.

„Dziadzia a dziadzia kuda wy idziecie zaczem wam eti wiadra”
„Wiecie w porcie znaleziono magazyny, w , których leżą nie wysła-
ne towary - i nikt się tym nie interesuje idziemy zobaczyć co tam
znajdziemy chodźcie dzieciaki z nami”. Ale myśmy nie mieli wiader
- natychmiast podzielili się z nami mniejszymi - i ruszyliśmy do
portu. Kawał pamiętam drogi. Władywostok leży też może nie na ta-
kich wysokich wzniesieniach jak San Francisco ale zawsze trzeba
na górę w dół!

Dotarliśmy - rozwalili drzwi magazynów dużych hal gdzieś w od-
dali od głównego ruchu portu (żadnego ruchu już nie było!) i zna-
leźliśmy cały magazyn od góry do dołu ustawiony beczkami... z ka-
wiorem czerwonym! Naładowaliśmy wiadra - wystawili straż przy
bramie magazynu i kazali lecieć do domu po następne naczynia. Pa-
miętam obróciłam wtedy ze trzy razy taszcząc ciężkie wiadro z ka-
wiorem do domu.

Naturalnie nie było chleba, ale można było skombinować ziemnia-
ki. Jedno naczynie zaniiosłam Broni i ona sama przywlokła do nas
worek kartofli. Boże! co to było za boskie jedzenie! Do dziś dnia
jedząc śledzie w śmietanie z kartoflami czuję ten smak i prawie
ten zapach!

Matki odpady - Broni prowianty - moje kawitory - najjazdy Japoń-
czyków - to było zawsze mąka, cukier, ryż, płatki owsiane zwane
„Herkules” tak się je po rosyjsku nazywało i tak oto trwaliśmy.
Całymi dniami latałam z bandą dzieciaków po całym mieście. Aż
stała się rzecz okropna - zjawiła się w mieście cholera! I co
najdziwniejsze doskonale pamiętam zresztą również z rozmów ludzi
dorosłych , że dotknęła ta epidemia tylko Chińczyków.

Umierała biedota z dzielnic chińskich. Umierali na miejscu pa-
dając na chodnikach. Trupy leżały - a my przeskakując przez nie
biegliśmy za swoimi sprawami.. A sprawy były zawsze pilne! zdobyć
jedzenie! Na pewno prowodyrem byłam zawsze! Ale „cynk” że się
gdzieś coś dzieje podawali (dziś myślę) ci z okolic najbliższej po-
łożonych „gett” chińskich. I wtedy całą ferajną goniliśmy na
ogrody uprawiane przez Chińczyków - nędzne szopy nie domy były
ich mieszkaniem - zaglądaliśmy - czasami kilka martwych osób -
widok granatowych i czarnych na całym ciele plam nas nie trwożył!
Jakimi byliśmy dziećmi?

Zabieraliśmy ich kosze ładowaliśmy zebrane z pola pomidory, ka-
lafiory i ogórki.

Dziś z epopei Theissa wydawcy słynnych „Dzieci Syberyjskich”
wiem, że I grupa wyjechała 20.7.20 roku z Władywostoku. Byłam w I
grupie! Kiedy to się wszystko działo? Przyjechałam w marcu 1919
roku do Chabarowska wyjechałam do Władywostoku - było jeszcze
zimno - z Chabarowska.

A tu raptem z dziećmi Bronisławą i Czesławem przyjeżdża ciotka Wanda i opowiada, że przywiozła dzieci na jakiś punkt, gdzie zbierają dzieci polskie do Polski - Komitet Ratunkowy Dzieci Dalekiego Wschodu dr Jakubniewska i p. Bielkierng.

„Kaziu! zabieraj swoje dzieci i odwozimy ich na ten punkt”!

Mój mały brat t.zn. Wadim był cały spuchnięty i prawie nie mógł chodzić - siedział zawsze w domu, kiedy ja ganiałam po ulicach! o najmłodszym mało co pamiętam. Obie gdzieś poszły i na następny dzień odwieziono nas do jakiegoś domu - nie znam ani jego adresu ani kto to prowadził. Kierowniczką była p. Garbaruk i jakaś młoda osoba - bardzo ładna czarnuszka! Obok mnie było łóżko Lusi Sylwian!

Nie pamiętam by tam był mój brat ani obu Połubianków. Był duży pokój sypialny - porządne łóżka! Trzy posiłki dziennie! Nie pamiętam za co ani jak ale byłam ukarana - w każdym razie w sercu moim tkwił żal i uczucie zemsty! Zatem w nocy (wszystko było otwarte!) weszłam do pokoju, gdzie przechowywano zapasy żywności - wzięłam woreczek kaszy gryczanej (pamiętam dokładnie!) i w pokoju jadalnym krok po kroku - garstkami rozsypałam kaszę po całym pokoju - i poszłam spokojnie spać!

Z rana zrobił się rumor! p. Garbaruk krzyczała zdenerwowana - stałyśmy wszystkie w progu jadalni - i nasza młoda opiekunka szczołką zbierała kaszę z podłogi do miednicy. „No kto to zrobił na Boga!” Wystąpiłam i powiedziałam „to ja zrobiłam”!

p. Garbaruk rzuciła się na mnie złapała mnie, zdarła ze mnie majtki i darła się „pas mnie dajcie, pas, już ja ją nauczę”! Pas jej ktoś podał, zarzuciła mnie sobie na kolana z gołą... i już zabierała się do egzekucji! kiedy raptem zajechał przed dom samochód - wysiadł z niego jakiś pan. Garbaruk rzuciła mnie na podłogę - facet wszedł do pokoju i zdumionym głosem zapytał „a za cóż ta śliczna blondyneczka dostanie takie lanie?” Rzucili się opowiadać. Stałam w dalszym ciągu nie tyle bez majtek ile z odpiętymi majtkami (wtedy nosiło się tylne strony majtek zapinane na guziki!) Objął mnie, zapiął mnie majtki i powiedział „przebaczymy tej małej a ja coś wam tu doślę z naszych zapasów!” Byłam uratowana przed biciem! Tutaj muszę zajrzeć do roku 1930/1931.

5.8.1994.

Przerwałam to pisanie. Długie dni mijały a mnie się zdawało, że więcej nie zabiorę się do tej pracy. Tem bardziej, że życie mi zatruwała Kazia „czyś ty zgłupiała opisywać te wszystkie dawno przeżyte sprawy. Dla kogo? kogo to obchodzi? Co Cię męczy, że babrzesz się w tych wspomnieniach. Jest tyle ludzkich cierpień - co wobec tego znaczy twoje jednostkowe życie? - Nie mogę się z nią zgodzić. Moje jednostkowe życie - jest tylko moje i nigdy nie będzie podobne do żadnego innego.

O pisaniu nigdy nie myślałam, ale, gdy zaczęłam - życie moje zwaliło się na mnie jak zburzony bombą dom. Tak majestatycznie w obłoku kurzu padał...

Padalo na mnie cały czas.

Zdaje się pisałam o tem, że nie czytałam jeszcze książki Theis-sa! nie chcę plątać w swojej głowie faktów, , których nie pamiętam. Bo oto nadszedł dzień, gdy nas zwieziono na przystań - do ogromnego statku. Brata mego Wadima wnoszono na noszach, był cały z głodu spuchnięty - statek powoli odbijał od brzegu. Na przystani było mało ludzi - widziałam wśród jakichś beczek opartą o jedną z nich moją Matkę!

W nocy nie wiem jak to się stało, ale brat był w moich ramionach i całą noc - nad ranem byliśmy w Tsurudze - gorzko płakał i ciągle wołał „mamo, mamo”. Nie wołałam nikogo, nie płakałam - niektórzy płakali słyszałam dookoła płacze widocznie od zawsze byłam wrednym twardym dzieckiem. Na przystani w Tsurudze były jakieś kwadratowe betonowe baseny, zdjęto z nas wszystko - na szyi mieliśmy z bratem zawieszane czerwone aksamitne woreczki - z metrykami - może z Cześ więcej - nie wiem. Zabrano je - może do dziś gdzieś w jakichś pudłach leżą te moje prawosławne dokumenty - może jakieś adresy...

Ostrzyżono włosy - ja ich prawie nie miałam! Po kąpieli dano czyste, świeże ubrania, koszule majtki - jakieś sukienki i kimona. Nie wiem co opisywał Thaiss o naszym pobycie w Japonii. Najpierw byłam w szpitalu - miałam rany na nogach i solitera! Po szpitalu zamieszkaliśmy w małych pięknych składanych domach - maty zwijane pod ścianą - zawsze tylko jedną - nad morzem... jedzenie pamiętam: był zawsze (a może nie zawsze?) ryż sypki na półmiskach - wazy pełne rozmaitych coraz to innych sosów. Pory, pomidory ryby, lub mięso jakieś jadalne jarzyny - zupełnie inne niż to co dotychczas jadaliliśmy. Dużo owoców i mleka. Co dzień na plaży - w pobliżu były nie duże krzaki - goniliśmy „berka”, „chowanego” - były piłki, lalki, wachlarze i rozmaite cudnej delikatnej roboty pudełka ze słodyczami.

Dlaczego siedziałam na pokładzie z bratem? Niebo było ciemne, było w ogóle ciemno i cicho - z daleka z kabin rozlegał się płacz dzieci.

Obwozili nas po rozmaitych religijnych miejscowościach - pięknie położonych w lesie nad x stawami lub w środku miasta - dziś wiem, że nazywały się Nara Kioto - Osaka. Byliśmy na podwieczorku u cesarzowej w jej pięknych ogrodach. Dookoła pachniało niby perfumami. Wszystko było otoczone krzakami najrozmaitszych kolorów róży i innych nieznanym nam zupełnie kwiatów. Długie stoły nakryte białymi obrusami. Stosy słodyczy i owoców. Prezenty przezdziwne ja np. dostałam taki jakby kij i na nim co kilka cm. wisiał jakby balonik z cieniutkiego kolorowego papieru - kilka rzędów.

W pewnym ruchu nacisnąwszy z góry robił się z tego ogromny balon wszystkie nagle na tym kiju łączyły się. Nie pamiętam żeby tam była czekolada ale wymyślne cukierki o przeróżnych smakach rozplływały się w ustach - lub coś w rodzaju gumy do żucia ale też to było jadalne.

Wachlarze piłki kolorowe książki lalki precudnie ubrane, pudełka z laki pełne łakoci. Byliśmy raz też na jakiejś dalszej wycieczce. Upał był okropny okna na przestrzał otwarte pociąg mknął z taką szybkością, że nie można było niczego dostrzec za oknem. Na całe życie zapamiętałam męskie genitalia. Japończycy - byliśmy razem między nimi - współpasażerowie - na nagim ciele mieli rozpięte kimona spali rozwaleni - a genitalia ich były tak jakby zapakowane w małe siatkowe woreczki i nie widać nawet było, że to przecież musiało wisieć na talii. Starannie to oglądałam.

Nasze małe domki, w których mieszkaliśmy były tak jakby na przedmieściu - ale to nieprawda! Niedaleko nas biegła wąska uliczka zastawiona takimi samymi domkami lub domami tak jakby z kamienia otoczone wysokim płotem. Na uliczce i między krzakami u nas - stały nieduże domki podobne do szaletu na Pl. 3 Krzyży. Były okrągłe - podłoga cementowa ścianki luźne sztachety nie dochodziły do podłogi. Był dosyć szeroki pas między deskami a podłogą. Nie wiem kto pierwszy wpadł na to widowisko, ale mnie tam nie brakowało. Kładliśmy się na brzuchach wsadzaliśmy głowy w szpary. W podłodze były wkręcone krany z gorącą i zimną wodą - dookoła rozrzucone były takie nasze wiejskie drewniane uchwyty - konewki.

Wchodzący Japonki i Japończycy - nikt nie zwracał uwagi na płeć - wieszal kimono przy przejściu i nagusieńki brał kubełek kucał przy kranie i oblewał się wodą - nie pamiętam, czy były ręczniki chyba raczej nie było. Polewali się, polewali dzieci - wkładali kimona i odchodzili. Natomiast nas wszystkich znów interesował ten siatkowy woreczek na genitaliach - zawsze spokojnie wisiał - taka siateczka dosyć spora, ściśle przylegająca do ciała.

Czasami jeszcze dziś zalatuje mnie specyficzny zapach Japonii. Pamiętam go. Delikatność współżycia. Zapominałam maszerujące z nagimi szablami oddziały na ulicach Władywostoku. Nie pamiętam jakim okrętem wracaliśmy do Ameryki - na pewno japońskim. Ze wspomnień tej podróży - mam najstraszniejsze.

Po kolacji mogliśmy jeszcze biegać po pokładach. Biegnać pośliznęłam się i padając złapałam się obydwoma rękoma za barierę. Wisiałam w powietrzu nogami na dół nad morzem. Pamiętam był zmierzch. I raptem ujęły mnie ręce Japończyka (dzieciaki pewnie podniosły krzyk!) podniósł mnie - posadził na schodkach przy zejściu do kabin - i długo mnie gładził po głowie. Czasami mi się to śni.

Wysadzili nas w Seattle - jechaliśmy bez przesiadek przez całą Amerykę - aż do Emsworth. (Dziś jest 24.8.94 a wczoraj w dzienniku podawali że w Emsworth była straszna burza i katastrofa!)

Emsworth było to nieduże miasteczko koło Pittsburgha - stan Pensylwania PA nad jakąś dużą rzeką czy kanałem - leżało nad nim b. wysoko. Duży las otaczał nasze osiedle. Dużo budynków, własna elektrownia, jakieś służbowe zabudowania. Był to „sierociniec” S.S. Nazaretanek. Nie mogę zrozumieć - jaki to był sierociniec kiedy każdej soboty wieczór zajeżdżały piękne samochody i wszystkie dzieci na sobotę i niedzielę odjeżdżały do swoich domów. Zostawałyśmy tylko my Sybiraki. Zakład był koedukacyjny. Z bratem moim prawie nigdy się nie spotykałam. Z koleżanek pamiętam Marysię Brauer była wtedy moją przyjaciółką ale i ją też krzywdziłam.

To były kompleksy gmachów. Duże, wysokie pokoje - spałyśmy po 4 - w jadalni stoliki na 4ry. Na podwyższeniu w jadalni stół i podczas posiłku Siostra dyżurna czytała głośno żywoty świętych. Obowiązywała absolutna cisza. Mnie najbardziej zbulwersował żywot św. Szymona Słupnika - wśród ogólnej ciszy zerwałam się na nogi i głośno jak mogłam zapytałam „Ale jak św. Szymon robił siusiu jeśli siedział tak długo na tym słupie? Wyprowadzono mnie z jadalni. Siedziałyśmy wszyscy przemieszani z Amerykanami, Murzynami i chyba Włochami, bo dużo było imion włoskich jak Antonella, Aleksandrina (koleżanki z klasy!) Czy mnie ukarano za Szymona Słupnika - nie pamiętam - ale musiałam chyba często przekraczać obowiązujące normy współżycia, bo często byłam karana.

Pierwszą najłagodniejszą karą było zabranie kokardy z włosów. Stale zresztą chodziłam bez kokardy bo mnie przeszkadzała. Pamiętam swoje kary: drugą karą zamykano mnie w porze przerw, kiedy wszyscy byli w parku i na podwieczorku (po obiedzie!) w bibliotece. Było to cudowne miejsce. Sala była okrągła całkowicie oszklona, miękkie fotele, piękny dywan, oszklone szafy pełne książek. Ciepło, pachniało lasem (park ogromny za oknami) drzewa już okien nie sięgały - było wysoko.

Kładłam się na brzuchu na podłodze i oglądałam albo albumy pamiętam anatomiczne, albo albumy dzieł sztuki. Było cudownie, byłam szczęśliwa. Ale zakonnica opiekująca się mną S. Prodygia szybko się zorientowała, że to karą w żaden sposób dla mnie nie jest. Na następną karę wymyślono kaplicę. W kaplicy też było b. dobrze. Kaplice w Ameryce, które pamiętam były cudownie piękne; białe obrusy, świecąca się monstrancja, kwiatów oszalałająca ilość. I zapach kadzidła, kwiatów cisza modlitewna. Wtedy jeszcze się modliłam. Pomodliwszy się musiałam coś zrobić. Naturalnie wdrapałam się na chór przystawiłam drabinkę do szafy naprzeciwko fisharmonii i zaczęłam od najwyższej półki zdjętym fartuszkim - wycierać kurze z nut!! Prawie już kończyłam pracę, kiedy zajrzała zakonnica. Co sobie myślała nie wiem - ale już nie było kaplicy. Przy najbliższej okazji zaczęto zamykać mnie w sypialni. Cztery łóżeczka i nic więcej. Białe kapki - cisza.

Gdyby zaprzestano mnie zamykać może bym nie wpadła na „religijne kawały”!

Poszłam do naszej maszynowni. Był tam taki Stanley - poprosiłam go o trochę smoły do pudełka. Czekałam na następną karę. Dostałam znów do sypialni. Weszłam z pudełkiem i zwiłkiem papieru. Umoczyłam i porobiłam tak na białym parapecie (na 6tym piętrze!) i śnieżnobiałych pokrowcach łóżek „ciapki” jedno za drugą - i zaczęłam krzyczeć (przedtem wyrzucając „narzędzia” przez okno. „Był Baranek Boży! skakał tu, był, są ślady, ja się boję itd.” Zeszły się zakonnice, obejrzały x - kazały usunąć łóżka z pokoju - a nas chyba wszystkie z tego piętra spędziły razem - i odmawialiśmy modlitwy i psalmy za... zmarłych.

„Wieczny odpoczynek...” Co ja sobie myślałam? Skąd mi to przyszło do głowy? Te ciągle modlitwy zmaciły mi umysł. Na od r z rana na czczo szłyśmy zawsze w odświętnych kostiumikach z małymi welonami do kaplicy - słuchać mszy, mówić pacierze i jakieś długie psalmy - potem śniadanie już w zwykłych ubraniach. Wieczorem po kolacji, kiedy na „porchu” przez ogromne oszklone okna wpadał zmierzch - w czwórkach klęcząc na tym korytarzu - odmawiałyśmy znów nocne długie pacierze - siostry mówiły „idziemy na nonnę” -

Chodziłyśmy do szkoły - uczyłam się dobrze - zapomnieliśmy pozwoli mówić po polsku - szwargotaliśmy po angielsku. Sybiraczki nie były trzymane razem. Imię moje ani nazwisko Tamara Kryłow nic im nie przeszkadzało - ale to, że jestem prawdopodobnie prawosławna - o to, to bardzo je bolało. Zatem ochrzcili mnie, przystąpiłam do komunii św. i spowiedzi, zostałam bierzmowana jako Teresa. Jeszcze jeden raz je nastraszyłam. Dostałam futro - wciągnęłam na siebie - latarkę w usta i futrzana czapka na głowie - stanęłam na „porch u” za prowadzącą modlitwy siostrą i wyczyniałam miny. Ruch między czwórkami się zmieszał, dziewczuchy zaczęły krzyczeć - pozrywały się z kolan. A ta zamiast się obejrzeć - zaczęła robić porządek i z nów grzmieć „Wieczny odpoczynek!...”

Czasami na te poobiednie przerwy unikałam kary i spędzałam z dziećmi czas w parku. Stały tam przygotowane duże stoły z wazami i talerzami najwięcej było owoców: banany, „grejpfruty” jabłka, winogrona, brzoskwinie - jadło się, biegało i znów można było brać owoce ze stołów. Czasami były takie amerykańskie bułeczki z masłem, pudełka gumy do żucia, i cudowne jakieś jedzenie w paczkach. Kukurydza rozdrobniona i zapiekana z miodem i cukrem. (Do dziś dnia jest jeszcze w Ameryce w użyciu!) Na święto „Trzech Króli” 6 stycznia były podawane na deser nieduże paczki i w nich, których był y w środku dolary - to już kto miał szczęście. Nie miałam - ale miała je Marysia Brauer - i wychodząc z jadalni niosła ten dolar w zaciśniętej piąstce. Poprosiłam ją by mi go dała, a gdy odmówiła ugryzłam ją w rękę, dolar złapałam i uciekałam. Nie pamiętam jaką miałam za to karę.

Chciałabym opisać wszystko co pamiętam z Ameryki. Jeszcze podczas jazdy z Seattle do Emsworth w wagonie sypialnym narobiłam takiego krzyku, że postawiłam na nogi cały wagon i chyba najwięcej nastraszyłam samego biednego Murzyna.

Wagony sypialne , którymi jechaliśmy nie były tak urządzone jak nasze ani jak te, które znałam z Rosji. Łóżka sypialne nie były w osobnych przedziałach o kabinach idących obok siebie - ale łóżka w 3 miejsca były po obu stronach wagonu wzdłuż. Do tego były drabinki by móc zejść w miarę potrzeby. I otóż taka potrzeba mi się zdarzyła - wynurzyłam się z za kotary stanęłam na drabince i raptem jakiś straszny czarny człowiek złapał mnie i postawił na nogi. Był to steward, , który się nami opiekował Murzyn. To był mój pierwszy Murzyn. Później już go się nie bałam i wszyscy byliśmy z nim „za pan brat”.

Drugie wspomnienie to wyjazdy w ramach „pracy”. Ogromnymi samochodami z olbrzymimi kosztami jeździliśmy do lasu - ale do lasu jabłoni. Zbieraliśmy jabłka, , których było zatrzesienie do tych koszy - i obracaliśmy kilka razy. Jabłka były duże pachnące i słodkie jak miód. Jeździliśmy na wycieczki do jakichś klasztorów i kościołów, przejeżdżaliśmy przez takie dziwne ulice; szerokie przed każdym domem był duży plac pusty z zieloną równusieńko przyciętą trawą. Czasami widzieliśmy ludzi, jak z jakimiś maszynami chodzili po tych niby łąkach przed domami i tak jakby je kosili. Nastrój tych miast jest niezapomniany i tak różny od tego co do dziś widziałam. Przed wyjazdem naszym zwiedziliśmy Nowy Jork - wozili nas nadpowietrznymi nad miastem kolejami - na dole kotłował się ruch tłumów i samochodów ogromnych jak domy - i pomimo że niby to była kolej napowietrzna - jechaliśmy ciągle między domami. Było to nawet straszne. W dniu 28.I.1922 opuszczaliśmy Amerykę na okręcie o nazwie „Princessa Matoyka”. Ciężka i trudna była ta podróż.

Po kilku dniach podróży coś się urwało w maszynowni. Kołatało. Ciągle. Między nami już mówiono, że coś się zepsuło, że kapitan usiłuje sam naprawić i że nie chce wzywać pomocy. Ale zerwała się burza. Statkiem rzucało jak piłką! Przywiązano nas pasami przez pierś i przez nogi - bo koja raz była sufitem raz ścianą. Nie rzygaliśmy bo nic nie jedliśmy, tylko roznoszono nam napoje. Woda już była w kabinach i przy pewnych przechyłach nas zalewała. Po kabinach chodził ksiądz - błogosławił nas i coś tam naszeptywał. Nad ranem burza ustała, łomot był słyszalny w dalszym ciągu - ale nas uwolnili z pęt - i służba sprzątała. Nie pamiętam jak szybko wyszłam na górę na pokład. Ale naraz zobaczyłam , że statek nasz został przymocowany linami do małych stateczków płynących po obu stronach naszego olbrzyma. Wróciliśmy do N Jorku. Podobno remont statku trwał kilka dni ale ja z tego czasu nic nie pamiętam,. Raz coś pamiętam, że nas gdzieś wozili oglądać jakieś muzeum. Absolutnie nic nie pamiętam - zresztą prawdopodobnie byliśmy wszyscy w szoku - i zanik pamięci jest zrozumiały.

Do Polski wróciliśmy przez Niemcy - wysiadając we Frankfurcie omenem. Dobrze to pamiętam - w Niemczech musiała być straszna bieda - bo okropnie nas przez te jakieś dwie doby (chyba!) karmiono. Rzadka, żółta jak woda zupa i pływające w niej parówki.

Trochę chleba - gdybyśmy umiały myśleć i rozumieć! wiedzielibyśmy, że jest to „radosny” powrót do głodnej Ojczyzny - do Mielżyna. W pewnej chwili pociąg się zatrzymał - i nawoływali nas wyjść z pociągu - „by ucałować polską ziemię i podziękować Bogu za powrót” - To ciekawe, że nie pamiętam ani jednej twarzy dorosłej osoby, które ewentualnie chyba przy nas były i nami się opiekowały. Całowałam tę ziemię klęcząc razem ze wszystkimi dziećmi.

Niektóre dzieci płakały - byłam zdziwiona i nie mogłam zrozumieć ich płaczu. Przecież żyliśmy!!!

Opisać Mielżyn, w , którym pewna grupa dzieci się tu znalazła jest b. trudno. Bo nawet dzisiaj wspomnienia te budzą zgrozę i strach! Mielżyn to mała wioska pow. Gniezno niedaleko Witkowa. Stacjonowało tu niemieckie wojsko - konnica w niedalekich od wsi barakach czasu wojny. Baraki - stajnie, - dla nas trzy duże murywane budunki zajmowały S.S. Dominikanki. Były tam już inne dzieci przywiezione z Kresów - Podola i Wołynia. Podzielono nas na starsze, średniaczki, maluchy i dorosłych chłopców t.zn. 16-18 letnich. Plan , który załączam dokładnie ten podział przedstawia.

Wg zapisów w księdze parafialnej, które uzyskałam podczas mojej wizyty w Mielżynie w r. 1973 przyjechało nas do Mielżyna 320 dzieci z Ameryki, dnia 22.2.1922 roku. Byliśmy wszyscy b. porządnie a nawet elegancko ubrani tak w bieliznę jak i zwierzchnie ubrania. Mówiono między nami, że były ogromne zapasy bielizny, płaszczy ciepłych i pytałyśmy się gdzie to się wszystko podziało?

Siostry w Ameryce na odjezdnym mówiły nam „wszystkiego z ubrania i butów starczy wam pewnie na rok!” Zdjęto z nas wszystkie nasze ubrania. Dano nam majtki, w , których mogłyśmy siusiać nie zdejmując ich z takimi dziurkami pośrodku bajowe granatowe sukienki do połowy łydek i trepy drewniane bez pończoch ani skarpetek. O żadnych płaszczech, szalach ani butach nie było nawet mowy. Szło zresztą do lata ! Dzień nasz rozpoczynał się w różnych godzinach. Przecież wszystkie chodziłyśmy do pracy! Mnie jako najbardziej krnąbrną zwykle posyłano do „parnika”.

Siostra budziła o 4tej rano i szłam do „parnika” t.zn. w pomieszczeniu gospodarskim był ogromny kocioł - obok koryta do wody. Wiadra z ziemniakami. Musiałam nanosić t.zn. nalać z pod kranu wiadrem wody do „parnika” w korycie wypłukać ziemniaki, wrzucić je do parnika rozpaścić pod nim ogień by kartofle się zagotowały. Miałam na to 2 godziny bo o 6-tej trzeba było iść do kaplicy na modlitwy. Zawsze prowadziła je Siostra Dominika najbardziej przeze mnie znienawidzona zakonnica. Inne dziewczynki musiały wstawać do oporządzenia kur i królików. Pacierze ciągnęły się długo. Jakies „koronki” co dzień część różańca, czasami msze św. celebrowane przez młodych księży, którzy czasem do nas na te msze przyjeżdżali. Jedne tylko cnoty były omawiane i o nie się modlono: pokory i czystości. Rzeczywiście w kościele katolickim sex od wieków był piętą Achillesa.

W naszym baraku - bo ten jeden był przeznaczony dla „sybiraczek” znajdowała się chora, cała we wrzodach dziewczyna lat około 14 ze Wschodu t.zn. z kresów podobno zgwałcona przez szwendające się bandy. Spała t.zn. leżała bo nie chodziła - „infermerka” S. Urszula młodziutka dziewczyna, sama chora na gruźlicę (umarła nim my z Mielżyna wyjechałyśmy) czyniła przy niej porządki t.zn. wynosi a mokre od moczu i pewnie ropy materace i paliła je przed barakiem - coś tam robiła z tymi wrzodami chyba, ale co miała robić - nie było żadnych leków.

Skaleczone przez nas palce były polewane wodą utlenioną i bandażowane jakimiś pociętymi na „bandaże” szmatami z przykazaniem „trzymaj rękę wysoko”. Jeśli to była noga to też się bandażowało czasami używając jodyny i wtedy S. Urszula zabierała delikwenta do „infermerii” gdzie były dwa łóżka z prześcieradłami kocami w poszwach i nędzna apteczka. „Ty” mówiła „trzymaj nogę wysoko”! No, które dziecko i jak długo wytrzyma z tą „góram”? Uciekały i tu już wkraczała S. Dominika z pejcem. Było lanie i znów „infermeria”. Byłyśmy chyba b. zahartowane „sybiraczki” bo nie pamiętam, żeby któraś z nas chorowała.

Naturalnie nie liczę tych chorych na nerwy. Było ich trzy w naszym baraku. Pamiętam tylko nazwisko Niewinowskiej i Wasilewskiej. Każda w nocy tylko krzyczała o tonięciu! Bałyśmy się ich. Pamiętam wypadek matki którejś z dziewczynek. Przyjechała i przywiozła chleb. Wiem, że nasi starsi chłopcy odwozili ją po tej wizycie do szpitala. Skończmy z wypadkami.

Jeden b. smutny wypadek zdarzył się późnym wieczorem. Szyk łóżek był następujący. W , którymś łóżku pod ścianą nie pamiętam która sięgnęła ręką pod łóżko i podobno dotknęła „strasznie owłosioną mordę” Zerwała się na równe nogi i zaczęła krzyczeć. Krzyk był okropny - wszystkie zerwały się z łóżek i rzuciły się do drzwi. Moje łóżko było pierwsze z brzegu - wybiegłam pierwsza i widziałam ten tłum walący przez drzwi jedna przez drugą. Nie patrząc na nic tratowały te które upadły. Najbardziej była potłuczona Józia Urbanowicz. Żadna z zakonnicy nawet nie przyszła na to zdarzenie. Opatrywałyśmy jedna drugą. Poważniejszych skaleczeń nie było. Myślę dziś, że dzieci głodne, przepracowane i „karmione” ciągle „żywotami świętych” były nerwowe i podatne na „głos tłumu”.

Kartofle były przynoszone w blaszanych wanienkach z „parnika” i rozkładane przy miskach z „zupą”. Rozgotowana woda z odrobiną mąki, 5 w łupinach wielkości orzecha włoskiego ziemniaczków. Trzy z pięciu trzeba było wyrzucić bo były zgniłe. Na obiad była zupa z kawałów brukwi i z ziemniaków. Wtedy kilka nas brano do kuchni do obierania kartofli i brukwi - po „robocie” S. Joachima „intendentka” dawała nam po kawałku chleba! Czasami była miseczka fasoli. Wtedy biegłyśmy do pompy, płukałyśmy je z tej „zupy” - rozłamywałyśmy na pół, robaka wyrzucałyśmy a fasolę zjadałyśmy.

Na kolację była też „zupa” z ziemniaczkami. W niedzielę dostawałyśmy po kawałku chleba na śniadanie i zupę.

Pamiętam ucztę wigilijną. Była miska grochu co prawda bez robaków, kawałek chleba i kawałek gotowanej słoniny! t.zn. mniej więcej wielkości pudełka od zapalek! Nie pamiętam Wielkanocy ale na pewno jej nie było! Po modlitwach było „śniadanie” a potem mnóstwo pracy przy barakach. Trzeba było powynosić kubły po wypróżnieniach „rozmaitych”. Wymyć je pod pompą - zamieść baraki czasami zmienić słomę. Najgorzej było z tymi, którzy się „moczyli” - Dobrze latem! Wynosiło się siennik przed barak, ale to też czasami musiałyśmy ukrywać, bo S. Dominika przychodziła i pytała „A to czyj siennik” Mówiłyśmy i nierzadko siostra „moczająca się” biła pejczem. A to przecież były dzieci chore!

Miałyśmy dyżury. Najbardziej nie lubiłam dyżurów u maluchów. Trzeba je było stale po kolei wysadzać na kubel - bo się „moczyły”. Zimą po prostu nie można było wysuszyć sienników - mokre upychało się na dno a suche na wierzch i pilnowało się bez przerwy tę dzieciarnię. W tym baraku była podłoga drewniana - okna małe ale normalne - Mały pokój dla dyżurującej - ale kto by tam spał. Ja np. b. się bałam tej samotności z tymi dziećmi. Tem bardziej, że czasami ktoś późno wieczór potrafił zaglądać w okna. Barak stał przy drodze, odgradzony dosyć dużą grzędą fasoli i grochu. Trzeba było (jak np. zimą) nanosić do kąta furę gałęzi i drzazek, żeby ciągle podkładać pod „kozę” stojącą przy drzwiach na końcu baraku przy wiadrach. Też pełniłyśmy dyżury, bo wtedy ogień by zgasł zapalek nie miałyśmy - zresztą szron wewnątrz był na ścianach. Czy „koza” się paliła czy zgasła. Nie pamiętam by chociaż raz „koza” zgasła. Pilnowałyśmy ognia! Może skończę o naszym zaopatrywaniu w witaminy. Nie mam pojęcia skąd my to brałyśmy ale dwie ilości tarniny dzwigaliśmy do baraków. Wpakowywaliśmy głęboko w słomę sienników by tam trochę zmiękły i straciły moc kwasu. Jadłyśmy też taką trawę która w środku miała takie jakby nasionka słonecznika. Dużo tego jadłyśmy a rosła ta trawa obficie po wszystkich obrzeżach baraków i budynków.

Nim przystąpię do dalszego opowiadania o Mielżynie mam nieopaną chęć opisaną samych budynków. Wyglądały w ustawieniu na niewielkim placu tak: (rysunek) budynek „a” miał podłogę drewnianą - okna nieduże normalne - małą przegrodę na wiadra „wiadome” i był podzielony na 2 połowy - duże klasy. Nie mam pojęcia kiedy nauczyłam się czytać po polsku ale już w Mielżynie czytałam.

Nic nie pamiętam z tych klas. Była tam Józia Urbanowicz, Gienia Gotowicka, Marysia Kotkowicz, Marysia Bieżańska i Alfred Fryde (bez nogi chłopiec i wówczas bez protezy!) Lekcje były niepoważnie traktowane, żadnych prac nie mieliśmy domowych bo zresztą gdzie je miałybyśmy odrabiać! książek nie było żadnych, nie miałyśmy ołówków ani zeszytów! Najwięcej na lekcjach gadał Fryde - opowiadał o przeczytanych książkach o podróżach przyrodniczych, o bajkach - zastępował nauczyciela.

Budynek b/ był trochę charakterystyczny też drewniana podłoga, małe pomieszczenie dla dyżurnych z łóżkiem z którego się nie korzystało, gdyż obok była sypialnia maluchów, wiadro „wiadome” i całe noce spędzane na wysadzaniu dzieci na „wiadro” Za konnice tam nawet nie zaglądały. Dzieci spały na kocach, i pod kocami po dwoje i jak nie zamarzły i nie poumieraly to tylko wiadome jest „syberyjskim mocom” „Koza” była marna, zły ciąg i nasza nieustanna krzątana by nie zgasła. Była mała lampa naftowa, którą mogliśmy nie gasić nawet cała noc. To była wielka pociecha - bo mniej straszenia. Dzieci zrywały się, często gorzko przez sen płakały... Były małe do 4,5--6 la t. To była jedna połowa w drugiej urządzona była nędzna kaplica. Nie było żadnych obrazów ani figur, ani lichtarzy. Wisiał tylko straszny człowiek na krzyżu - a obok w lichych kwiatkach stała makabryczna figurka Matki Boskiej! Ten obdrapany barak, brudne deski podłogi smutek wiejący od tego krzyża i to nieustanne nawoływanie do pokory, do ukorzenia się przed codziennością... Były tak ogłupiałe te nieszczęsne kobiety tą „nieziemską” miłością do Chrystusa - że nie widziały przed sobą głodną, zjadane wszami, zapłakaną codziennie, bitą, upokorzoną gromadę bezdomnych dzieci... A furt modliły się słowami litanii „zmiłuj się nad nami” i „wysłuchaj nas Panie”... a mnie się zdaje, że my powinniśmy litować się nad tym człowiekiem, który przez 2 tysiące lat nie ma pojęcia co ma z sobą i z nami zrobić! To jest okrucieństwo, żeby Bogu ducha winnego człowieka wyimaginowanie wskrzesić i postawić jako wyimaginowanego Rządcę Świata wtedy, kiedy On nic nie może, nic nie może. Ściana za ołtarzem to były grube deski oddzielające salę od składu prasowanego siana - dużo tego pozostało po Niemcach. Dostępu do tego składu nie było żadnego. Do dziś nie mogę zrozumieć jak nikt nie mógł na to wpaść i powtórzyło się to, co wyprawiałam w Ameryce, z tym tylko, że wymagało większej pomysłowości i czasu.

Nikogo nie zdziwiło, że do dyżuru do którego mało kto się rwał - ja ciągle się zgłaszałam. I o zmierzchu, kiedy ustawał ruch chłopski na drodze oderwawszy kawał deski ze ściany baraku przez dziurę systematycznie zaczęłam wynosić siano. Upychałam go w majtkach. I wynosiłam, i upychałam z kolei w swój siennik. Zrobiłam już dużą dziurę wewnątrz - naderwałam deski - niewidoczne z zewnątrz - przykrywała przecież grzęda fasoli dosyć wysokiej i grochu!...

Któregoś wieczoru podczas kolejnych modłów na dobranoc, w podziękowaniu za przeżyty dzień - wlałam wewnątrz i swoim zwyczajem darłam się prawie w niebogłoty (przytłumione sianem!) o modlitwy za dusze zmarłych, za grzeszników ginących w ogniu piekła... „prosimy Cię Panie o ratunek i o zbawienie dusz naszych”. Naturalnie - zakonnice dobre usłyszały wołanie o pomoc - zgięły na kolana całą gromadę i rozpoczęły żałobne modły i po łacinie i po polsku...

Można było umrzeć ze śmiechu! Tylko te biedne dzieci, do , których wkrótce się przyłączyłam b były trzymane daleko za północ w tych modłach. Odwalałam takie dwa numery. Dziurę zatkałam. Znu-
dziło mi się. Wzmożono codzienne ranne modły za dusze zmarłych, ,
których dotąd nie było.

Przyrzekam, że nie napiszę żadnych epitetów, które mi się cisną pod pióro... ale w tych codziennych modłach te pobożne i czyste dusze pozwoliły sobie kilka razy w kazaniach o zachowaniu „czy-
stości” dać przykład - co to się może zdarzyć młodej dziewczynie - „tej co to ginie we wrzodach!” To był Mielżyn! Nic więcej nie wiąże mi się z tym barakiem. Natomiast barak „c” to było już coś bardzo charakterystycznego. Otóż był to faktycznie prawdziwie ba-
rak - stajnia. Okienka były podłużne wysoko pod sufitem, podłoga czarna ubita gładko niczem granit. Naturalnie rozbita również na dwie połowy w drugiej były starsze dziewczyny i podłoga była drewniana. Naturalnie „kozy” i „wiadra” przy wejściu. Natomiast w przejściu między dwoma salami przy ścianie na wprost wejścia było wybite blachą koryto duże i krany!! Wodę do nich trzeba było pom-
pować ze studni tylko tak jakby z drugiej dźwigni.

To była nasza „łazienka” - woda zimna, i w tej jednej wodzie napompowanej z rana myłyśmy się jeśli to można było nazwać myciem wszystkie po kolei - bez mydła i bez ręczników w „łazience” wi-
siała jakaś szarawa szmata. Szczęściem, że żadna z nas nie miała „okresu” nie wyobrażam sobie jak radziły starsze dziewczęta. Nota bece naszych starszych „sybiraczek” nie było z nami. Wszystkie zostały w Poznaniu. Czas na „bicie” wszy miałyśmy tylko wieczora-
mi ale w naszym baraku nawet latem było ciemnawo. Znaleźliśmy sposób „bicia” podobny do prania! Gniotłyśmy kołnierze sukienek, szwy w rękawach, pod pachami, pasy w majtkach i koszule - ugnia-
taliśmy rękami kawałek po kawałku. To pomagało ale trochę. I rap-
tem któregoś dnia któraś krzyknęła „dziewczyny a ja położę się naga!” I tak zaczęłyśmy robić. Po ugniataniu rzucałyśmy ubranie na podłogę - i nagie lazłyśmy po dwie pod koc. Latem pół biedy! ale zimą to już było nie do zrobienia. Spałyśmy ściśle przytulone do siebie i spałyśmy dobrze. O dewiacjach nie słyszałam cały czas naszego w ogóle wspólnego życia.

Naturalnie świerzb tak rąk jak i nóg, a u mnie całe pas ciała wzdłuż kręgosłupa. Czasami S. Urszula jodynowała mi te plecy. - Żadnych leków na świerzb nie było! No i jaglica! O tem, że ja miałam dowiedziałam się dopiero w Wejherowie.

(rysunek) Naprzeciwko baraków stał duży murowany dom na wyso-
kiej podmurówce z dużymi z obu stron schodami o szerokim blacie. Mieściła się tam po jednej stronie „jadalnia” drewniana z brud-
nych obszarpanych desek ach podłoga - po drugiej kuchnia z kotła-
mi „na zupy” i spiżarnia w której rządziła S. Joachima. „inten-
dentka” i S. Jakubina zarządzająca kuchnią. W czym tam miała rzą-
dzić nie mam pojęcia ale rządziła.

Byłam ulubienicą S. Joachim, często mnie wołała do mycia garnków - chwaliła za moją akuratność nie bredziła nic o Bogu i jego cnotach, tylko często mnie dawała kawał chleba ze szmalcem.

Któregoś ranka przyszła mi do głowy diabelska myśl i chociaż S. Jakubina niczym mi nie podpadła, na niej postanowiłam urzeczywistnić mój pomysł. To była delikatna, chuda jak patyk, brzydka zakonnica, żyjąca obok nas tak jakby nas w ogóle nie widziała. Nie słyszałam żeby do którejś z nas przemówiła nawet podczas „sławetnych” obierek kartofli na zupe! W „parniku” znalazłam oblażyły chyba któregoś stróża brudny i straszny kożuch, wywróciłam go na lewą stronę - stare rękawice, futrzana czapka wielkoluda na głowę - latarkę w zęby i tak ustrojona położyłam się na brzuchu na płycie tych kuchennych schodów. Dochodziła godz. 6 rano: wczesna wiosna. gołoledź - gruba warstwa - wiem, że nieszczęsna siostra też wstała o 4tej - przecież modlitwy! a potem szła do kuchni. Najpierw Cicho pomruczałam a kiedy wstąpiła na schody z całego rozmachu skoczyłam na nią. Upadła a ja uciekłam do parnika.

Z rana dowiedziałam się od dziewcząt, że S. Jakubinę napadł zły duch - jakiś potwór przewrócił ją i uciekł. Siostra była w habicie narzuconą miała niedużą chustkę - zemdlona ze strachu przeleżała czas wg moich obliczeń około godziny i dopiero o 7mej ją znaleziono. Zachorowała na zapalenie płuc (podejrzewam że też była gruźliczką!) i w kilka dni później umarła. Nawet umierając nie będę żałować że ją nastraszyłam - tak je wszystkie nienawidziałam. I nienawidzę do dnia dzisiejszego i żadne ludzkie uczucia nie mają dostępu do mego serca.

Niedaleko t.zn. naprzeciwko stała pompa która płukała z robaków naszą fasolę! a zatem plan sytuacyjny wyglądał tak: (rysunek)

sad owocowy ogrodzony i pilnowany przez psy.

Budynek „C” to była nasza „elita” nie pamiętam czy była piętrowa, ale chyba była. Od wejścia po stronie lewej była „strojna” i dość duża kaplica. Czysta z igły z dywanami, firankami, białymi obrusami naturalnie „drogą krzyżową”, konfesjonalem tabernakulum palącą się lampką zawsze, z kwiatami w ładnych wazonach. Po prawej stronie była kuchnia i refektarz. Na górnym piętrze dormitoria i klauzura zakonnice z pokojami gościnnymi. Okna kuchni wychodziły na zapuszczony obszar krzaków, zielska, żelastwa, pogrucho-tanych beczek. Do naszego Zakładu często zjeżdżali Prowincjały Zakonu, kanonicy i prałaci. Broń Boże! żeby nas odwiedzać! Przyjeżdżali żeby odbyć modły w podzięce że żyją i że mogą u zakonnice porządnie podeżreć. W te dni siostry zapominały że w ogóle jeste-śmy na świecie. Szmygały po całym terenie jak oszalałe kotki znosząc jakieś ciągle rzeczy do „swojej” posiadłości. A mnie się udało cztery razy je okraść dokładnie tak myślę. I znów nie wiem skąd mi to przyszło do głowy.

Głodny człowiek ma dobry węch. Zakradłam się w te ruiny pod oknem i znów nie rozumiem dlaczego one to jedzenie wystawiały na okno. Czy żeby szybciej przestygło? W każdym bądź razie zwędziłam półmisek z dwoma pysznie zrumienionymi kurami, dwa razy miski emaliowane po czub naładowane smażonymi kotletami, kipiącymi od tłuszczu i raz półmisek z zającem z buraczkami. Znosiłam to wszystko w dość odległe krzaki nad strumykiem. Wołałam swego brata i Gienię Gotowicką, bo tylko jej mogłam powierzyć te swoje wyuczyny. Siedząc na kładce nad strumykiem wpychałyśmy co mogłyśmy a resztę zawijałyśmy w liście łopucha. Dziwna rzecz już nigdy w życiu nie widziałam liści łopucha tak ogromnych jak to było w Mielżynie. Dlaczego zakonnice nie czatowały na złodziei? dlaczego w kaplicy S. Dominika nie ziała świętym oburzeniem na „obżarstwo” tak jak grzmiała w obronie cnoty czystości? Pozostaje to do dziś niewyjaśnioną tajemnicą.

Podejrzewam, że w domu tym - kaplicy ukończyłam edukację religijną - katechizację na całe życie. W Mielżynie były dwie Tamary - Tamara Kryłow i Tamara Urbanowicz i trochę dzieci, które wyraźnie przyznawały się że są prawosławne. W Ameryce nikt na to nie zwrócił uwagi. Przygotowali nas do Komunii św. i Spowiedzi, Bierzmowania. Odbyłyśmy to z wielką w stylu amerykańskim pompą. W pięknym kościele, z pięknymi welonami. Raptem Siostry Dominikanki uznały, że Kościół Katolicki został zbezczeszczone bo bez chrztu udzielono nam święte sakramenty. Odbył się nasz chrzest i tak jakby jakieś „egzekwie”, za nasz grzech - ciężki, śmiertelny grzech. Modłom i święceniom nie było końca. Mnie nadali imię Teodory. Podniosłam od r w Kościele ryk, że nie chcę być „Dorcją” bo jedna była taka durnowata z tych Kresów. Wyprowadzili mnie i przełożona S. Anuncjata spytała mnie „to może będziesz Halinką” - Na „Halinkę” się zgodziłam.

W r. 1973 będąc już na emeryturze pojechałam do Mielżyna. Wzruszenie jest to uczucie miękkie, ciepłe i kojarzy się z jakąś radością. Nie byłam wzruszona siedząc w autobusie - przeciwnie ogarnął mnie zupełnie bezpodstawny lęk - uczucie strachu. Na trzęsących się nogach ze ściśniętym sercem odnalazłam drogę do Zakładu położonego trochę jakby około wsi. Obecnie był tu Zakład dla nieuleczalnie chorych dzieci w stanie niezdolnym do normalnego życia. Zespół Dawna i „mongolskie” matoly. Sparaliżowane, żywe trupy. Wszystkie baraki były porządnie obudowane z centralnym ogrzewaniem i bieżącą wodą. Siostra oprowadzająca mnie zaproponowała mi odwiedzić baraki - ale mnie wystarczyły dobiegające z nich odgłosy. Chrapliwe głosy bełkotu, jęki i krzyki nieartykułowanych nawoływań.

Przełożonej nie zastałam - ale Siostra dobrze starsza wiekiem, kiedy powiedziałam, że jestem wychowanką tamtych czasów -tak jakby się przestraszyła.

Zaczęła przede mną się tłumaczyć „bo proszę Pani byliśmy po wojnie, był głód, nie mieliśmy znikąd pomocy” Odpowiedziałam, że ja niczego nie chcę od Niej usłyszeć chcę tylko popatrzeć. Dom w , którym była nasza jadalnia i schody na , których straszyłam S. Jakubinę... drzewo przy naszym baraku. Dom zakonnicy był przerebiony. Kaplica w której zdejmowano ze mnie grzechy śmiertelne była po przeciwnej stronie domu a refektarz odwrotnie. Nie mogę odżałować, że nie obejrzałam części gospodarczej ewentualnie miejsca może po „parniku” Miałam autobus powrotny za kilka godzin a nocować za nic na świecie w Mielżynie nie chciałam. Poszłam do kościoła we wsi i proboszcz pokazał mi zachowane księgi parafialne z tamtych lat.

Chrzest i wszystkie „egzekwie” razem ze mną brały:

Tamara Kryłow Leon Lebioda

Tamara Urbanowicz Stanisław Kulesza

Janina Urbanowicz Piotr Kaczyński

Antonina Leonowicz Bogdan Kęsik

Wiktoria Brzosko Helena Ubars

Anastazja Szerejko Katarzyna Pawłowska

Aleksander i Halina Szyszkarewicz

Antonina Kubis Anastazja Ryga

Piotr i Katarzyna Zołotarewicz

Wala i Helena Cześniewskie

Mikołaj i Aleksander Żurawiel

Bazyli i Jan Jewpak

Myślę, że podano już imiona chyba po chrzcie - bo prawosławne te imiona to nie były. Podczas pobytu w Mielżynie dowiedziałam się że wszystkie siostry poza S. Joachimą poumieraly.

Wracając do tamtych czasów opiszę jak zdobywałyśmy dodatkowe pożywienie.

Umówiłam się z chłopcem imieniem Sandro - i co dziwne z grupy maluchów - mógł mieć lat z 8 a wiedziałam, że dobrze strzela z procy że mi pomoże odebrać zakonnicom kartofle, które nosiły z „parnika” na kolację. Na przedzie zawsze szła siostra z lampą a dziewczynki niosły blaszaną wanienkę. Ja za zakrętem domu dawałam znak Sandrowi że „ida” a on siedzący na drzewie (właśnie!) przy naszym baraku z niewielkiej odległości trafiał procą bezbłędnie w lampę. Zakonnica podnosiła krzyk - stojące opodal dzieci rzucały się na wanienkę i grabiły ile mogły unieść kartofli.

Potrafiliśmy z Sandrem co wieczór urządzać takie napaści. Zajęte byłyśmy od rana do wieczora. Najgorsze było mycie misek w zimnej wodzie pod pompą. Ale nie tylko pracowałyśmy na miejscu. Drabiniaste wozy zabierały nas bosa do pobliskich majątków do prac rolnych. Chodziłyśmy ustawione tyralierą w pole i gołymi rękoma w worki zawieszane u nas na szyi wydzieraliśmy osiet i chwasty w zbożu. Dostawałyśmy za cały dzień (byłyśmy bez obiadu) prawie do wieczora raz około 1/2 litra mleka i kawał (wzdłuż dużego bochenka) chleba ze szmalcem.

Na nasze pokrwawione ręce i nogi zakonnice nawet nie spoglądały. Myłyśmy się w tym korycie lub latem pod pompą - przykładaliśmy „babkę” do większych zranień. Ale miałyśmy mleko i chleb!!! Drugi raz byłam na wrywaniu buraków. To była b. ciężka praca. Stały obok taczki na które wrzucałyśmy wyrwaną jarzynę. Było to w sąsiednim majątku hrabiów Odrowążów. Spytałam w r. 1973 u przechodzącego człowieka „a co z majątkiem hr. Odrowąża” Spojrzał na mnie dziwnie i powiedział „Z bożą łaską zrobiono tam PGR”. Najbardziej tajemniczy był obiekt „f” Był to duży murowany piętrowy budynek dosyć daleko oddalony od naszego „jadalnego” W nim mieszkali nasi starsi koledzy chłopcy. Na noc budynek był zamykany na klucze a z rana na przychodzącą ich budzić S. Helenę (tę co to stale chodziła z pejcem) z górnego okna pewnie z klatki schodowej chłopcy wylewali wiadra nieczystości z nocy. Dwa albo i trzy. S. Helena wpadała jeszcze oblana na salę i bez opamiętania biła pejcem wszystkich jak popadło i w co popadło.

Chłopcy jadali też w inne godziny po nas i nie z nami. Bałyśmy się tego domu bo okropne gadki chodziły u nas o tem co ci chłopcy potrafili robić S. Helenie. A była to wyjątkowo antypatyczna postać. Wysoka, chuda, z dużymi gorejącymi jak u diabła oczami - zamachy pejcem miała wysokie, szerokie - nie raz widziałam jak biła czasami przechodzące obok niej dziewczęta te starsze.

Nauczycielką w klasie była S. Dominika. Ta też biła, ale pejcz kryła w fałdach fartucha. Zawsze systematycznie czepiała się mnie. Na moje dyżury sprzątania w baraku zawsze przychodziła i coś węszyła. Sienniki miały przetartą słomę i ruszone łóżko sypało na podłogę kupę miazgi. Siostra podchodziła do łóżka i trzymając poręcz zaglądała pod łóżko - „a to jest sprzątanie?” do mnie. Stałam właśnie z pełną szufelką tego śmiecia - wyciągnęła pejcz! runęłam tym śmieciem wprost w twarz Siostry wyrwałam pejcz i powiedziałam „niech Siostra spróbuje mnie uderzyć - zabiję Siostrę - a tu nikogo niema!” Wyszła. Od tego wypadku zaprzestała wizyt i tak jakby mnie się bała. Całe życie ze zgrozą myślę o tym roku pobytu w Mielżynie.

Wg zapisu w książce parafialnej w kościele w Mielżynie jest następujący zapis: „15 marca 1923 50 dzieci syberyjskich wyjechało do Wejherowa i trzech chłopców Feliks i Karol Wójcik, Aleksander Jadykin” - bo mieli b. dobre wyniki w łacinie u księdza proboszcza - dodał ówczesny proboszcz w rozmowie ze mną ks. Jan Krzyślak. W Mielżynie rzeczywiście żadne dziecko nie umarło. Ale za to w kilka lat umarło ich dużo i tylko na gruźlicę: Stępowska, Smaga, cała rodzina Wojcików - Karol i Feliks i trzy siostry, Bronia Czechowicz i dużo jeszcze innych, , których nie pamiętam nazwisk.

Po nas w Mielżynie przyjechał sam dr Jakubkiewicz. Wybierał nas po nazwisku - i jak w wiele lat później zrozumiałam wybierał dzieci, , których rodziców znał i znał ich pochodzenie socjalne. Te „niby” lepsze! A te „niby gorsze” zostały na dalszą mękę. Służące na probostwach, kucharki i pomoce kuchenne w zamożnych domach Poznania niańki do dzieci, sprzątaczkę do dużych sklepów. Dr Jakubkiewicz tak Stępowską jak Smagę i Wójcików wysłał do Zakopanego i kilka lat jeszcze pożyli:

Jestem szczęśliwa, że wyrzuciłam to wszystko z siebie - i już nigdy nie będę więcej myśleć o Mielżynie. Zresztą dzieje te są dokładnie i zgodnie z istniejącymi aktami opisane w dwu książkach

1/ „Dzieci Syberyjskie” doc. dr Wiesław T heiss Uniwersytet Wski - Wydz. Pedagogiczny Wwa 1991

2/ „Dzieci Syberyjskie” dodruk Wwa 1992 Uniwersytet W-ski Wydz. Pedagogiczny

6.12.1994 rok

16.X.95.

Starałam się jak najdokładniej opisać wszystko, co tkwiło mi w pamięci. Przeczytała m ten zeszyt trzy razy. Nie wiem, czy ktoś czytając te zapiski potrafi sobie odtworzyć (czy dostatecznie wyraźnie to pokazałam) dokładnie obraz tych ponurych dni i bez nadziejnych egzystencji. Nie mogę odżalować, że tak późno zabrałam się do pisania tych wspomnień. Gdyby żyło więcej Sybiraczek, , których już niema a które powinnam była zmobilizować, może wtedy wspólnymi siłami można byłoby odtworzyć bardziej wiarogodny obraz „Panoramy Mielżyńskiej” Opisując Mielżyn nie opowiedziałam dość zagadkowego i tajemniczego zdarzenia. Właściwie dwa

Jak już wspominałam była i u nas „infermeri a”. Czy z własnej woli (myślę, że nie) czy w wyniku jakiejś kontroli - do naszej tylnej ściany baraku został dobudowany wielkości 10 m2 niby pokój tak jakby przybudówka baraku. Była to właśnie ta tak szumnie zwana „infermeria”. Stała tam nigdy nie zapalana „koza” dwa łóżka z prześcieradłami, poduszką, kocami w poszwach, dwa okna z obu przeciwległych stron. Urzędowała tam S. Urszula, młodziutka dziewczyna, mizerna i smutna ciągle ciężko kaszląca.

Któregoś dnia usłyszałam długi i przeciągły krzyk naszych dzieci. Pobiegłam i wpadłam w grupę dzieci stojących przed „infermerią”

S.Urszuli nie było. Widok był szczególny. Okazała się metoda dobudowania budyneczku. Między dwie deski wsadzono tak jakby siatkę z drewniaków i naubijano w tę przestrzeń pokrojonej słomy zmieszanej nawet nie z gliną a na wygląd tak jakby z zeschniętym błotem. Otynkowano. Otóż nie wiadomo z jakiego powodu – może dzieciaki kopały w ścianę, może się przepychały na niej – dość że kawał deski z tynkiem odsłonił mały szkielet dziecka! Odpadł razem z ramionkami i tak jakby obojczykami na dole brakowało kolan – ale całość wbita w to błoto stała. Mogło mieć tak jak dziś sobie uprzytamnam 6-7 lat. Na nasze zupełnie dzikie krzyki przybiegły: S. Przełożona Anuncjata, S. Dominika (zresztą jej rodzona siostra) i straszna S. Helena ta od pejcza. Rozpędzono nas do baraków, nie urządono żadnego „żałobnego” nabożeństwa. Sprowadzono starszych chłopców, którzy zakleпали odbite deski. S. Urszuli cały czas nie było. Długi czas dopytywaliśmy się o S. Urszulę. Nie otrzymaliśmy w ogóle odpowiedzi, ale razu pewnego S. Dominika oznajmiła nam z iście „chrześcijańskim” uśmiechem wiadomość, że S. Urszula odeszła w wieczną szczęśliwość w ramionach ukochanego przez nią Chrystusa. Męczyło nas to wszystko, ale nauczone już „życiem” nawet między sobą nie wspominałyśmy o tym wydarzeniu.

Druga sprawa była jeszcze dziwniejsza. Moim jedynym przyjacielem i powiernikiem był Pietro Sandro –zw. tylko Sandro. Nie odstępował mnie – nawet potrafił wstać z rana (t.zn.) o 4tej!) i pomagać mi w parniku. Otóż zaaferowany Sandro zwierzył mi się, że penetruje strych w murowanym domu – gdzie mieściła się jadalnia i kuchnia. Znalazł tam „urządzenie do bicia dzieci” Chodź ze mną na strych – łatwo dojść pokażę Ci wszystko.” Poszliśmy. Na dosyć wysokiej podstawie – ale nie stół – leżało tak jakby koryto z grubego metalu, bez bocznych górnych i dolnych ścianek. Nad tym urządzeniem dwa ogromne koła tak jakby rowerowe z głębokim otworkiem pośrodku. Sandro dowodził mnie że w ten właśnie otwór wsadzało się różgi. Koła posiadały korby i można było nimi obracać. – Wprost nad tym korytkiem. Długo medytowaliśmy nad tym urządzeniem i właściwie w świetle tej „infermerii” – nie wiadomo, co się działo w Mielżynie w okresie rozbioru Polski w Prusach.

I od jak dawna „zakonnice” wychowywały dzieci w Mielżynie.

I tak: do zbójnickich występów wieczorami z pomocą Sandra w zdobyciu kartofli, do dźwigania wiader w parniku znów z Sandrem stał się jakby moim nieodłącznym towarzyszem do działań „wywrotowych” do działań nienawiści i łobuzerki.

Natomiast miałam i ja swoją „miłość” i radość.

Nasza sypialnia to była dawna stajnia, nie duża sień z blaszanymi korytami rozdzielała nas od porządnego baraku. Z drewnianą podłogą, dużymi oknami opatrzonymi na zimę, kaflowego pieca.

Do dziś dnia nie wiem naprawdę kto tam mieszkał. Dziś myślę, że były to młode dziewczyny ze Wschodu, też sieroty wojenne, które były już z góry przeznaczone na mniszki. To tutaj była ich sypialnia, nie jadały z nami nie obcowały, od razu z rana szły do budynków zakonnicy z kaplicą. Ten to barak S. Dominika przeznaczyła mnie do sprzątanania i tutaj lunęłam na nią kubłem śmieci (patrz wspomnienia) W baraku tym mieszkała również niewidoma młoda 20-21 lat Frania Mindak.

Duża, rosła tak jakby urodą malarską. Ukrainka, z pięknymi, długimi włosami, które raz splatała w warkocze i zarzucała na plecy, raz układała wysoką koronę na głowie. Gdzie straciła oczy nie wiem. Wyglądały okropnie: duże wklęsłe dziury - wrosnięte tak jakby w kotlinie wśród której przeciskały się końcówki rżęs. Cała sypialnia miała porządne materace poduszki, koce a niektóre miały kołdry. Łóżko Frani wyróżniało się. Na sienniku leżały materace przykryte grubą kapą a potem prześcieradło. Prześcieradła miały koronki, kołdra i poszewki miały piękne białe wsypy. Na tym wszystkim leżał koc przykryty piękną koronkową białą narzutą. Otóż tę Franię Dominika powierzyła mnie co dzień z rana odprowadzać do budynku sióstr. Przed odejściem Frania wygładzała swoje łóżko do powierzchni stołu i wyglądało ono rzeczywiście wspaniale. Te poduszki!

Obok łóżka stała nieduża szafka - założona po wierzch niezliczoną ilością różańców, szkaplerzy i co przedziwne - różnymi świętymi obrazkami. Kim była Frania? Myślę, że była kimś z rodziny wyższych dygnitarzy kościelnych. Była porządnie i ciepło ubrana, miała obuwie (nie drewniaki bez pończoch!). Po naszym „śniadaniu” szłam po Franię opartą na moim ramieniu. Była zawsze uśmiechnięta, radosna i wesoła.

Idąc ze mną od razu rozpoczynała „wiesz Halinko, dziś znów był u mnie anioł - x - był wysoki i wesoły - opowiadał mi...” i tu następował jakiś nawał słów o aniołach, latających gdzieś w przestworzach, o duchach, które do niej wołały i pozdrowiały ją i co najdziwniejsze w tych rozmowach nigdy nie było wzmianki o Bogu, o Paniencie it.p. Skąd u niej to się wszystko brało? Za każdą wizytą anioła była z nim gdzie indziej zawsze w powietrzu, w niebie, w locie. Zawrotnie i szczęśliwie. Nie wiem czy w budynku sióstr, ktoś im czytał jakież religijne baśnie, jakieś życiorysy świętych - gdzie nie tylko byli bici, zarzynani ale przede wszystkim radośni i wolni. Wieczorami nie zawsze wołała mnie Dominika po Franię. Często wracała z tymi młodymi. A po powrocie siadała na zydelku przy łóżku, u jej stóp na małym taboreciku siadywałam ja. I znów Frania snuła swoje majaczenia „o swoim aniele”

Wiele później - znów znalazłam się obok Frani. Stałam przed obrazami Chagalla. Ten sam lot w niebo, przestrzeń, powietrze, latające krowy, domy, ludzie - jasna pogoda! Żyłam obok Frani nie widząc czasami w ogóle, gdzie jestem, zawdzięczając jej kroplę wytchnienia w tym „piekiełku”

Dziad 1843-1927- 84 lata

Babka 1853-1909- 56 lat

Naruszewicze

Wanda

Zofia

Kazimiera 1882-1931- 49 lat

Sabina

Bronisława 1896-1956 -60 lat

Franuś 1888-1909 -21 lat

Ojciec 1887-1917- 30 lat

Leszek 1915-1945 -30 lat

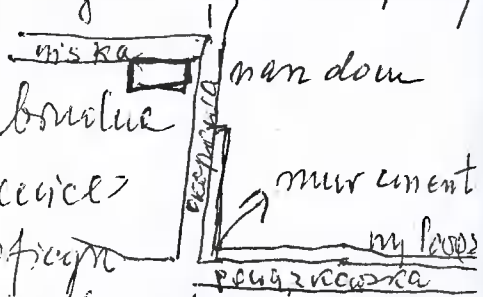
26.9.1915 1915-1944 -29 lat

Nwa
 Skota - GUS
 Storkusli

23. X. 1991.

I tak o to gubies w ~~historie~~ ^{historie} ~~przebiegu~~ ^{przebiegu} ~~dziwnej~~ ^{dziwnej} ~~niepewnej~~ ^{niepewnej}
 1929 roku zamarzaniem się na Niszej.
 Tymczasem było co miedziara. ulica Niska to.
 już obwarowa getta żydowskiego koczona Oksfordem

Niefortuna ta była ulica; białe
 obdrapane strasne kamienice
 z białymi oknami, szarymi
 okładkami szafkami, jacyś ciagle schodki
 od ulicy do fawny -- mieniali tam ludnie.
 Miało z tego miuzica - podobne w dolicie
 puzerunie ulice (podczas wypraw) do tura.
 Nad tyllio wacelowi miedziara Niska, obwarowa
 miedziara ulicze dolicie, kuczona tam było
 zdaje się co miedziara -- miedziara, miedziara
 miedziara miedziara -- miedziara, miedziara, miedziara
 miedziara miedziara miedziara -- miedziara miedziara
 miedziara miedziara, miedziara miedziara " miedziara
 miedziara, miedziara miedziara z kuczona miedziara na Niszej



Do mnie znowe dzwoni, to kulia chodzący po taluach
allicad. Wiktoria to tyłko w Miliuie - i w Miliuie
dzwoni mi chodzący a smygali - to jakos
brackiem, bessaletnie pmenykali obou sobie.
Cicho, awantury były, znowe jała ognisko. Sam
wstępnato formaie wiele lat przedz moją
mediana, moze wyjsna - walcie
pneale istwa! -

Me wiodomy do kursy. Kierujemy odwaru powiedzieli
oni, ie sa, moilidsei dalnej nauki ale mure,
nupka: stypendium ora zamieszkanie w kursie
w Klimsterstare. Nauczyły jak napisac listy, gdzie
pijse. Mielk nie bedzie zapomnianie. Maruska
marcelina Krakowskiego, gorbusa i arcybrylka chidre.
Dworem podanie pnyjst, obicst papnie, ale madylajse
sie madermo, wstai z za stolu szaglodajse mi wocy
lan z blusce, a onie wicorriciem wstepis do
mnie - podam adres. Odi jui bytam nauca
"zyciem" hodieskowalou, obicetam i wyptam.
Krotce na adres Bomy pnyjstio stypendium.

60 ro. miesiacami, Tatarzy wiece byla w kance
lani. Illuscia co's mylic, albo musata z nac
jakies inne pnygody p. Krakowskiego, bo spyt
ta sie mnie, "a czy nie musisz popychadzkowa
mu za stypendium" mie! poredustam
jestem tybiraska, bura jest nane i musrai
dad mi to stypendium. Mgdy wicaj nie spotkali
p. Krakowskiego.

Zycie w kursie janyer bylo inne mi i lej her
ore. Kierujemy mycely i wicorraly jak opstau
jak mentam: rano do cypialis. Miedly bylo
spoo (i jencu wtedy mie pkanatam z radosia
pytan - naturalnie o swoich pnygodach, nie in
nie mowilam tyllu dobre ckeleam swoje wdr,
mz. Sfiracelis b. wochaly swoje wdriny
"teskinty za Polna" i byly wielkie patriotki o ma
ze nie od. kolysei. Napiewo byly wdriny utro
znaty Polna i modyj o niej swiem diicidom.
Ja mi! nie. Teskintam za Polna, nie miedlitam
sie o mie, nie cularu zadnych patriotyz
mych

walotów. Podczas rozmaitych obchodach rocznicowych powstań 1830 o 1863 roku zawsze myślałam o trupach śródziemnych w Rosji, o ludzkiej niewolności wzdłuż torów przy 45° szerokości geograficznej! o krwi młodej na chodnikach — żadnej dumy z tych powstań nie było w mojej wyobraźni!

Na Misłowej wszystko było reżimione. Ciężko było jednemu z nas dostać; często depresjonowało to do kłótni między moimi — nawet ciętymi — sibijskimi — sędziawcami nie brano w to!

Nie pamiętam jak było zorganizowane prace dnia powszedniego t. zw. „praca”, „praca”. W każdą noc na Misłowej między nami przy garbodarstwie nie robiliśmy. Woda wylotywała na wyłoty — cetero, niechcąc je przesunąć — o porannym bruciu waciatem do domu. Nieraz był ciężkim miesiącem dla nas. Nie było jeszcze zorganizowanych stałych siedzib — ani po raz pierwszy z Sybiraków tak jak ja

objawiała się mi Misłowej. Teraz bardzo wyraźnie zaczęły się dobieierać parę myśli i najważniejszego zaufanie. Miałem dostawać styfendium miotaw trochę pieniędzy, dzięki temu się kupionym chlebem z „ferajmą” która jeszcze ciekawo występowała. Często Tatarzy również restauracje w kuchni dla mnie gwarantowały i nawet chleba. Nie było tam jeszcze w ewidencji. Karolka specjalnie od takich escapad wymykała się się wycieczki na ulice i wracała z „bajgetami” takie ciemnie „koni” obwarunki żydowskie albo, latami o nasami ominiętym żydów, kupując np. 2 kg pomidorów — za które nie liczyłam. Jestem na Misłowej — przeważnie żydów był ogromny i ciemni moje. Zawsze był, młode die miotaw jak pamiętam żadenby wyprawy komisji, a wreszcie odwrotnie za miotawym z tych „jednostek”. Jednym z nich, styfendium narumie zawiązanie na Misłowej — było

myślenie i wstępną ma ją wstępną ale urodzić.
Chciałam bardzo się uczyć. Umiała moja siostra
do czytania. Była u nas wójska moja Biblioteka
biblioteczna p. Gurim'ska, było dużo taras ma
którym teraz dobru się siedzieli - co prawda
nie było już żadnych gimnazjum, pięknego lasu
Jankiewiczów, gości ale zato zaczęły się koncerty,
i Filharmonii, teatr Ateneum - były bilety, zawiąza-
w kancelarii do wzięcia. Jakiś czas był
afmedata nas albo ostaniecna i niedługo
wydawać się, o której musiałby napisać fizyka.
i ante wspomnienie "właściwie matych miost do domu
nie wdawać się z obywatelami w zadanie nauki". Chciał
juz tego nie trzeba było mówić. Zawsze zamiast
do kościoła leciałam, z domu i dużej Cytadeli
do Filharmonii na posranie - a potem czytaniem
do nprejcia. Medowa ma wyliczającymi mówić
"dniecno gdzie ty to wszystko komiescin w swojej górze"
Medowa Medowa, Tazodine, mitala obreta cizgle be-
gata do kościoła i b. kolata nad manę nie bank.

filicie cygnione, stwiebę brzę. Spotkaliśmy je
w r. 1945 podczas mojej "rajzy" po powstaniu
w Crestochocie - mieszkała u syna księdza i
było jej tam nie dobrane, nie zaprosiła do siebie
i stojąc objęła ma ulicy gorzno obie płaćkały
o ci, wtedy już siła ci ci...
Mażadug, ojciec urodzić nie miotał wstępną
nie miotał matary - exsteruisz tuż nie, moją
leży tego regulacji zamieszkania na Wiskie
nie pmiendywał. Naprawdę bym je zdała i to szybko
ale miłt - nie wiem kto maui, wtedy mgdłt -
ma to nie pozwalat. Zdaje się, że uwaro ciu
szkół t. zw. wydzielonych na Pom. su dawat
matary - ale ja si ostataim już o rke o ma to
i witeym kistatem stantęd wyliczatem.
Na końcu chcieli siedzieliem celowo w ostatniej
Tawce bo w zadecy sposób nie myślam się
oderwad od "Jozdowatej" - a zawnę z powdu
wrtkicyp mowca - Rachiatom na pierwszej danc
Nauczylieli zjedliwie patruso na muice powie-

dziaba „och coś mi się zdaje że p. Krytów e
miał być dłużej przygotowana na lekcje, teubardziej
że ona książkę uwrzyte lud palpitatem”.

Metatam o przedmiotach „jestem przygotowana
na lekcje - a książkę ma być chemię.”

Znamy się na takich występach mojej pańno
prowo do fabrycy! I ma to ja z całej siły
(a książka jest doryc' durya - tam nie ma
Jędrata) nie wiem jak w nauce ciężej.
Spadły jej okulary! Trafiam celnie
w samą sran! - Był gwiazda 1926 roku!

Konprawy z Janukiewiczem nie pamiętam.
Wskazywałem mi chociaż mi nie dać, mieli listę
nad „dużym syberyjskim”! Inniś mi nie
na 3 rok do Anoty Handlowej Stowarzyszenia
Kupców w Węgrówce. Długo oczekuję, że jako
b. dobre sran, o dwo do dobrych wspomnień
o niej zachowam. Polubiam się gawdzić!
I skończyłam je w czerwcu 1927 roku z bardzo słabym
wynikiem. Ale to nie było matma lewna.

Podczas trwania po wyprawy do przedmiotów
kancelariewi doświadcza się, że jest jakas
skłota Pracy Społecznej prowadzona przez
Młodzią Szkołę pod dyktando (Stawka
Stemlera). A wtedy jeszcze nie miałem
żeremski - ponieważ moich niefortunnych
doświadczeń w matmie i chemii. Wskazywa
mi nie było to „zakładka endekja” Innowe-
tam, że jest to coś z zapadłymi mojej odziny,
ale nie miałem wyboru. Wskazywałem mi nie
dlaczego mi powiadomiono mi nie o przedmiotach
wymyślonych w Polsce, przedmiotach - tam mi nie
mi nie przyszli - ale wtedy, tak jak dziś 1991 roku
pamiętam, że wtedy, że wtedy, że wtedy, że wtedy, że wtedy!
Mocni! ponieważ do sran, w tym czasie, dobre sran -
decho z ujęciem o „przysięgi mi nie ostate mi nie
opowiada 82 r. mi nie. Bona siła, że ma
mnie mi dawata. 62 r. stypendium mi nie
zycie, bilet, tranajowe tam i masad, o 2 sran
w mi nie oblaty, na relacji i sran.

To było wspaniałe. Ale pierwsza Ostasiewska
dała mi merisio i jalicis swoich dowodów
psychologicznych z poprawkami - zaległem naciskać
się. Chyba to byli chrześcijanie. Byli już u domach - co
najbardziej było zawrę rodziną moją, a
potawieni i świadomości, że trzeba się naciskać.
Chyba się naciskać i uczyć byli odemnie starsi.
W tym miejscu chciałabym oddać cześć pamięci
mojej wychowawczyni Janinie Ostasiewskiej -
Galiczanki. Była to osoba marnocenna, bożona,
by pracować z młodzieżą! Nie pamiętam wspaniałej
swoich wypraw (tylko niektóre) a musiałoby
być o na Michaj co nieco. Była drobna, o białej
frankowej ości i ciemnej, delikatna i miła -
miła. Stawała przedemnie i mówiła, "no wien
Kali mo nie spodziewałam się po Tobie tego niegdyś
zawieści moje ocenianie - ale ja swoim dyspuzie
(miła dyspuzie w "naci") przez wstęp do mnie do
pokoju br. jednemu mi, że onie miła i jalicis
w wodę, że białe fioletowe" (Na górnym IV piętrze.

w jej pokoju stała zawrę filiżanki herbaty lub
mleka, hajda daleko z resztką (!) lub nawet
ciasta. "No opowiedz mi po kolei." Tak po
mptuchami miła, "ile b. robota, ale przecież
mnie było ten konflikt rozwiązać" i tu
koda wata cały serce moją tych sprzeczności
"Pomyśl na przykład jak ci znowu coś się trafi
a teraz bierz się za to". Odmalowała jej,
po wojnie. Uczyła się. Nie utrzymałam z nią
bliskiego kontaktu, była w dobrych sytuacjach
materialem, miła i dobra, nawet nie
Zoli bonu. Nie mogę dać ci sobie, że zaimada
całą tę przyjaźń. Ale mnie było b. ciężko
Napisałam o swoim życiu i o sobie i prosiłam
o pomoc. Kiedyś mi nie przypadała ale co pewn
czas ogarnęła. Wtedy mi więcej bieliśmy i szliśmy.
Kadałpiny dookoła i o sobie i o tym co
komu pasowało. Było tego ze 2 razy i oaz dla
mnie nie nie zostało. Miałam 2 sędziów
jakoś si kwiatki, granatowe i czerwone z "gorgety

Azu. miślanu odcie, byś b. Tedy, cłwólicie
pauzstatau jeo nostru, i' oddam, z Chabarow-
de uclufatau się, wypręcałau - dnoica on-
z obojętnym gestem ręk porędiat "o jej jak
ci się ma dce, to ja nie muszę tajać z sobą,
się męczy!" Tępnat. Złupiny z sobą, wziętlic
zgodnie, jeśli kłoras' pęcorem trode, Chabarow
maty, chność obste, powatyrin, kóru i dęta
męczytyni ai porędiat o co cłwólicie. Radom-
tyni na podoszdru tygize. Najęsz' byty to
jalnie wrojone mby mńome nieprowadzenie.
"Kis' go wcale nie chłwótau", nie porędiat
m' dńeńdobny" "obrac, ie undwiny się, a teraz,
tępnat, by mi nie widiat" ... Bze dńeńsieru.
Spatau mżduy Marpię, Kłwólicie a Kęcic dńeńsieru
Kłwólicie. Jeduę osoba, now, z personele
byś p. Popławski, jej swagier byś tym, tymym
ćmirakiew Popławski, ona cłwólicie e angłedie
gusimci, Tadu, Kłwólicie, doucipna paw-
Kłwólicie. Spodobatam się jej; miśtan cłwólicie

studenta Politechniki, matkę, brata i Kłwólicie.
Kłwólicie byty cłwólicie. (mgi byś i mńymieru)
musiatu pępi pracować. Byśa dla nas b. dobra
Rad zaprosza miue do siebie do domu i' zapo-
wadnita do swojej warujcej matki męczy-
mńoie. gusimci z Tblisi i o matu mi
Kłwólicie z zabieranie - bratem jej okara.
cis mńoie mńeowu Halin i z Kłwólicie
Alexander - Alin Kłwólicie. A drugi
Rad o matu nie spadłau z Kłwólicie,
Kłwólicie po wojnie jedu z Kłwólicie męczy
męczy cłwólicie, ie ja nie macu z cłwólicie
jeo fotografii mńoie m' jeo foto-
mńoie "to mi Kłwólicie mńeń dce i porę-
diat, ie tole pę Kłwólicie z cłwólicie
Kłwólicie - to dńeńcie mi zapomnie" a tym
Kłwólicie byty mńeń Alin Kłwólicie. Złupiny
Kłwólicie. Kłwólicie, ie wziętlic cłwólicie męczy
cis dce, miat mi Kłwólicie na drugi rok, mi
mńeń tyllu, gdzie Kłwólicie się męczy. Najęsz' lubiatu

rozumować o pulcypach kuzynach, o zapadłych
niadojdownach - sprawiech i wóci (leży to komin-
sybiracem!) moralności, wdzięczności, o pomocy
bliznim - najwięcej czasu spędziłem z kuzynem
Kuznecowem, Rime, Zielinskim, Giełmą Gietowiczem
o miłości bo była wtedy b. niesposobnie
zawodowa, w naszym sybiraku Alfredzie F.
Nikt nas nie miał nie pilnować, wydzwanacypie
traktowałyśmy jakby były nieobecne, bo przecież
nie były "Ujherowską" zachowaniem autem,
wspomnienie o Janinie Ostrowskiej - faktycznie była
to wydzwanacypie z Brzeź lasów. Często z tyłu rozmowy
korekcyjnej znaczącej siły. Dziwnym jest, co było na
malajki - klauzury ziemniaczane - a dno? po 4 na osie,
moja gdzie moje? W podpiecu - w podpiecu mi
leży - podobno zawiązać i jadać - --- - Wychodzą
ostanowka - co rósł będzie beviolajki? Cioci do mnie
na górę - dostawałam butne, prądy chleba, ciasta
talen rufy z obiadu. Też nie można daktować -
wóci otem ciocier wtedy nigdy przecież nie

powiedzieć ani słowa. Zastanawiałem się
czy z takim nastawieniem "z dobrego wychowania" z lo-
jalności? miarą. Na Miskiej całej jedno
bratem to było ogromny fajerwerk - ma-
lewo były przynajmniej górne z przegródkami, spo-
średku były jakby przynajmniej przeprowadzone
średnie przynajmniej - teło grubość miśko namię-
czona - co anacy miśko? pitieś 60cm od pod-
łoga. Były przynajmniej godziwy dla nas o dla
długości - miśko nie doznajemy wstydzenie na
długości były jak najmiśki bracia. Spaliliśmy w
wygodnych korbach, białym co 2 tygodnie
była zimowa. Był ciepło i o Bore! było
bierzenie. Ja po swojej tużacze odbieram
to bierzenie to jak najwięcej magicie i spóźnię
Czy są jakieś foto Miskiej - nie wiem. Czyba coś
na tarasie - siedziałymy. Miałem co miśko
oddawać p. Theisowi. Też leżę w spóźnię!
Czy to tutaj powiedzieć o mojej szkole. Dyrektorem
był Stanisław Steiner - zażyciem do tego zony.

Wszystko napisałam, przez jego brata Franka Steubera.
O tej całej niecodiennej odmianie opętanej pracy
sztecerus. Innota była Złotnie. Na drugim
roku trzeba było pisać albo niemiecki -
biblioteczarski - albo ściśle pracy szteckernej.
Interesowało mnie naturalnie biblioteczarsko -
próby pracy szteckernej przekonany, mnie, że nie
miałe się do niej. Wypisawszy prosił o list profesora
moje wpiętych wciel. Prawo międzynarodowe
wypisawszy Henryk Wolinski - Janusz Wolinski
wypisawszy historię ogólną. Syndykalizm wypisawszy
p. Helena Korycińska - która ^{myła odcisł} ^{Radij. w. 1911} ^{listo} nas prowadziła na
Kantyanizację na pięknej analizie i numer
wydanego przez nas już absolwentów firmie
„Echo Swoje Pracownic Szteckernej” kwartalnik
w którym z numerów były i moje „opracowania”
na temat wypracowanych dzieł przez wódzów
w bibliotece na Olszynie, gdzie pragnęłam
Zalicytować numer gdzie wypisywać, opisałam
tę całą wypracowaną jako i Niemce.

Jedną z najpiękniejszych i miłych rzeczy odegrał
"dyplom" (Abytłomacina ni miż dużyrojemej
Nolsce byda mi do ogarnięcia!) tak go
narysowali a byj maceliniem osiadały czy kultury
a Samodzie m. Wony Stefan Matanson - cała
jego najświetniejsza literatura. Starszy białat si'ony
nagon fabelis jako młoda na starych potrze-
tade, wspani, postawny, o śladym afrosobie
lycia, piękny si'ony poru a darimni ogasacii!
Nasomachi mygdal aca si'ona! Podłama tydłomke
juz po kilku fenomenach spolonizowacii.
Boat jego to ten znany lekarz i spoleczny
doktor - pediatra Matanson?
Kratem byj Mojica Matanson finy obrotami
zyscy jence, Mojica Matanson wytyca teat.
Byj drugi rok nauki. p.m. po pierwszym wykładzie
"oswiata o umolnictwo w Europie" obytai se, lotem to
jest p. krytoim. Wstaiam. Poprosi ~~mi~~ do kancelarii.
Po pierwsze dyktai miue czy to wspanle co napisatam
w zyciomyje jest nacynisacii pi'ankle, "jest prawda!"

A ja tam tyllow milku si'owam napisatam
o s'osiel joci'osiac, lo'icytam smotę a Wojke
mire, jedtem t. zw. diemniemybernyjskim,
mieniama w manij kucio i manstypudim.
A czego tam s'osiel osesne? o'wacotam
z korefetycji - a teraz jedtem zrodłomaz o'fio
kamysit cię. Ed tego pierwszego apofluacii
w kancelarii - zaugt wytymaty osacie. Dważy
a tygocicim zabierac miue z sobę na koncert
do Zadięty, na ciostio - a d'owusa. W miar
znajomosci - a znanu byda moja gadatli'owosc
traktowatam go jako dobrego znajomego i natu-
ralnie juz dalekocudnie o miue wspanle szednie
Jednego dnia spytat sie mnie "a co ja z miygli
lubie najlepszy" (A u nas na potanicionach
krolowat malc - i kalcibry ze miue ualcoseli!)
zatem z zachwytem f'oreducatam "och najlepszy
malc!" Nozł onulady - spojnat me miue pre-
mi klicie i powedlicat "od a'udolubii moje diecwo
bedie. Pau, alodii na wytyblie niedzielue

potawni i o piętki ma dwie koncerty. Wykupili
mi bilet w 6 godzinie obok swego miejsca, i
zobowiązał, że mi będzie się z tego wymigiwać.
Gniewałem się nadobaw sam. Czasami był obecny
w piętki. Po kilku koncertach słyszał ~~mi~~^{mię} co
grali i czy mi się podobają? A ja przy pierwszym
dwojguach piew "z roku maty, miast zarypiam".
I w niedziele też chwiał tam koncert, już głośno
kiej trafiały mi w ucho - leży, derbi, malczyli
też - jakieś pieśni, które opiewała Ieronimichie.
Ażem mi się przypomniało „ale ja powie dyrektor
nie mogę się opamiętać i matychomniast zarypiam”
„No cóż trudno, mied Panu Sli - ale ja wierzę, że
przyjdzie taki dzień, że się Panu obudzi”. I przypała.
Ilnej więcej coś mało czasu opamię. Już nie zaspy-
lielam, zaczęłam rozróżnić co się dzieło na estradzie
- i w szętan z nim, orznowy. Już zaczęłam
rozróżnić dyrygentów - zapamiętywać na w szętan
Pomagał mi w tym opowiadając o ich życiu
i sukcesach. Był b. miłotatymym człowiekiem

znat bięte. Na lha je żywi - długi czas
mieniwał we Francji i w Rumie. Kochał muzykę
i sam przyknie grać, co miętar u mięgo
w domu słyszałam. Ilięniwał na Foksal
nad tym teatrem, co dziś tam jest.
Zajmował całej piętro, miał przyknie antylin,
obrazy, louspy. Bywałam w jego
gabinecie - czasami jak zasiędziałam się
przyknie na tacy, co do ujętowie. Był
ordowcem mię z daję się z cówi i cyma.
Ażem mi opowiadai o szętej zowie. Kółni ma,
stał się z cówi wym katolicieca, fajmoleis
nie przypała daję wagi do myślowie. Pr
mwyżę drugę jego pasję było malarstwo.
Wizyty w Łachyca cęsto opowiadai na
mię matroje w partien duchie. To było już
korał moje wytrzymanie. Stała jestem w
dółmętyce - nie b. sidę w ilony - całej mię
nie w mielam opowiad na llinu do mamaty
obrusu do mamoty, mię miłotęc już

o estetyce dnia codziennego t. zw. np. ujęcie kra-
jów czy przyrodzajów domu w jawnie
demokratycznej drobiazgu. W zacytowanej naturalnie
zwoje przedś o awanturalnie przytaczam „no a
co dzisiaj ci się podobają” „no i naturalnie
podobają mi się Brachowski i „Kauka. w. liliowej
sunny”. Mnie zbliża tylna powrotem i już białe
o symbolu umie z wyobraźni wypracować! Zabrał
na dobry obiad i zrobił mi rozkład o malarskiej
his o malarskiej siew, jej co miała, ale wtedy
stowa „koloryty, kolor, faktura, wyrażenie,
faktury, i najgorzej malarsko tematy, one
a jej specjalnie problematyczna spójność
i polityczna - przedmy rozkładu mojej Matan-
son co by z nim się dzieło jakoby o gładki
oczekiwaniu - dobre, jener, jakoby - ale
myśli!!! Literki miotać dwa w gładki
nie ludzki - mi. uściłowatam nawet sięgać
do uszy o tematyce malarskiej badać
mi się, i to pewna ca - przy mojej zupie,

To dwa lata od odwiedzenia i patnienia coś,
mi coś strasznego - ależ wie ty mi!
Otworzył mi też oczy na literaturę. Dotąd
czytałem. Teraz ma spacerach w Lasienkach
Homaży mi Pruski, Montherlanti
a swego młockarę o Jean Giono to
faktory z księżką, proszę czytać z francuską
na polski. A nas jener, a tyż, latami mi był
Homażony. Mnie raz jener, i do Natanson,
A symonem filozofu życie. Ma Miskiej.
Mawiałem się zuchwać. W bursie był o wrażeń
zakłóca się medyta jako mawiał, mas
cykliczna to europejska, i o to pewnego
dnia. Alona, osadnicę z gorgonę, adaje się
leży a coś z gwiazd mi. w pomysłu - wyprzedzić
s. Trzema (a pięćmi! a jener!) do smoty.
Ja jener, omyśle, i e mawiał, i do mi. w sie.
Kwestionna. Mo i tutaj ja z fawis dżego, i stryony
Waw, mawiałem się ma Zakłóca. Mnie spudierka.
mi i omyśle. Kwestionna, i do do do do

quantum zanne leydam je. & spredium potestatem
z cypralium, luyt "salomik smyjęc" jak do nas
ktoś przychodzi. Naturalnie Friedrich zanne
przy tym asystowata. Stał w nim stary adwentto-
wamy fortepian. W mocy dawałam im siun
mille anordoi i podnosilymym wzraz "siunie
prostro dudi" grał na fiawinie. Biedna "ciota"
wchodila do nas z wycyfrusem w ogum, i epnata
mymiu fortepian "siunie duiwcyms" - (dobrze
druwcymsi wyszkie fu 20 a orientis obarsse.
luyt jui studentkami.) Chac a ja pomelle sed.
Tone miedlymym wyprutoo sumiecia, qui nenu eu
litości orad typni zamęcomym "dystym".
W kazdym razie miedlymym nede i occupisai
jalu mogtam tutajm im iycie. Imroznie stym
mreum Natansonoi nigdy nie msiwge. "que nie
dicutam, es mōzma audoi aco nie. Samone
ze zostajge sie z Nishe, nie cuitam iadnego zdu
ani za sybiarankami ani za rikim. To jui nie
luyt wejheroo, ani atmosfery tamtego ycie

Spotykałam się z Jozia i Mita, Mrbauoi
Nere i dwak, Cytricia, z gronie gotowicy
z Wandy Harsena (ta co to była ma dny
z kosciele na 20, bōm i poroitei potem umar.
Niewicam gdzie luyt palubliwica ale o nas m.
zapomiat. Zaberpicayt nam mruoste
zaczomiesci. Inwelywat nas do mienucania
p. Wlehorwiciego sumpna (zdaje się plecta, et
to jui pōdniejra, aridha.) przedstawia: Nere i bu
Cytricia, mure. Pōdnie nie francuzem danyel
ale toam luyteli sūni nasi sypira cy. Wlehorli
sobit fudwicowa (luyt pōmaranicae) i grał
i grał do sypozicia! Formawicai z mami msp.
mo co litare "st, sata" m itione, letoy wyymoy
maw, ja wynde jui fu adlymym studiaci
m Natansonoi pmerivalum "widlicia"!
Pratowat "widlicie" i "st, sata". luyt b. mily.
Była mōmieri p. kasperska - spiewawica sferwa.
luyt b. interesowata sie dudi. Mista andomay
alt! Pōsmole pōdswelawem, Monayte,

przy której otwarto nowoczesny bar (Polska wtedy
wchodziła też do Europy!) z ogromnym wytworem
jadła - czego tam nie było! Zawijać w coś
kurapatwy, zapieca, kanapki i szeludki przede wszystkim
od zapalenia albo i mniejsze przemysłowe - ciastka
torty, orzechy, pasty! Przemysłowe ciasteczka!
Zaburzyłam się wczoraj przed wyjazdem
o swoim wyjeździe i postanowiłam z zachwytem!
Bo co za ryba! no i jak mówią, robić tylko salami
z tortu i sp. Właśnie zobaczyłam u siebie
eleganckiego Pana jak to było u siebie z białym
nabiałem przemysłowym przez ramię a jakie!
w futrze "Amore by Panie wstąpił to ze mną, nate
wzięcie warty, którym się Panie to zachwyca?"
Właśnie chłopcom sytuacja - omylewka, najam się
w barze - wódki przez okna. Tym ludzi przy stoliku
o przy barze - tu mi nic nie robi - a tak: to
kuchnia wrażeń. Mówią - chyba zjadłam
ze 2 porcje drugiego dania, kanapki herbata i jakis
oranżado. Szczerze mówiąc, nie jestem zadowolona

moim zdaniem no a ja natomiast, Kuchnia!
Mierząca obok niej, jedk, nie się tu też
na 21 sty, pod 14, naważka z korpety, prona
cis, nie dziwić, jertem bez obiadu, ale temu
dobrze rzeczy zjadłyby, a moje naważki.
Bia sowa wrażliwość, stawa przedem
opromiowanie. Jertem pronażone. Tymczasem
moje z tego gwałtownie i miłego. Kuchnia
odprawa, a mnie do internatu i przedsta
cis p. przedstawi. To w tym czasie, odchodzi
regulacje się ze mną, prawie objętym, tade
się z tym kuchnia do sypialni. Będzie tym
no co się dzieje!! to trudno opisać. Kuchnia
(Bia jedk, moje sypialnia, która zamyla na
głowie, kładzie) nawiązywać na moje łóżko
i jada!! Zjadłam trochę jedzenia i potory
tem na podłogę, które łóżko mojej sypialni
łóżko wzięto - to przedstawi chyba ze 2 godki
(cisze przedstawi no naważka) na zamyla
zobaczyłam sypialnia - wycoż sypialnia

ma te moje afacery do kancelarii.

A były u nas i bardzo młodeccie osoby
na wykładach p. Książki z Porubian
p. Hanna Górczakówna (mama Leobimira)
teraz z Wornaim, która kiedyś zaprosiła mnie
do domu na obiad - mama Leobimira czy
Leobimira na całej stole - następnie przyjechała
do Kolojny Jarabiego - jakas osoba wycieczki
Kogebie (a to stół do jedzenia!) zobaczyła
młodsza (rok 1931!) z bratych Kogebie
ustępujących przy stole - a transfer zjawa
wyjechała z obiadem mojej babki w Kolojnie -
tylko Kolojnie była bez Kogebie - ale
ciśnięcie i smutek ten sam.

Jakies sfocosa zriajane jak to dluzym
biegu z obmykaniem w sercu - wyprawy
z tego obiadu - z domu gdzieś w Alejce
Ljandorlińck. Ja, kimoleś "stuba" to
trozuma tydzień powiem (Książki u mnie
mieszka!) ten kawałek czasu w naszym gronie

na brany - - A ja myślałam zaprzyjaźnić się
z Hanną - była b. ładna - wyjechała
cupe i paczka. Ale po tym obiedzie
z Kogebie, nie do celu.

Jak ja do dziś dnia, nie wiem czy te domy
młodeccie - zmiennosci ze smog obiadu, w wy-
tym alowostwie w stosunku do miłej od-
niebnie klasowo atajacych ludzi. Te idy "dobre
wydostanie" smierdzą mi z dala -
do dziś dnia je natychmiast wyzdawaj!
"Zrępy z obnoszonych potomków braci adrobi-
na sobie na talerz - to jeszcze wyprawy
grudni! Mnie Hanna też opowiadała
o mnie dlatec, mnie ona chciała zobaczyć
z kim to też chce się zaprzyjaźnić "Jej comma!
Zadawaj, fajt pas" nie przepelnitam - byłam
już wytrawiona na obiadach!!!
"Biedny mój Natanson przeszedł jak zaduro z
jednym, rucem bratcem na talerz - podwoić
me mnie swoje niebierkie oczy z 29 smieć

o jahoś domyśliwie petyt!

Koch miue litos wytyomacy, co zaspanajut
w sobie, ce go potrzebował ten człowiek i ty,
keli di onej pnyajim zenny?

Katgeram tu jedne fotografij z p. Heniem
i Zennę z Werg i duclie w jolism's kole.
do kłóreps malikaj Zeika. Ma tancech!

Skerycytaw serale, dostalaw dobre soralectro.
Zaproponowawo mi prace sekretarisi kole Macemij
di i diery Akademii. Mialaw mioromowawaj
dzien pracy, zudis sadzi piciu dny, zamienialaw
w domu Akademii na Joluce, choditaw.
z kolegami na wybrane wytyady na U. W. w zarys
sie historii sztuki, opytadow z zarysem bibliot
tekanstwa, trode historii, pnyajimilaw ziz z Natu
ronem i p. Heniem - podaw obicidob dokument
nie ofowiadajec moje codziene zycie, pacy
taw kizli, raudli z clieparaw. Zykatalaw
duzo pnyajisi z kole z ktorym jenne wygajym
do diis diue stymny, stozumis jol upo.

z Francisem Steubem. Dostalaw co ubijut
oraz od niego kizli o jego mistyckiaw
cudownej wdzie. Pogubitaw tybirowe
Ale w tym wytyim co teraz pisz (jest
140 w macy) tak wytydrow sie do pisca
ze tawce pociucia kraw - ale i tawce drow.
mier - zdawnie zdawatby sie wosie

o. Wasice - bo zdawnie z zycia mojej
najbliziej wdiny - i tu wotawni wyty
huje to mioromowawaj przez calu moje
zycie - tu stozumem do kłatli i kłaci.
Zaw, kiedy dabr wiew, co to jest mistosi
(ony mego podykta tylic) nie woclawaw ser
baw. Jeli to sie moji zdawie? Jace to moji
byci? Mijis, ze godylwm ielu woclawaw, ob.
by diis jenne by mogli zyc! ---

Naturalnie nie myslę o rozjime, o bogradli
i sp. Mii moze nawet wytycie sie od tej
za nich odpowiedzialnosci powiedzeniem
„no widocznie los tam to wytykto stowis”

nie nie utory! Spraciar ni pewien sposob ja
pokierowalam ich losow.

Magum - miodow po elnie dinstym. 1/2
ni dzieknie odnajdywalam go tyko do kra-
dzionych notulew i jablew z ogrodu. Wogile
go z tamtych czasow nie haczila. ni Wlej her-
wie to sie powlomilo. Juz nie dziekila ni z nim
naddatkow hajd chleba za dobre pranie
lub spozowanie schodow. Drob za odwabianie
leucji z Hawne Strathmore - gdzie Strathmore
zawie mnie do uarrineta. Nie byliśmy naprawdę
gdzie. Ale spotkaliśmy go przy polu -
fornie, zimnie uwagi! przy polu ni ale
na naszym deptaku między naszymi dziełkami
kwas budyniem a jadalnią - oglądałam mu
głone i uny. Jeśli były brudne - bez względu na
pocz dnie, wlokłam go do łazienki i przy pou-
czeniu „ty smarkaczemy uny codziennie”
nieś prawie 12 lat karatow ni sie do zleps
wzbierac i srowadain. ni raportach czytanych

wieczorem nigdy nie było marisna „kryta”
(nie to co jego siostry!) Był miśmioty
delikatny, trochę jak dziewczyna, miły ---
Miał się dobrze w Wydziałowej. To było znow
wspytlic. Nigdy nie spacerowalam z nim
nigdy o mięciu nie rozmawiałam i o mie
nie pytałam, jakby nie istniał. Ciagle
odwołuje się do Boga, chociaz w mięciu nie
wiem - Bóg, bądź mi miłości! ---
To tyko dla tyko przytulnych stow ---
Wypisaliśmy w ostatnich dniach czerwca 1927
nie wdziałam go i nawet ja nie furegnu-
tam. ---

Dopiero w listopadzie 1927 przyjechał do Ruedin
ja jui tu byłam - po brudach Wlejmore, ^{zabrał} ~~zabrał~~
ze sobą - trochę ogłupiał, albo onolomiony.
Alattia podczas spaceru tak strasnie
krywała - to jui było w Jaxumach - i rleciata
nie pod chate ceta onelra - Amia promysy
habliscy Tydin. Miłone! me jurecej było Zydów.

Maciej? Byliśmy sobie zupełnie obcy.
Ale ma miły, bog! niech mnie ktoś wytłuma-
czy dlaczego tak było? Nie prowadził tam z nim
żadnych rozmów, nie było żadnych zwierzeń,
nie przychodził do mnie do sklepu, nie uczestni-
czył w spotkaniach u Loui --- dziś myślałem, co
też musiał myśleć o swoim życiu --

Wiesz teraz to wszystko myślałem, że było to spora-
dyczne spotkanie, różnica naszych temperamentów
i sposobów, - no co! musiałoby być tak samo
i tym prozocie - bez widzenia na mnie -

że zakochał się samobójstwu! Nie lubił tam
"młotów", bardzo gnieździł i ułtadnych ludzi
nie lubię do dnia dzisiejszego. - t.j. pierwszego ro-
dzaju gnieździł i młotów.

Nie lubię ludzi niekonformistycznych, a do takich
należał mój brat. Zawsze on wleciał potrzebował
krowcy, przedmów, nadziei na coś nowego ---
Po naszym likwidowaniu pracy w sklepie wstąpił
do Rudum do ciutli, a w końcu przedmów do

broni Potubianu, gdzieś za Ozmianę.
Zawsze o nim nie myślałem. Po moim
przyjeździe, po moim przyjeździe do "siadła
miach z "życiem" - do Warszawy w sierpniu
1929 roku - nie pamiętałem czy on ma swą
zawzięcie z Ozmianą - przecież Broni ten
był naprawdę tam ciutli - czy z własnej
woli odjechał się do mnie na Miskę, jak wyku-
szatostaw od ogni przy pomocy Tatarym
wio obywateli dla Młotów i wa Wytowa -
kammeras materie w kursie Ozmian
na Młodzieżowej był to już rok 1930/31 -
zdał jakiegoś egzaminu - i znowu for-
pomocy Natansonu - załatwił tam swą
siadła, w Młotów. Porostawo. Tyłko
przed tem wojną, które odbył. Korespondencja
tak z wojną jak i z Młotów była zawi-
słychajęca, smutna i przygnębiająca. Ale ten
i dalszy mój tam był i tym wojną. Kąpiel
dawał mi podwójnie i bieżące na daleku.

marne i miłość, a ja ciebie raczej padłstwu
marne, rozumie to marneśno dać ci i jemu
nie rusz. Miałem hemoroidy — i nigdy nie
wionego z talieps marne już na monach
odwieziono do szpitala w Grodnie.

„Czy aby nie jest to Polse — by być awangarda
bolniewizm — takie marneśno — stąd?”

Ciebie tak samo się bał bolniewizm jak i ja.
Dostał pracę po 5 latach marne. Był lesni-
cym. Prace wykonywał w nadlesnictwie pod
Lunawkami. Miał państwo tam się marne.

Był samotny, one umiast zięci się z bratem
chodzą po tym lesie i pić. Miał do dyspozycji
długie driny domu, pusty i niemożności.
Sprowadził się do teluż, „pysni” nadbudowa
nieudany pensję — dał być pustą. Chodzą po
tym lesie — i zaczęli być.

Teraz defiero niedawno — napisana do mnie lista
Wassal „kochałam tego brata a i on chyba
wodził mnie — ale byliśmy oboje tacy nie mieli

i ile razy ~~by~~ spotykałimy ci to tylko trzy
malimy się za osce i mitcebisny, Podnie
ja jako odwołanemu dostawać prace gdzie
daleko, a w bractwie — wyjechać!
Moje listy były wymyślami na ślaun zaros.
na braci mogli być podjęci jakieś działania,
na podjęcie walki z zyciem... Miałe marne
cis do walki! A ja? zamiast zejść się
zyciem mojego brata — kłaniać się zwanym
ktoś powiem być już dawno oddany pod
nadzór specjalistów...! Podwojony stan
cierności danym stan — raczej nie —
stanow wyprzedzającym w tymże marne
mia losu ci o wiew, ci się ulicy a mnie
i otymnany prorektor (o ten wyrostkiem
bednie na wstąpiłym miejscu tych dwóch)?
Wasm samotnicą i nadchodzącą wigilię?
Miałe mieu: zapomnieć, i odgnać cie mnie
jeszcze, racz was, co bednie to cytać
przez!

Opisno we wrześniu 1936 roku byłem w domu w Warszawie.
Miałem spotkanie z nim w domu - przedświąteczny
do parku - był w zabrony "zakazie" mianicie
z jakimś wariatem - przecież mogli być inni
zakazem w domu - ja tu w Warszawie dostaję
jakąś pracę - "przecież to było nic nieważne! jak
mogą być wstawione "tego wariata"? Myślałem
go do Suwacha - porządnie zapakowanego.
Wyjechał. Wtedy go mi widziałem.

31.5.37 roku odwożony "wariata" z piekarni-
ką do kłopoty - do saucetorium. Wracając
następnego dnia - dzień byłam w Warszawie.
Odwiózł tam księżkę z portem Stronem.
Szobacymy meci, której w żadnym momencie
nie widziałem. Owe były na prawo przy wejściu
metalowy otwór i na nim tak jak to jest
w prawonajonych cerkwiach - siemka siemka.
Kufytem młota. Postawiam - "za staniem
bo już widziałem, i mój mi dzień wstaje,
i one mój porządek co mi przypięto do głowy

za wstawką, żeby mu coś się poprawiło"
a on już tego dnia odebrał sobie życie!
W domu w domu pozostała żona
Właściciel, który stracił jesienne dni
zmarłam pięćdziesiąt lat temu P. Tadeusz Urzy
(wtedy był tam taki mój surowy
z Tawlaciu). Była bez pracy, bez mies
stwa, i się przyjechał do mnie onarata się
cóżno chorą. Ilićia zapalenie płuc
i temperaturę prawie 40 stopni. Decyduję
"wyjechał tam". Wracając 3.6.37
zastawiam się w progu szpitala jak
mieszkańca. Myślałem, że ona tak za mną
siemka. Była w mejta a ona mi podate
defensy. 4.6.37 wyjechał tam mój
do Suwacha. Były strasne napaty i już
było po pogrzebie. Mnie mogłam wejść do
tego pomieszczenia - erotycznie się poschodach
Właściciel przesłuchał i nawet meci z jakimiś dzie
ciami w restauracji, a nad ranem 2.6.

stnieć sobie z dubel trolu w usta. Ma
suficie być plamą - bo mi się przysnęło
wprze... Ale to nie. Nuda się do to jębes
mieszkoce zandarmeria, bo zaczęli rozpyc
czy. Krypta nie była zamieszany w jaluś
półtychne montaż, naturalnie z uciążliw
w stronę zw. Kaducimiesz. Zabrzmiano mi
na jaluś odwachu - w ilka podzim i kępcem
koddane. Przeszedł mi. Po powrocie do
Moy - naturalnie zaczęto się wspaniało od
koczany, znów jaluś wędry wspaniały, mi
na przeszedł mi i cięgle w kótno - nawet
czy i ja nie byłam w to zamieszane.
Byłam pryncypalnym amelskim pryncipal
pracowata w JU Sie. I schodziło to
po tej linii. Mi bawem się, wtedy już miałam
możny do protokola i dużo wplywoyde
pryncipal. Swoje ciosa - chyba nie przesł
p Szwam de Szwam Tadeusz przesł mi
był wprzeznaczona biblioteka, i ministra

Korscha - ilin. Sprawy kłopotliwe.
Pracowata w Siega cety miesiąc, b. do
zarobitau i mawizetau z miu mite
i pryncipalnie stozanxi. Był zdziwiony
ze taki mioda osoba jest skuta w litera-
tura, trochę w muzyce i melancznie (nie
się Natanson). Gwałciłau z miu i cęst
restawatau na uległ. Tam pryncipal
i pryncipalau mi Natankowiczau
i pryncipalau ministra Koscielnowskiego
korsak matydzimist wtyg cęst omie z wielki
pryncipal i wtyg w pracy. Ale matydzim
pryncipalno smierci mi kępcy się moje
wtyg cęst. W pryncipalno pryncipalno (w)
kędrym zagubionym iyciu.
Mitua kłopotliwa po odbyciu jaluś
mieszkoce Mieszko - restata komendant
obora dla miodych dziewicyt k. zwanym
Junacem - obory Junacem - coś ze stras
endęgi. Pięna państwa. Zierali te jębes mi

zupetnie dojmate do helnej prostoty,
bambotue, sanotue diuocynny France, sig
po uauie ni kemnicarim pracy - ze wsi.
Bylo to gdiesi Jabonna, Rembertos nie pamistam
poredue barali, umundumowan co na podobilu
stawa wojna, ogort, nauca o prace tak na
odli or endicy jak i meunielurce jakies mopy.
Wtedy bydam mi "na kocie lapy" z bernieu.
Byla fizyka wrona 1938 r. i Litka biagaia
nas kupony puzedeli bo one co dla muic
b. ciencyno. I to ktorej onednieli puzedelim
Litka cupsta homony, bys obiad w spomny na
sali z tymu jinnaczkami - tena to cup
ostupmatym zrojnieu - ten bideuy woty,
oni odienue - ten depiero zaugt fuznawac
"zycie". I Litka spowieda mi talie listow.
Snejsta typice choytois z zycia w wzejherowie.
Raz na tydziei sprawdata: na flis i dypita
homzali. Wjednej rapce - raptem zobacyta, ze
cate wnetne dnuicem i boone duacy byty

obulejone fotograficami mego brata.
Najecupna podwodita z Suwatu, zоста
taw zgarmita or jakies restauracji 17 le
Litka maigta diuocynne na spytli. Mararu
ta "zacunata" sie i me sposob byto co's
z niej uyeiguncie, ale Litka je nastrawytu
i onacato sie, ze moij brat ufnymywar
z mis stesuwki i puzusta z pracem, io
bardzo go uodista i ze odebrał sobie zycie
nie byo mi aresto. Litka musiala wrozdni
jakies manewry aby diuocynny ze spiewem
pusty amirkam na space a my do
raplis. Recypisic. Bydam obumastia
druocynny wocity - puzemntam je do dli Th
prowiduciam ntu gestem i obje wny sie
obie goano puzakalyomy. Marzmalu sig
Olga Borrowska, drobna mata blondynka.
W roku 1959 Litka wyjezdita z diuocynem
do josi w Ameryce - Detroit. Wostatniej
chwili puzegnanie puzedielu mi, wiesz

Helima - Olga, żyje jest fotosią i pielęgniarką
w Nowej Hucie, mieszka Hutnicze klasztor 3 m. 19.
Pojechałam. Po co? Sama nie wiem.
Podobno mordował, sięgnie do miejsc
rodziny, mnie sięgnęło miejsce cierpienia.
Odszedł z życia krytyczny, ale o tym, że on mi
żyje nie wie, a siostra jego nigdy się
nie spotykała i w obozie Junacki nigdy
nie była. To wszystko. Zadbano, pamiętam
wyglądające bardzo miłknie i porządnie.
Miałam tylko naprawdę dwa bolesne proble-
my w swoim życiu - brata i matkę.
W końcu lat 70 spędziłam wakacje w meda-
lejm. Pojechałam do Amwark - byłam w ma-
lesnictwie, byłam w Zamczysku Allasta. Sumatam
jakiś starszy człowiek, czy prawnik, tylko
zdaniem i w którym to było lesnictwo.
Nic nie znalazłam - mi kogo. Grobu A. i u.
mogily też nie było. Od po prostu nigdy tam
nie byłam. W książce parafialnej nie było imienia.

Teraz w berseimie moce uszt z nim w ma-
niaciu i Tefice się za głowę przegnęła
o ten myśleć. Tyle lat ----
To jest ten człowiek na fotografii z matką
i z matką na kasecie. ---
A teraz ~~berseim~~ Aleksander.
Nafmedchiti mas, nafmedchiti.....
Mordni się w obozie 1917 roku. Był już głod-
ziem nie było. Samotnie jako po obrabowa-
niu nas na stacji "Tajga" (mas - t. 24. cały
kociąg ostatni z bruma nicenimiroś ma-
później w obozie 1918 r.) matkę zabrał w mas
Aylko w białym w kochach siam na
marach "tiptunali" jako obywatela ber-
seimowy, prawnik, "a on przecież jeniec
nie siedi" tak mówił, bez końca ---
Najbardziej z ciałkiem w świat, i o tym
miejm bracie nigdy nie myślałam.
Był on 1948/49. Hrodnie, do mnie z koch-
bym ni siłkaj, sprawił matę, chociaż prawnik

Było to już po zdemontowaniu ellin. Incepcyj
z ellincau na ciele - na rózne inne mini-
sterstwa. Handel zagraniczny powierzone
Ranowicowi w jego własnej woli
na ul. Ciarnieńskiego na Zoliborzu. Znalazłam się
po robieniu ellin. Incepcyj jako Montystrak
w całkowicie doświadczeniach się handlu zagran,
Były b. dobre warunki materialne. Zgic smaczkam
grosze, dobra praca, interesujący ludzie.
Znalazłam się tam cały przedwojenny klan
„kewiatami” i „mieszki” „bezmyślni” lat 30-tych
Wierwana do kadry znalazłam tam „jakiegoś”
sowieckiego wybitnego oficera, który odmówił
mnie w Polsce (!?) i oddał fotografie
mojej matki z małym bratem Olekiem. Wyjeżdżał
do Polski w latach 1928/30 i od tego czasu
musiał mi oddać te fotografie. Później
ie musiał to być ubożyciel - bo jak on mógł być?
Więcej go nie widziałam. Ale znowu miałam fotografy
w kadrach. Boże! Ale tego something było!!

Miejscem jak to zgrać w czasie, bo matka moja
z Ciesliem w r. 1927 były w Polsce. A zatem
fotografie matki musiały być jeszcze bez nadzoru
kierownika do Polski. To najdłuższe miejsce
przy spotkaniu, że mogę nie mić sobie -
dostać - no bo tei sobie z sobą nie rozmawia-
miałymy. Zatem dostałam fotografie, kiedy sobie
już dawno nie żyli ----
Po przyjeździe do Francji zobaczyłam matkę
Olga - to go nazwano, albo Alina.
Jaki to się aż było, że nie byliśmy do
siebie zupełnie podobni? temperamentu
z usposobienia --- Był taki jak moj.
Kobron się nazywał. W kadrowach odrobina
z nim lecieje, trochę już po przyjeździe
z Włoch, znowu mu coś „mieszkiego” przyro-
dawa. Po przyjeździe na moje „rajsy” za pracę,
nie o nim nie wiedziałam. Już w listopadzie
Tamm gdzieś w r. 1930/31 list Momi „dokąd to
ja bede straszyć swoich braci?”

Przeżyłicie. Zależało tam stypendium (to już
pomyślniey Natausona) dla Alena - i pojedzie
do jakiejś szkoły (mógł tego nie wiedzieć) znowu
do dw. Osadniców w Grodnie. Aleksander-
Oleg Kryłow. O jego niekiedy „amatorystycznych”
malisach, orzdiach „moje życie ze Stawitskaj”
bo właśnie od tych epizodów - zaczęła się moja
ordiacja. Trudno było całkiem nie wiedzieć.
Wr. 1939 lipiec i poł. sierpnia - odliczaniem
(nie wiem po czym - ale zaczęłam już odliczać
na snobim, że trzeba wyjechać na urlop - ale
raczej było to ponurą historią, bo mądziel
1.9.1939 miał termin oddania pracy dypl-
mowej prof. Gromoskiemu - ~~o~~ w tym czasie
miałam wyjechać na jego stypendium do Anglii
otoż gdzieś w 1. dekadzie sierpnia otrzymałam pismo
do Katerowa mojej brat. Był wytrawny (nie
wiem nawet czy skończył szkołę, czy miał ukoń-
czyć - doświadczenie w Grodnie miało ono tylko o tym
„co ja mam z sobą zrobić - ?” „no nie wiecie,

siedzieć w internacie - pierwsze będzie moją
kierującą - pojedziecie na wojnę. Kierującą do
Grodna, może jeszcze na powrót!
Cóż spierają wyjechać. Co mnie było?
Może tego zupełnie nie mogę zrozumieć.
Abierataw fu ulicy Frybrazli, abierataw
niektóre z nich, stale coś więcej przyrządawał
(ciężko sadzić nie pracował - -) a tu
dla młodego brata nie miałam ani jednego
rytualnego drożdży słowa!
Wzglądowa wojna, fantazja i deszczem
tułaczem, 7.9.39 i deszczem w r. 1946 datam,
o tym nie do PCK „Aleksander-Oleg
Kryłow urodz. w Omsku - w Polsce od 1927 r. -
odpowiedzieli mi „PCK nie prowadzi rejestracji
okupców radzieckich w naszym kraju”. Katarina
spokoj. W latach 1949/50 kolega jego z Grodna
(a pamięć o imieniu jego ma Modlinskij
i inne) spodobał mi się przypad-
kiem na ulicy, Mint idę mi z mobilizować, dżiż

grupa, mli z grodu do rowy. Pociem upadli
migdy anido, kilku sie uratowalo.

Co za naposci na niemieckim od krytowych?
Co ja za glupstwo wypisuje! Tama napisal
napadla na kilkuset milionow ludzi
na swiecie.-----

Mis is moq. berseume obje sa ze mnq. Kacia
mowi "mamo prestaj bredzic - dobrze by
bylo gdyby si umiela sie modlic". Aaaa
miewieniec, a raczej nie modlica sie - bo ona
or coi tam niemy. Mowi, ze lecan nie mize
byc miewieniec.---

Naprostu nie jedem w stach fiasci d'alej.

Porostaje jemu sprawa Matli.

Odtorez ja na dalny gdzieś ciez, bo nie
moze azdej.---

Macym to stanelisim?

Na mojej pracy w kole Anackimow Blatuj
Alaewy Binalnej. Prowadz tam same cedy

centarist ze wryplacim jego funkcjam
a najwismiejsze zbieratom ni adli, masan
nizue ofiary na koto "sponsorow" tele
jalky dris to powiedzieci - brabim,
nawonikoi, jalkis ajetos i prawatoi.
Miatam kraigeseue, cenosa, mratam pie-
mudie do bauru, mypi synatam beeli ma
mydalkis. drufuac miatam oetwaste
Najprickwiejsze byty zawone roboty. U kaidet
z kolezancem z koto, byty polejne satadko
me spostuarim - byty to zamowue diewacy
my - albo awptoracja - albo zamowue
kupiectwo mawie. Dyrektorem byty byt
Stamstan Steuler a ofieruowan koto byty
jego brat cetero nupicowmy formurator
ktoz miewome lataam zalracit "promowa -
to stwa" nizeieueu w Polsce ducalowej. A Staltem
byty tym jedynym w procesie Okalicarego
w lasawie, ktorego smiali do Polski.
Na spostuarim zawone na kaidet roboty zaprasza-

Holiday wśród których obracałam się to byli
dobrze wychośeni chłopcy z dostatek
wzdian przewidywanych i niewiedzących Wasy
z prasownicy - wstąpieli w tym, gonelici
traktowali ich w sposób jakiegoś dzieci
nieznających życia. Z jednym z nich b. się zaprzy-
jaźniłam Stefana Kacynskiego - synem
starosty siedleckiego, Stanisława Witolda
z zausznikiem wódziny ziemianinów na Wileń-
szczyźnie, współpracownik z Pawłowicz (!!)
a Radziwiłł w wódce, wędrownicy.
Później był dyrektorem „kolektorem” Pomoc
tu metryka całe jego życie a obecnie jego
pomocnik jego córki z Karim. Była 9 lat
a ja nieje cennie w USA i wzięta z 2 letnim
dzieciem, ararym, cudownym „metysem” do Błdki.
Była wistnicą Dewitowej z żoną M. Błdki,
Metysem, ~~abraczonym~~. Ciągłymi pomysłami
nie zę Witoldem Stachalskim inżynierem z Błdki
w AK „kumpofem” warietowym pracuje

o imn już dużo wspomnieliśmy wspomnieć
w czasie jego odjazdu i patriotyzmu.
Teraz niedawno zmarł. Pomysł był z AK.
Często byłam idiotką. Mój nie miałam
pojęcia, że przed potanowaniem miałam
„korporanci” którzy z nami obcowali, w
studentach w pracach, z starcami przez pierwszą
i laskami w dzieciach - gdzieś wyduchali
i wracali ze stowami „no tośmy się trochę
rozgrali”. Wzięłam (pomocnik wileńszczyzny!)
że chodziła ma „jednego” i nie odstawała z tego
żadnego zapadnięcia; no gdy ich nie widzia-
łam pijanych. Tańczyli do rana - ja nie pomyślałam,
a ja zbierałam talere, garnki, liczyłam
myłam te ogromne garnki - naturalnie wszystkie
inne po kątach zamyle w mansowaty!
Kiedyś foteliem omyślanie i wprowadzaniem
zamętanym przy stole sparta na ramionach. Po prostu
że ktoś mnie gwałcił po wiosadach. Patrzyłam przy
mnie stoją dwa Witoldy, Halinka zameczyła
się

Helimca wyrućcieś! Okazało się, że on wpadł
zmienacka na nieuspóję! Tym razem pan
generał chociaż był obciorny za formy mojej
kontweli - jednak przed zmierzającym naczelnik-
kiem wydziału Heimonichem pochwalił mnie
za „uczynność” i podziwiałam się, iż tym razem
wyłączę z pracy. Ale Bóg obroni!
Jako jesteśmy przy generale - to właśnie ten
co to przedem jezdnił po całej Polsce, oglądać
„wygódki” i ich „cywilizować” z czego powstały
nie „ubikacje” a „stawojki”.

Chciałabym jeszcze dodać do mego bestronowego
opowiadania życie mojej rodziny z mojego
bractwianego kółka Maciejem Polonij. Było wielkie
bractwo, były dawne wspólne wyjeżdżania
w okolice Włocławka z plecaczami, z pranic po sto dotach
staliśmy na wsi i wiecej rozmowy na pyptaniach
nie było modlitw, litanii, były wesołe „warkoczenia
górale” i „sumnia jedły na gór namię”, które
friskie opiewały nam cudojny prosodyt-harcen

dnih „Zagłoba”. Grając ceto ta miódkie
legła u Ak i zginęła w powstaniu.
Natanson cety czas nie spuncrat misie
z ora. Zapropowował i zorganizował mi
spokojnie w „Caritasie” aby przeprowadzi
„Klub Genezyczny” „Pani sobie Helimka da
radę - nasz instruktorony nie wychoźe
na moje”. Wyjechał tam z innymi na moją
spokojnie z innymi raz w tygodniu na
paniejs sali na Starym Mieście, rozmawiałam
z nimi o harcercie, o moim dzieciństwie
na tyberii, u Wajkewie, śledziłam ich listy
miejscowy z tego czasu b. dużo czytali,
podsuwaliśmy książki i kiny, które często
ze sługbych awidek zarobos im kupowaliśmy
Naturałnie Siemieniowa, Głuszczyńskiego, Ver-
ale raz tej kupiliśmy im do wspólnego czyt-
nia Siemieniowa „Z kraju Jakubów”
stuchali jak zarawawani i dużo z tego nie
rozumieci. Natanson w moich wytykach

dulewie mi pomagali. Aostawataw od Mięgs
bilety na kabiele w Łasie i Męjskiej, pod-
rucał pieniądze na zakup gęstych gniebieni
(niektórzy mieli wony!) nauczyciela muzyki góry
saba dylem, dostawataw bilety do kina.

Robotom tak jakbym była z naszymi chró-
pami w Mejerowie. Tu myłam atmosferę,
Mejerowa. Dęsto lece z plikiem gazet po
ulicach i wódcę omie np. na MŚwiecie dawi
oż w miebrogosy „tam idzie mama pauci”

Pamiętam dokładnie podziwianie 1932 r.
Kłócić je „Caritas”. I znowu w jakieś ziemnej
i brudnej sali zpromaduli dzieci. Był tam przystępny
Hety drewniane niegdyś nie porożyte, misli
(czy mi mogli postować o talere?!) w kacie
nawet nie było zielonych gęstych, dzieci trochę
pniestronone 9-11 letni chrópcy. Ma gwiazdki
przy pomocy Natanson zaciępiłam im kompletnie
jednakowe takie trochę „lewinowicie, robotnicze”
czapki na góry. Stali z tymi czapkami w rękach.

Włóć: „chrópcy wybranie sobie jakieś mięjs
i przy nim przódzie moje czapki”
Wmieszono dwie cynowe wamienci. Do góry,
mi nie przysto zajnieć do kuchni. Ach!
jence przy miskach leżały pajdy bratego
chleba! Mię ciasto! Imi nawet landrynowe
gości najlepsze przypraw! Dzieci pro polei
podchwili do wamienci. Przy obstrukcie na sali
zmalowały się organizatorzy z „Caritasu”
Kłóć gęstych wstarych oczu kaci „Caritasu”
znajdę się osoby pełujące tuw chrópcy
pracy na dworze „Panie manego Jerusa Chrypsu.”
Były dwie „brabimny” damyona i Sobaniska.
Kłóć się też jakieś o one jence. Były to
wiewiórki w giliżny, elegancko ubrane, jedne
miał na głowie piękny koronkowy
reparacja - pachniały! Miałem słowo
funkcyjny! Zaczęto rozdawać.
Z jednej wamienci kartofle, z drugiej śledzie
ceciś polewane - jak przódzie strivedniam

śledzić nie były nawet śniegi!

~~Y~~ ~~raptem~~ wtedy mojej siostry fotowałam z tymi
mieszkaninami odzianymi - raptem jeden stulecie
lungi na "hrabiny" stojące obok tym śledzić,
z misami, byłam jakis filozof bo były te kar-
tofle morderce! Kolejni chłopcy wungli na
"hrabiny". W jednej chwili ze trzy "hrabiny"
zostały oblane tym sosem i obmrożone tymi śledziami.
Aż ci mi nie mówili, żeby siemsteliu ci to
i wybiegali z sali. Śledzi trzymali się na
nogach. Mógłby więcej mi mówić do klubów.
Podczas spotkania z Natansonem tak przekładał
tak strasznie przekładał o kłamstwie
sądziwie "caritamy", kłamstwie całej smiat i
komputerich świątyle, bo jeszcze przed tym morderca-
niem - hrabiny się modliły o karę, dając im
powstańca za sobą, jakis psalmny. Śmierdowało
mi moje odzianie - ale co mieli zrobić chłopcy
to mi mogło do głowy mi przychodziło.
Nie miałam odwagi, nie mogłam sobie nawet

wyobrazić - jak będą mogła spojrzeć w oczy
tym dającim. Byłam za morderca, nie potrafiłam
wtedy poradzić ze swoim cierpieniem i wtedy dem
przebież przed tym, stając przed dającimi
i poradzić im trochę prawdy o życiu!
A ja zawsze uciniałam. To ciębie! tak-
oam było na tej mi biało kieszki, potrafi
tam wleźć, ewentualnie bić, śmieć!

Nie uciniałam a prawdopodobnie i nie chcia-
łam tak myśleć o sobie dającim. Malczy!
Próba "proletariat" "klasowic" były mi mame
ale nie przypominajcie tak co jak "powstańca
histepadone!". I onie kto śmieć, kto nie
śmieć ale widząc biegnąc z dala małego
gacienno - uciniałam do najbliższej bramy
na "kole" hrabiny były ucinane za "mame
elakhi-Polui" albo "polonie matrony" i aż
na mamych fotoanodach zjawiały się
na chwilę jak jakis zjawy. Czasami były
na odzianiu do i wtedy atenci doonata

z korporantami na cele. Mawiał ten mój wroch-
omy Natanson, przecież to był burżujski syn-
taksarna meń - z ona jego proclodu. Tu też
z Janidus' brabim o cemu mi zdumow, opowia-
dał. „Cete moje religijne i ycie zawdziaczam
mojej żonie - ona przyjęła to od swego matki.”

Cholera wenty wie z jakiego matki!

Był dla mnie „moim Natansonem” ale wtedy
wrazimiałam jak iertem daleko od niego.

Erudyta, sub, hedonista, esteta.

Próbował wrabiamy, coś tam dureszamy bekwat
„możi wymagać od tył dicer - ulica, suterynki
Włode” brednił coś o „zarciu proletariac-
kiego wydosaranie”. Nie miałam argumentów
prza memiem - a to nie są argumenta!

Doza „kolew” prarostatam nraunck swiczen
prac bibliotekarskich jenne w smole w
bibliotece Samoustatcewowej na Oclwoie.

Do mnie nabrała prace pomy pomocy samouczem
w wyszumiarawem kniglu, które odliczadatyby

ide zainteresowaniem. Kterego dnia zjawia-
się Janen Niedzielski 17 letni mity
chłopak. Interesował się wynalazkami
z dziecięcy finyri specjalnie eleutorycznic
dlań tego kupa w manij literatime,
ale zbierał tam i wymyślatoem co tyllow
mogłom przy pomocy swobudnyh manyciel
Interesował się również, spirotypumem
i mistyke. Dajomy to był chłopak! Dłiz!
Był to rok 1931! W r. 1945 w Wery me
Zdłtoru (po ide dostrawem mnie na dławce
kowskiej) furułem mity nsiadke
Niedzielska a później jej mija! To
był to Janen Niedzielski. Dłiz syna
i córka. Dzieci nraunck wyje studie
a Janen był niersoniviem. Pracował stolac
sreij w Filuie Płrcim na Czetomskiej
W r. 1990 w merna moja ucenice
francuskiej nrały przy Ambasadzie mra
a u nas najgorzy tobariacie to Serge

Miedzielski. Kasim prona jako bedien na
wyniadawce u Anni szejnyj na ojca Sergej
Ona też się wstała z tymi dziećmi Miedzielski
u dzieciństwo a później o w antodości.
Oskarż się synem Janka N. Ożenił się
z Hiszpanką, był kilka lat z nią za granicą,
szedł do Polski, założył jakąś firmę, jest
dziś b. bogatym „początkowcem” i mieszka
w Warszawie. Janka N. zmarł wiele lat temu.
Druga kilkuletnie znajomość była z p. Gro-
deckim - nie Augustem. Całą drugą grupę
byliśmy w Hancum - ca „Dorocie Angerman
Hauptmann. Po przedstawieniu, które odbyło
się nami wspaniałymi przedsięwzięciem nad Wisłą i na
swoim brzegu usadowiwszy się wspaniałym
marchandyzje. Było nas około 10 parzystam
og macków. Jence przed przyjeściem nad Wisłę
odrazu z wyjeściem - gadaliśmy głośno i śmiało.
Najbardziej ja i odrazu śmiejąc. Która była
o udzieleniu się kobietę od mężczyzny

proporz sed. wtedy się mówiło „proporz cisto”.
Kolejnymi wspaniałymi były to wspaniałe
pamiętni z „dobrych polnich t. d. kato-
licach rodzin” polskie, biegające na wspaniałe
miejscu, również ku odrazu „czciom
i polonij tej sytuacji nie rozumiałem.
A ja przecież już coś mi coś na ten temat
wiedziataw. Nieszczęsna śmierć Samurew-
era u Madleśmickie Królewski Most
u Pszajowicy! Zaliczając odrazu —
ale to bez odrazu! Imiata i odrazu
z drugim wspaniałymi przyjeściem — idąc
u gramadzie - śmiało cicho: z gadanym i
nie z gadanym, ale cały czas przyjeściem
„cisto cisto” jako pomoc na wspaniałe
zawazny mężczyzny. Wspaniałe cisto je.
W pierwszym momencie, kiedy już byliśmy
u kierownika Mosty - mężczyzny idąc
za nammi proporz niesmięto „proporz
proporz z panstwem zostać”. Porozmawialiśmy

Siedział z nami długo i moc i do miarek kon-
kretnejs nie dogadaliśmy się przatym, że cioto
treba stnie od prorus, unikać prorus i że
w situce to było wyrażnie konarane.

Azera medltwa o cyptose omie baroko pronic
w dzienictwie. Byłam ciekaw prorus, i ożady
cyste cyptose, nigdy nie medltow się. Byłam
straszny prorus, facet wrstat się z nami
przedstawit się. Był dziennikarzem godnickim
ożemonym z p. Lotreichowicz z gUSu.

Przost embym nie chciała z nim się spotkać.

Chciałam. Wyglądał przordnie i nie był głupi.

Spotkałam się z nim kilka razy, odurawiałam
jak zwykle z zapalem, zaprosit do siebie
na obiad ul. Lipska na baszicy Kępie.

Gospoia, przkny dom-willa, duzo obrazo
przknych bibelotos. Był miły, szonorny
i ciekawy miśodych. Chyba onoto 50-letni.

Ono było cienie spraw ciota!

Zaprosit teri przeczenie catego nana prufe

ktorejs medkiel na spacer do Parku Sko-
pyskiego i potem na wysuw przednicow
rek - truskawki z smietanę. Lubit co
duzo o Rosji. Do kilku krotkud przstanę
jence w teatnie i na spacerach w par
kompletu się urweto. Inestataw pracosse
i kole - mietaw duzo marturica. Podobn
prudeas onupaję byt u dondymie.
A miot to byt ten wamashy August Grotkowi
Nigdy nie spraculstam.

Druzo b. interesnyje (przejnau?) zaujomo.
był p. Stefan Piłsudski zdaje się
advokat. Moie u starej koscice telefonia
jest prudeam 29 wód. Al. Jerzolimskii

43 cy 45 co tutaj. Jan zwykle w
roboty i niednie nana pacena z koto
obita wycecau donduicow prza Hararara
Jeduchimny atallicim do Czerwikow, tam moco-
walimny i mraclimny pieno do Woy, Tym razeu
malimim, sie szicorem w pruzey Kampinoskiej

trochę przydziliłam się. Dotarliśmy do Zabo-
rowa. To nie była wieś ale dwór, długi zagospo-
darsawy, były wrony, wonie. Ose. Nie mieliśmy
mi nic dojedzenia. W grupie jednogłosem
ustalili „Helma pojedzie na miady, zorganiz-
uje „wypierkę” a i nocleg gdzieś też się jakoś
znajdzie. Ponadto. Dwór był własnością Stefana
Piłsudskiego - ostatecznie jako młoty szatan
odstawiły to naszemu - do dziś niewiem jak to
było powinno być. Ale p. P. wyprzedził: był bardzo
przyjemny starzy panowie w wieku mego
Natanzone A. Ser. około 60 lat. Siwy, wyponi-
on zachowania wielki pan z odrobiny
Taszkowa dla maluchów. Mój brat proucie
automatycznie był bergamiem. Przytępiłam odram-
necowo. „Zabędziliśmy, jesteśmy grupą, stąd i stąd
nie mamy już co jeść no i nie mamy gdzie spać
dlatego, że taki piękny dwór nie zostawi on Tasee
boskiej tyle pięknej mi odwiecy”. Facet był
widocznie zainteresowany moją obecnością

ale i ubawiony. Jak was? Było nas chyba:
12 tu. Zarządca słubie znał i was
mawarnie. Kęs jest więcej, wóbecy chłop-
ców - Chłopców - to dobru. Chłopców me-
rians a dla pańców ponaje gości nne.
W omie dwo ludzi przyjeżdża na polosau
Sprawy zajął witać. Zostaliśmy wysocy
na całej wolać - stole, były na powietrzu
była i mi piękna, jedna noc - facet
został z nami przy stole, gadanie
o wampłach, Grecyjskie wielki pan. Płosci-
knie, wómieli i mętychawa gnieźność.
Po kolacji naturalnie ja nejherosha samogysta
crałość „uczalau za swój obróżyć
koniec słubie, w spróbowanie. Pomysłam
stęgię wómbek - przywiozłam z kuchni
gorzej wody - pomysłam całą zastawę
zwozłam wómbek do kuchni. Pomogale
mi przytępn Jura Kłodca i fódniej wa-
żona krepcem deóciwego dyrektora

"Spatium". Adwokat zdaje się z wielką uwagą
przyglądać się mi - surajęcają jego
kuchni i gadajęcają jak marmur i dzieło in-
chian. Po skończonej pracy podskrybowat
specjalnie mi z powodu i zaprosił do
sali gościnnej na flyty. Chyba długo jencu
u się wzięć me studiowania Chopina, chorabie
Czajkowskię i Beethovę. Na następnym
ranek pan adwokat został obito z matki
biępnął się i poprosił o nieśmiertelność
o nieśmiertelność.

Chyba je wszyscy daliśmy.
W kilka dni potem do kota podnoszą pracę
o imieniu mecenas i Piłsudskiego zabrakło to
sektorowa i poprosiła p. Krylowę na obiad
na 4te do restauracji "Bouquet". Pantom
Inkubam dobre iść. Zrentę byłam bardzo
cierkawa i mecenas. Dobrze zjadłam i towaru
był zachęcający. Po kilku takich obiadach
i kolacjach (bez żadnych wzruszeń matemat, cięty)
myślami, że jednak jest tu coś w nieporządku

nie było żadnych propozycji, ani stowozek
nie - było to mi jakies "oswajanie".
Po mecie "wrytrach" mienskalu u domu
Akademickim na Tawce. Me cetero u jedynym
korytu. Było b. dobre. Dławiły były fajki
"Ale mi nie ławi wygodnie by było mienskać
np. samiej u jakiejś bardziej blisiej
światmiesca?" Tak jakby Tamka mi była
światmiesca. Te spiewali to ja też qui swatam.
jedna + namych kolejanen od "wryten"
miata koliejs opiewana. Był sektorowa
cuj prostem (historia nie trache fiedtana
ale jakies wzruszenia) ^{nej} scieie patn
Anastynja P?!!) wypracowa jej mienskami
fajki na utrzymanie. Bywalam u niej
z moją przyjaciółką Gaudę cęto i mi
mogłam rozumieć. A ona mi siomacryta
Halimka tobrę się chce z rana lećci do pracy
Chce. A mi nie chce. Jestem prosto
biwa i kole, dżur, fudac. "To było co"

Tożemnie w restauracji „Bouquète'a” zamynało
być podobne. Rozmiałam, „Ale ja wole swoje
kolesa — niezmone samotności, umartabym
ber mich i td. itp.”. Obiady i kolacje się
mnożyły, telefonierki. Kiedyś w PRL w jakiejś
notatce w gancie znalazłam wiadomość, że
podczas powstania zginęła wdowa St. Piłsudskiej
pod bombardowaniem domu w górze na
Włocławku a z niej słynne ebiory prawie murche
malarska polniejsza i europejskiego.

Yenue przed umocnieniem smoty (pominie
wypstnicz miedzi rybyrds zaone kypdam mofpedim
na w osuwstych pracach (mnie to była tylko
Antoś nad „bevodinnym dniecnieu” z talu
stranue, bolnesica, pmenisic?)

Janusz pisał o toś p. ministrówce Becrowej wpaść
do g500 myśli, albo komuś innemu by mieć
wymagować ośbe, p. Becrowej — doci, że
prostawa myśli zorganizowanie „Wypstany
księżki pdszej w obench pmenisicach”

Organizacja tego pomysłu powierzona
p. prof. Ksaweremu Siemowickiemu
pod patronatem p. ministrówce Becrowej.
Naturalnie Siemowicki wybrał mnie do
komisji „Zarobi Pań a i mnie pomóż”.
Sala na przygotowanie była w Instytucie
głuchoniemych na Pl. 3 Krzyży. Czytała też była
wystawa — nie pamiętam. Zaczęła się praca
było nas trzy młode kobiety. Za gminie
przyjaźniżone znanego dziennikarza
z grona J. Wszechkiego i Henryka Ladyna
leżącycego Mariana Toporowskiego, młoda
bibliotekarka — później moja b. młoda przyjaźni
ka Klara Lemienówna i ja.

Obie strona z mimi kontaktami pmerente ich
życie w PRL. Obie były leżącyce młode
socjalistki. Oprócz nich było kilka młodych
góralskich fabryk — miał pieczę nad opracowaniem
estetycznym wystawy. Codziennie niedziela z nauki
i opowiadania gadki góralnie lub w góle

przekomonyś się z matką lub siostrą chrześc.
czyż się pani.

Podczas tej pracy przestałam też Gadowitz
simplifikację (nie mylić z Elbieta!).
która często wpadała do gruzelskiej. Bibliote-
karka, żona dyrektora departamentu w Niem.
Sprawy Zagraniczne a ja nie! to się kończyło
w dużej mierze - zrentę chyba jak i w
dzieci są. Autorka pracy z zapadnięciem
bibliotecznic (chyba od Radlińskiej) pisała
sobie, zaręczona, następuje porządek mianem
dyrektora (była z mężem w Niem.). Oproszona
i niegłoszone. W PRK odgrywała rolę jaśnie
sde. Mi interesowała mnie.

Zaczęły nadchodzić ze świata rozmaite książki -
piewanie Niemców w wybitnych językach
Reymont, Strug, Miecznikowie mi dużo, było dużo
tłomaczeń na niemiecki - matomant tego nie,
kwestionem: paceli trzeba było wypracować
inventaryzację, doświadczenie należyte adwersy

i kraje ofiarodawców - nie! w Niem. cieli
bo w końcu książek trzeba było zwroczać.
Czasami nadchodziły wydziały - dużo
z Francji, Niemiec.

p. Beckowa nas od niedzala i bardzo była
dużyma reszta pomysłu - zrobiła jej ~~nie~~
i swide pewnie pierwszych apartamentach
i Becka wyjeżdża! Był zorganizowany
stolarz, który robił stolarze na książki,
i grafik czający Jablonski (bywałam
w Niem. w ich domu, przestałam żonglować
malowniczo-graficznie było im b. cieżko!
Góral z pochodzenia siedzą z matką przy
tych wypracowaniach ofiarodawcy dzieci
Podhala gwara góralowa, dyktymyjni o wiersz
Tetmajera. Był czający. Zgrabnym
ich wybitnym w czarnych nocach ze
Stancjanem. Nadchodziła dyktymyjni. Jeszcze
zrównie wpadła zobaczy jak to
wygląda i o Boże! zobaczyłam pod

stelażami upchałe struziny, miómy —
podłoga była niezamieciona — po kątach
plątały się jakieś nane muslanie i nawet
był śmiech! (a zatem to jedusa było
w Instytucie!) Prucitaw się do roboty —
dentó a raczej zapędziław kilka ludzi
hlatających się na zaplecu. Kolerianu
moich jencu nie było, ais profesora —
miaław się po sali wyronce to utency-
lia gospodarce, to stasy frapieris prapry-
chaie ho kątach. Byłam niezochrane
usmolona, brudna ze swotką w garści.
Na to raptem wentaw p. docle Dobkiewicz,
doktor z Instytutu Higieny — jencu z czasów
wspólnych studiów w Petersburgu — przyja-
ciółka dra Janubkiewicza dobre mam znam-
ię z Kury w towarzystwie mojej przyjacielki
p. senator Reginy Flenarowej. Ta ze zdumie-
niem oglądała młotajęcego się osobę i spytała
p. docle — bardzo bym chciała poznać tę

dziewczynę — zobacz jak ona pracuje.
Doda spojrzata — ależ to mała sybirka.
czna Kabinka Kryłówna. Podlesły do
mnie i oto tak wentaw na długie lata
w moje życie Regina Flenarowa.
Kochotaw ją też. Była dla mnie
wielkim autorytetem i danytaw jej pełn.
zaufaniem. Jej też spowiedziotaw się
spowiadałam o staniotawie i o moim
z nim życiu. Nigdy nie mówiła mi
„po jakim cholery to ewolucje, po co to było
wciencuj gdzie pieprz młócić.” Wkrótce odwró-
ciła się odwróciła mnie i a próbowała moje
poczucie przyjąć na siebie odpowiedzialność.
Była sportsmencem i w pierwszym kręgu
politycznym była bardzo znana i namosca.
Wyparła się odlejęła gramka, pisaw w pra-
dostatycznym trochę pięknym. Poznałam dłu-
ciencą ^{ludzi} o marksistach znanych z pracy
i z teatru. Nie uczestniczyli w moim życiu

i młuda co o wick tu napiszę się.
Matomiast uarto coś po oredzić o p. Dodeie.
Kodista Janubkiewiera od pierwonych dni
luzuanie tou w Rosji. Później ephdiata
z niuu ludcus mojnij prace w ospitalach
fobooch. Zawne z niuu. Nie bywata w Wejhero-
sie i nic o niej nie oredichisomy. Dopiero
w Wierze po otwaronym krachu Wejherosa
zjawa sie na Mierzej i od tej chwili zawne
jmi luga z mami. Za kaidym kto sie do niej
garuży. Kodista mas smytlie - chiopecov
o diuwaqt jalo pmedtwienie mitosoi do Janub-
kiewiera. To ona maraito matieistwo
z wladky Ptoisna - to u niej byly spotkaniie
wladki ludcus pmyjarow z Francji
z Janubkiewierem. Dymuata sie niedyś
mnie, ze predstawiata tny Kanolydathis:
Ptoisna, Mawro'ona, i Knyl'ona, Malybrat
Ptoisna, wmpay automy jmi nie zjyż.
Mcestricy - ale nie wmpayie Kanolydathis ---

"Koto" dostaworyto mnie tei smnych dosw
crew, zadumytau sie w jedny noc.
Na kaku naturalnie "high life" korpora-
ci NOT na Czackiego bytam z kolegy
z Kota Sefanem Kacypiskim. Ale naprawa
zajęł sie mną bo tadny friskuy chiofu
to kg jalyś dziecinny modz - elegancu.
widac byso, ze z baroho dobrym "kinder-
stubeu". Nomen, onen - Piotry Wypocni.
Cate pmiencie dla niego rarij najwotrze
ze wmpayich - dla mnie gorsza nauca
zapozycytau sie by kupic friskuy samy
w'ioog - byso mi w niej ^{slizni} ~~slizni~~, dsiugie
leiale w kawiarni, miewtau podobno friskuy
w'iooy. Asystowai, tawoyt - w'ydawat
licencje u bufecie - zgiupiatanu ---
odprocednt na Janke, d'wicejny o matu sie
mie p'p'araty z mojej sadoici. Na nastepny
sobote dostalam z kancelarii wstke i bilet
wstępn na bal w Radzie Illijewicy z prosta,

byłbyś gotowa na 9 wieców, że po mnie
przyjdzie. Naturalnie: wąż patam się 4 pod-
nożej soli, oblewałam się wodą ułożoną —
dłuższy mi nakładły wódz i perfumo-
wały, powoli zaczynają rozumieć, co trzeba...
I mió zapamiętać, że stoję na nogach...

Nie było żadnego „cista”. Oni też był jakby lenno
stymulowany, dawało mi się, że z powodu jest
chłodny, mió czasem ostre spojrzenie.

He obejmował mnie o tancie i traciłam rozum.

Odprosach znowu na Tauru, i omówił się
o kawianu „gastronomii” na M. Szwecji.

Moiu mnie wienę, moimie nie piemi, ale
bise, meera prande. Kilku miesiąc zaczął

jęc znajomość u mnie byłali „a szedł
własnie Paris jest.. mió mi coś spowie

o sobie — tak mió się spytali odwioz
Leneri Moskwi.

Wypocis niedługo napraciłamomnie papromi
oto samo. Męsta „charmem” megotodamym

a bardziej chyba jako to pasydyo stac
nie spostreżam, ic to chyba a był też jak
kosporem t... —

„Jestem z Rosji: (iebyu chociuś proiedniał
z Carshiej --) zupełnie niewsta, miódośi
wczesny (mió tam wtedy 21 lat!) spedił

z Dali achie -- w swoim odpredie nie
zmió tam swagi, ic się gwa. To mió żachny

się gwałtem dalej zachony cona jępa nwa gę
nie! nie jakis tam proponowali lub
intematy z zanonnicaciu, byłam u specii

tych Zali adie dzieci Fryberjskich u Wejheru
skied... musiatam pmeruic bo oaptem
zobacujtam, ic faceta o garmie widoczu

niemach, spostreżam jmi ser palejma
pmez mió w tancu grymas oczu — wśasnie
grymas oczu. Inerwalam, zmiengam.

Wtedy ciówieu Tyranuś ostatni ^{naus} ~~ty~~ wima z wielk
puprosił kelnera, zapracił i z chłodny
nimiechem proiedniał, a ten odwioz Paris

do domu na Tamce". Ony wiegnaciu po riedziat
„priprenau Panis". Miedsiatam, ito koniec.
Nigdy go wicij nie robacylam. Jaki sie ciutau?
puzer chuste, choyci mnie zab, tele jakby
rozpac - chitapan b. mi sie podobat
ale ofnytomniatam - mersicium wocita do
mnie -- woi. Tonienawic'. To mi pomoglo.
Burinjskij egneu (ale moje choga zaune
mi sie wadnie podobali burinjskie septki)
Wypaden ten naditupie lata odrozera
mnie od „diuci ryberypnich i' Rosji" me mowic
jui ostowic „Zalwad". Bylam p. Krytoms
czasami pytam cy puzer dwa „T" czasami
mowitam, ito tak puzer dwa. Bylam z rodziuz
wileisnichi obyrateli dobre zuncyde w tym
miescie. Gdoby Olneuka wcalita moje listy
lisane do mej puzer to wnystkie lata - co to
lydaly 24 ropalnie niedny o wczesnym
inim miodicim, o postawie mektomde ludi -
bo ofiegnatam zej dolis adnie wnystkie

swoje postepki dobre i ste. wnystkie
puzerlistow na tele wnydony swiet.
Ony ofofkaim z mune w r. 1946 po wiedzic
„Halimko puzer wyjarden z Wilne do Polru
ofalitam wnystkie Proje listy i' puzerawcu
puzer jui".
Bylo jenne Wilka dobnyde miedic w zercu
ale temu to jui zaune bydam w' nne sam
Wnystam sie zycie.

Strata pracy w kole Macierzy bylo dramety
Wschodnie wrane do fonoju w ktorym
pracowalam Krawowice Medunisie 7
drugie puzer - zastalam Wilka osob.
Opiekuna Wota brata St. Steubera - Fran.
Steubera owieso wniecronego puzerawto
(miedituz fozslabie z moje dobre woleiawne
ktore bydam druzibez w awpicie sluku)
i policianta. Ni wnypladnie byd mi by to
wytamany zaunet, zjontla ksziezecna

crenowe, niektóre formułanki, pięniądze ze-
ślaciadlen, orszakiwościone ofiary, które trzyma-
łam w kasetce - chyba były tego z 1000 zł.
Przed wojną było ~~to~~ dużo. Naturalnie
odprocedowano ho wistnie; z mną, niewiele
do ungułu śledczego. Pytali i pytali. Two-
cały, inżymy, czy lubię pięniądze, czy daję
katojęcie inżie, czy mam jakieś wogole
pieniądze itp. itd. Co sobie ostatek kupowetau.
Nic nie kupowetau - przed pierwszym, mi mian
na wet na obiad - funduje mi koledzy.
Pucili ale na następny dzień zudę uwrali
(miałam siedzieć w domu - siedziatau!)
tym razem tego samego dnia z barwą były
podjęte pięniądze z moim podpisem
(miałam prawo podpisu). Podpisywatau
całymi godzinami z przerwami swoje
nawisno. Widziatau ho otonem, że mi nie
wierzono (zudę ten "Zabrad" był w robocie
jedem z przestępcijęcych hordidieł przy mnie

do drugiego, to dwoje, ze te dzieci z Zabi-
dów tak zawzięli hoizę". Frauca Steute
zduwosowany oddat ho wprostie moje
podjęty do grafologa. Kotarło to do
mnie. Knota wptępta z oświadczeniem
podpisane pier prefeta, Matansona
i Stegniewa, kryłom mi mogła tego
zobit. Grafolog patrzył, że naczy oświe
podpis były podrobiony. W kilka dni
później mi pacętau tyllio jak na to
spadli - zwał, i nieważce. Był min
man wlega odhisnym mizindem, trochę,
odluoleu, nie komunikatywny, on gody
z mamą u grapad icodęch ois mie teory
dlinersomiej.
Frauca inżie spersony ale do pracy saue
wrentę mizmiatau podit nie mogtau.
Zadawa inżie katusu przy tym.
O kół jencu kędie mowa -
I to było by symptio z tego okresu mego życia

Narazie mieszkałam na Tance w domu
Akademickim. W nim były 2 domy
dla studentek. Te na Tance były dwa-
sotamiu innymi regułami. Na przyjęcia
doproszono studentek niejako były zabronione
maret dla rodziny - na partenie były dwa
dobre pokoje gościnne - była kuchnia, była
matka z macierzyńską na ewentualne wizyty
rodziny z „własną”. W godz. 20 pokoje gościnne
były zamknięte na studia - i nie było mowy, by
ktoś się dostał. W samym domu napisało
90% to były dziewczyny z prosiński pod 4-5miej
ale i dalej np. Kolumny - ogromne jakas
gospodarko wleńce, ogrodnicze, study -
fabryka przetworów owoców, Serwis -
zakłady żywienia, hotel; ciżawa - apteka
ciżawa - dyrektor żywienia; Godzien. Maszyna
hotel; restauracja - to wszystko były moje
najbliższe sąsiedztwami i sąsiedzi.
Dwie 2 mich jence podnos studiis wydobyto

Zamiesz i zniknęły z horyzontu.
Natomiast Dom Akademicki na Górno-
skocię - to były już b. zamiesz i z-
mianami i amptowacja, inteligencja
„twórcza” - znaczący lekarny, przemysłowa
i sp. Miałe również stame proroje z Ta-
siemkami, piękne gościnne proroje, par-
lustrą, wstęp do prorojot maret mieszczym
był domo domy naturalnie do prorojot g.
W nas Kociem i Kuchem były wstępne i
piętnad i miera były ostre, możliw-
cysto i mich kształtem uleciał. Prawo
ortawiatam „nan” imbył na paluik, wch-
dritam i w chwili wracejąc znajdował
„mój” imbył oditawioną a postawioną
patelenną na jąjecznicę. Bar nigdy była
czynną na spisałkę - jąjecznicę
liczdrożatą do lew! Kobiectami
z innymi fustet miera fustat, moje wstęp-
koncentry, cy one nie było in mienna

ze mną - i czy na pewno, że ten człowiek
z mią zamienną? Moje odpowiadają
miu niczego niechcę, poza krytyką.
Współnie moje nie lubię, spójrz, nie
lubię gotować, a ja rozumieć naukę, a
to te współnie dają - ja z przyjemnością
wymyślałam. To były moje prace w Wojke-
more - i dobał się cięła w li. Linijec podał
as naszymi podopiecznymi. Miałam „ich walczyć”
froncie, a ich bluzi i cięsa i cięsa i cięsa
na baranie „wytańc” sandli. Toż się
duro zawnę u naszymi konsejki było śmiechy!
Dziwili się, że cięła „to ta krytyka, że dobał
z Haini i ję”. Byłam obrona przed współnie
zakusami reingtu dla naszego konsejki.
Ale po otrzymaniu pracy - nie mogłam już tam
zamienną - pracy nie miałam i zaczęłam
„walczyć”. To było ten przyjemnie. Akad-
emmy były zawnę dla mnie dobre.
Najemni pracownicy opisów - już rok temu

zostali z pracy woliwani, ale praca przy
opisach trwała nadal. Kierownikiem tych
opisów był Heinrich i Padowicz (jeden
był już w PRK dyrektorem GUS-u). Heinrich
nie byłam, byłam ony, matu przy pracy, ony
matomiast frontem do Padowicia. Przyjeżd-
mie - i śmiechem i śmiechem przyjeżd-
do pracy. Pracistał moje prace i toż z opisów.
Zaczęłam pracę w jednym z oddziałów GUS-u
specjalnie stworzone komisję do zaliczenia
prac opisowych. Był rok 1933/1934.
Ibrau pier nas spójrz, że cięła wyronane
na naszymi - ogromnych opalach, które
wydawać musiały być wnie i wnie.
Kształtam odpo wiedzialnie, prace - kontrolę
tych zawnę - i godności jakby logicznie
między wyrażałyśmy cyframi. Intaj
w tym typie prace są i śmiechem i śmiechem
Jenny Patisli, Tajtelbaum, Czajgenhaftowa
(śmiechem warte! śmiechem i śmiechem!)

do Meksy do domu na Forsal (za wnetzylko
w jego gabinecie - nie przedstawia mi
swym comou - natomiast oremu synowi
ktory niedlugo poteu wyjedech do Parysia)
Grat. Czy miie cu sobie?

Do diis deie nie moze wzecniei eotalu,
cnoiew ridiel lub miel ze zrujowdri
ze muo?

Jest jence sprawa mojej elatli i brata mateln
u Rudnikach - ale poprostr eiegla nie
moze o tem mi tyzko leiac - ze nawet
mupleci! Moie przy innej oracji!

W tym czasie Matka moja nie zyła, zmarła
6. I. 1931 r. w szpitalu Posało sym w osmici-
nie itam zostala pochowana. Maty
brat był u Booni Potubianko mojej ciotecz-
nej siostry gdzieś na usi pod armiami.
W r. 1934 zabrat mateln brata matelnu stypendium
i pojedech do Bursy Badniko w groduie,
gdzie chodil do szkoły nawet nie ferariztan

jakiej. Posytalam mu pieinizde ale cegto
o tymmywetam od mego listy z prosba
o pieinizde; a to na mooy mundurem
buty, slisadli so smole i jahies ksizki.
Posytalam. Korespondenci w sensie
siostranciej, mitosin i spieni nie bylo.
Zaudis nie moze o tem leiac!

W pracy byli ze miie zadowoleni, w tym
czasie przes Matky ferariztan wande, Cis
Zdaje sig, ze przypadlyjmy sobie do ser-
Zawstow legrac w tej malsiny.

Z grolue nadchodily nieprzyjemne
listy z Dyrecijsi Knoly (1934 r.). Zamedbi,
wai maune, wagarowal, u Bursie uchyla
nie od obowiaznos pracy samonadowej,
nie material do Harcentwe, co stedy byl
b. ile widziame - narypwal sig po polsku
Aleksander - po wazyjenu Oleg Wrytow
chupis, u i jego truto marisicim.

Urodzony w r. 1917 - w r. 1934 mial lat 17.

Wtorego dnia w poroju mego nefa
sternowskiego odebrałam telefon z Bursy
żebym go zabrała do siebie. Nef przytu-
chiwał się rozmowic. Prosiłam o napisanie
o co chodzi, Homacytowa, że pracuje na
anordowch stawkach, że dużo straci, wyjei
dzając do Grodu, że nie wiem czy wogóle
mnie funera. Nie! twarzo stangli, że mam
przyjechać. Po skończonej rozmowie nef mój
zaprosił mnie usięć „Wiem coś mi coś
o Panu sytrecji ijuowej, że ma Panu dwu
braci, którym opiewuje (przyjaźnił się
ter z Cwajgenhastami !!!) i że Pan jest
czyżno - prone, przyjeżdżo do mnie jako przyjezka
na bilet do Grodu i ma Panu tygodni
wolnego". Przyjełam, podpisowałam i pojechałam
stoz brat mój wiegi (t.zu. wkradł bo jak to
smażej maszaci) z biblioteki szkolnej księzeli
jakiś drobniaczki z kancelarii i spedał ma
„stamyknie”, dostał za to 4.20

Wtorkiem w Bursie przyjeło mnie
iucaliore, liczone że jostem terich byty
ale zawne syducaanca. Rozmawiałam
z bratem prosta o srewe, odpowiedz
po co mu byty potrzebne te pienigdie.
Cierwony, zmierany (był bardzo miś-
miał i ładny!) „Chciem z jedny
z naturaner pójć do kine i zafundow-
wać jej lody lub ciestwa. Co mogłam
fwoiednieć - rozmawiałam. Zapisałam
straty w bibliotece, z kancelarii odstąpił
prosta i obiecałam w jego imieniu, że
to się nigdy więcej nie powtórzy, że będą
na jego osobiste wydatki przyjeżdżo więcej
pieniędzy, że się poświęć do zakupu
w nauce, zapisałam do harcerstwa.
Rozmawiałam z Drwiny mozym w miescie.
Cierwony mój z bratem byty ostwa
prosta mezna bez cieleie renty mentu.
Wkradł do woy. Zdrółam niefstowę

relacje z podziory memu nefori, memu
przyjacielowi Natansonowi, maliseta
listy do Olneuliej, zwiataun firyeske,
serdecznie dziakowalam i wyrowalam
maliseta na swoja gromie.

Chciaun idaje misiz, je za dno firsze osobie
ale mibz o kim maen pisac - o Platonic
(litonco wtedy zacystaw cytaic eny o Rabin-
dranacie Jagorem, ktarym zaczytywalam se?)
W pracy miewalam tej dobre ale nie spody.
Ciggneli mnie codzieu do zapisawie se do
Regionu Miodyde. Chciaun dosc przyjaciel
i znajomych - mechietaun ju wiecej
nikogo formawac. Mialam mgstne wernu-
me - raczej zadue wernuacie polityczne
i w najbli'szym moim gronie ile miodow
o Regionie. Baalam sie ze moie mnie zwol-
nia z pracy. Byla wtedy taka mala (pewnie
bieda!) kupczawie na kredyt pulszawie
w izdowliki mepikachu i wystrawiaue

weusli. Wersa Cytonia zarodkum na gwozi
potrzebowata sumieun na jakie ubaw. Z wypro-
walam weusel. Pracowate w PKD i nie
zolegta go wykupic. Pomyto wykupic
izyantaos. Sprawa najpierw trafita do
Kadra a potem do Kleinrodia. Ciagle bydam
na a wrodowu stawuach. Pospromno mnie
do dyrekcji. Mi gabinecie nieduie: Minc
(zwraca zwraca on) Herasoli moj serf,
Vansli. Pierwne pytanie bylo: czy Pan
znane jest nazwisko Mieniewica?
Jto z Panu swelprywat jincie weusli?
Stow „weusel” bylo mi znane natomiast
z weusem me wejanytaun zaduep
Mieniewica. Na to ja twarolo i „zaduep
Mieniewica” migdy me zastaw i mi znae
A Stow „weusel”? Stowacisep znane.
Opomytomniatam: „Imba bylo mnie sie spytac
o Adame Mieniewica - N. dno znam wierszy
na prawid z Panu Tadeuna” wetyratam

zdunowy śmiech. Amiś cię zastawiamy
ci tożnisz linc.

"A my nie nie zawodząca Pauzjało Rozjanka
fawistow fawistowem za wyrobótcecie i pracę?"
to ter musiało być - "Ale je wdabnym
cię gl nie wżymieć co ma dżewienier
a mierzamacyym wuslun ?" Brmętaun
uparcie. "A to je w Polsce trzeba pmetnagać
obowiazujące prawa i zamachanie, a wusle
trzeba litacie". Wypytaw. linc na woytara
mnie wyjasnit, ze jednym z dalnych izran-
toiu (bo wusle kraginy!) byt jaluś dżewienier.
Synowataun ca do wslmienia. linc padepat
mnie fu foliowu a poriedniat, "mich nie Pauz-
nie martwi, udobniechanu Hejnricha".
Udobniecheli, sprawa mygasta. linc porycyć
fienieglu - bo to byto pmed wyphate i ochrasu
fu pomocie z Grodnu.


Oproca tego byty ze omne jaluś awantury
o obchodny ery Zawody ojjuchar Gorder

Benetta" ma Polack kłopotowliw na ktore
to zawody odurawitau pójscie.

Wiciorprataun saws lotos (wiedniehan,
miewerpieć!) i mē dżewienier celym bier
chodzie ma te Pola.

Konserwencyj radnych jedunek mū byt
Gracujac jenne w kole dżewienier i wercstni-
czosc w spotowaniach klubie dżewienier
demokratycznej cęsto bywataun na spotka-
niach z Prymowshin, prof. Michalowskie
tego od dżewienier, ktomy byt a mas w Hejherowiu
ktoregoś lato, dżewienier Fidermiewienier
o wtomym pójscie dżewienier styra laun od omego
teścieu.

Podczas jednego z wykładów siedziatcaun
obok dżewienier mōdyde kobiet - trochy starszy.
od omne - omstau wtedy 23 lata. Agriadka
moyu b. ile mōdyta fu foliowu, z ancentem
Rozjanki, druga mōdyta lepiej fu foliowu, al.
ter byt Rozjanka. Imygdalowym sie sobie

majemnie. Po wykładach nie odentyl odemmu
ale odwrócić: sphytaty, ongd jortem, bo nigdy
omnie tutaj nie wcliję. Wypstypimny, sareun
i raptem ta jedua Zemia Anoisimowa
zapropowwata mi odwiednić klub Biatyde
Rosjan. Opisui ja, nie spowob. Coś u wdrzejn
Geraldine Chaplin i 
imietu, trodę berceclue & srekomodkim
wsmieclueu, fies kuyini ocraui. Zeby!!
Te drugie to Lidia Chramcow. Ml'caata.
Lg odhitaw sig. Co omnie wiadto? Miez wiew.
Poztyimny. Byto to ma ul. Anomprui (boouu
Marnat'kowskij nicolaleu Al. Ferrol'kulnit)
Ruza mrocna sala, stoliri tak jakby
z ogodu, miewy godue Aniseta, dwa
fotebiary, s'abe oiwetlewie. Jak jak to
dawnej budowau. Dnia sala tak jakby
fotrodllu mienkawi - be okien tyllu
z chruicem balhornoyimi.
Klub Studenci Biatyde Rosjan. Bytaw

bardzo ostroze i mastronno. Na selimie
sz nie drzato. Ki'ka o'ib siedziato przy
stolikach, kiti herbatę, al'koholu nie byt
Stat samowar, kaidy ludoluditi, mawau sobe
fili'auwe i odchodit'e. Zemia zacysta u d'g.
wac' role, g'ospodypin. Poruajomita mwie
owajomij'e mwie z miejsc „zdaje mi sie, i'
ty jertes rosjanu, jak eiz nanyran?
Halina Krylowa - a ona ma to „nie zartu,
jak na prawdy eiz nanyran". Czy sata, czy
moja nowa znejoma - z'fupiclan i ber nany
owiedziatan Tamara Krylowa. I u jedn
chwilu pocutaw, i' stato sig ze mng co' d'ri wufu
Pocutaw wyraznie jak by nas byto dwie
Halina Krylowa i Tamara Krylowa. Idy'as
to pocutaw. M'etaw p'ustwanom i' taw jakby
sobe same z'cisiona. Zemia g'oma i' hata
liwa - podobni z' z'adwosauie do mwie Krycwo
g'omo „Pebiate nowa nacypna u nas
Imirekionu na Polu - ocl' mng ze smiceli

Otocyli mnie wtedy: Włodzie Zancure
India, Zeine o' s'ichyey przy postępienie
Bony Dimonow. Czy ty nie wiesz po rosyjsku?
Odpowiedziałam, że trochę - bo z mikiem z Rosji
nie pytaję. No, to my cię szybko nauczymy.
Siedzenie z mimi przed czytaniem dzieł w noc.
Zmusili mnie do mówienia po rosyjsku
sprawdził moje wiadomości z literatury
rosyjskiej, która znataw miła ale z polskiej
literatury. Duro czytają. Znataw Tolstoj
Dostojewski, Pusziński, Gogole.
Wto pmentam z klubu Maciej Polonii
do klubu Białych Rosjan.
Nie do wiary myślał wtedy do rosyjskiego
Twarz codziennie po pracy leciałam do siedziby
„Białych”. Zadałam mi do czytania książek
i pofużywali czytaniem. Inerbitam
po rosyjsku Tolstoj, Dostojewski, Gogole
Aldanowa, Mereszkowski, Dajńska, Zaccen
ko - poetów Nikitina Mierwasowa Nordsona

gi pijus i Amereczny. Młodym i
też ja nacytalam się - biblioteka była ma
miejsca. Czysto zastawiam w kawieruni
czytając znis do późna w noc.
Znis w innym jsi grozie zaczęły się
wyjechać po owolichyde lasach pod -
wamątki, parni - wytepy choroś ma
snide. Na ubranie nie było trwały ty
cięgi pogwarci o ich miejscach zamieszka
nia w Rosji, natomiast nie było ani sto.
Jako się dostali do Polski. Najdawniej
były śpiący i deklamacje. Swoich poetów zna
na pamięć. Dobra wzięli do uspojenia,
Kasia moja w r. 1990 była towarzyszącą
lekanem przy wyjeździe wyprawowym w górę.
Ałtaj - w miejscowości gdzie ja u dzie
cinster z rodziną w Stefie spędziłam
wanna - onolice Bernartu. Opowiadała
że przychodzili z gór z rycami, amzelem, młami
chcieli jeść (byli lewisi by coś sobie gorzej

byłam wzmianką przy sprawie polskiej
wiesni - a tyle od nas osłonił nas ukryty heroizm.
Ilość to kwestja czasu. Rosję przemysłowców
na ślasku widać - a o powstaniu to
leży tak daleko... - przemysłowcy, że do nich
trafiają, daleko były ciemne mieniamie
mocy polskiej ciotki, more i kasania
mieszkań i różnice, o gminach i harcowanie
patriotyzmu - polnie gady. Byłam w ich
władaniu. Inwestorami byli "kaczkę"
i naprawde za czymś się uci Rosjanom.
Tu mi nie wspominał ani o naszym
ani nie wspominał Rosji, z której przyjeżdżam
i nazywali mnie Samarkandz.

Podoba mi się powieść, przede wszystkim metoda fiksi-
mów, które zastosowaliśmy przy pisaniu i powo-
nien okupacyjnych dotychczas tylko spraw
żydowskich. Tętaj tej chce je zastosować, aby
niezależnie do nich nie wracać.

Cała sprawa z klubem twórcy doświadczeń
od połowy lat 1933 do B. Narodziny 1934.
* Wtedy, Chramcov i Włodzie, Bronzow
oficjalnie, tylko w promadnie metomist
i ten, Anisimow, za czymś się przemysłowcy
pracy codziennie. Mieniamie z matką, nas-
osławiał i lilił domi stary kobiety na talu
mieszkań. Chłopi i dawał mi, że to m.
jest matka z córka. I nie były. Ale wtedy
jenie o ten mi siedziałam. Mieniamie i do
wygodem przypominały namy ostatnie, wtedy
felicytatem, podane wczorajcy wygod
niekiedy wane ludzi i brudne, nie zamiatane.
Prinalli np. "ponoju" stało Tobino Lenin
na którym wylegi wata się do późnego wieczoru
falsze ogromne ilości papierosów, stręcając
kafki i niedopalki na podłogę. Nie
apoztać!! Wtedy mi pracowała a chytam
prezume "dlaczego nie pracuje" odzwiedniała
"Matka pracuje w mieniamie, firmie handlowej

stara mam na dwie, proco mam pracowac
labiej dzwiesz sprai". Matka nacynila
zapetnie mie uniata do polsku aini ter do
rosyjsku. Nigdy ze mna, nie zaimienita stoa
jali crasamni zastawatam je w domu.
Podjmeatam Zeing, je nie tyllio sprai
nacyni r rosyjskim klubie. Czysta podpry-
watam innym, ale nigdy jej nie zapawam
na namstora. Zato dwa kytata, tak do
rosyjsku jali i po polsku. Literaturny detodaj
Poloni tycnie z poeja miata w jednym palcu.
Specjalnie dezjomoz - co mnie druzito.

Sp. Teslar, Schroeder, Hamtobis, Stoiwci.

Qui w PRL majze zamisane te namstora w amim
"wacupym" notesie - wbornimajec Zeing gduis w
batakle 50tych mheratamni po autypocriatach.

Kis dytami abity kwariwne nie mie uedus, nawet
mie konmitajz jali majze mionym to was bez amic
jalno amnad - a cor dufiero co ueduei.

Jednak stomy sionym pan fwanig mi zueles, co

co sumatam. Mam te binging i tego Schroeo
Mienkaniie emicimamni prarie co miesize
mucora to gome. Per firamen, obrarob
jalych woline doobiergot (matka tej palci
migol, wclotam tych not zapomniei mie moze
Druicy naturalnie onet o polnich ksiginac
proscobone byty w jez. rosyjskim. Mo dora
prarie biegle. Cytatam, "zapojem"

Trzymat sie kontakt z Natansonem. Qui ondbi
nie spotykatam i wiedziona imstymntem aini
stoa mie mo dora o klubie tembarduej o Zeu
Baram sa, je wogole nie mie wrosmie.

Zacupnatam faps wzomnie. Podluchieie, foud
visko, mawieistaw, nigoty wcluchieie.

Jachnyty mnd, wclamni Polando".

Emizcie lat 1935-1937 zapetnie mne wrodnie
talo z Natansonem jali nie Zeing,

He chybaw w r. 1938 tego to dobre mie pawanig
mize wicimnej - wupiem Zeing amie odna -
lawnar. Wychludita zamgi i prosta mie

na świątku. Upomnieliśmy się, że przecież nie
Tamara Wyton będzie swoim świadkiem, ale
Halina Wyton - odpowiedziała mi
dziwne odczucie, "to mi, to ma być lepiej"
Coty, czas mija, że podinnam wrócić do
sprawy prawdziwego śmiechu i nasmiechu.
Mam nadzieję być attaché w Ambasadzie Fin-
landii - Sanderson chyba Chris - rysunki pomur
blondym - wyglądał na człowieka z martwego
tempa - było u niego coś z Frankensteinem. Bez
najmniejszego wyrazu twarzy, prawie bez ruchu.
To było coś osobliwego. Po ceremonii on wrócił
i samochód a ja z nim i z matką frontem
do ich domu na N. Miesie gdzieś pod 66-64.
"Mam nadzieję, że przygotowane są mienniki".
Zdanie prosiła frontemata mi kilka krotki
w ciągu tygodni. Byłam sama węguska albo
naprawdę sama się wzięłam do mierzenia
tętna, i Zena, Teresa z klubem w tym czasie
z o. c. u.

Chyba mieć fotografie domu w którym miesi-
cał się Gus i ja Al. Jerolimski i Marnatka.
(długo Ronolo) miły by było sprawdzić jak
naprawdę było. Frontowa ściana partem, przed
caterem domu. Na lewo z brzozy były drzwi
wejściowe i portierka na prawo. Teren pytań
Był ścianą do końca była zabudowana czy też
była duża otwarta ściana? Miałam nadzieję
jak było. Chyba jednak było drzwi wlane on
Idąc raczej przed siebie - był tym samym wstępnym
gratowaniem walcie w onu i Kyrk. Zatrzymaliśmy
się - podnieśliśmy oczy i zobaczyliśmy tył nad
drzwiami "Arbeitskamt" i co to jest jeno.
W tym czasie chcieli mu stać się na mię... Zena
kawałta miła do poczekalni, były Tania
i spawacz, wiec ścisnął mi ręce i powiedział
Tamara jak i ja, czy go odjeżdża - czy się zabiera
do klubu emigrantów Rosji - czy ma wolkist
białobłogosław - "mogłoby się mi zabierać
w tym czasie z o. c. u. a mam małe dzieci

Przebiegiem polny? Czy w Warszawie jak
z Ciebie Długo - co ci Polna dała, prośba
niechaj i biedny i uproszeń - wyznaczenie
ambasador! Jakże wyznaczenie - do domu
z koleim wyznaczeniem - ja tu jestem
mikroskopii kłosa - zaś atak Ci wyjechał od ręki
daj adres - „Listy są z Tobą z dnia spotkałam
podaje adres - ale do żadnej listy się nie
zapisała!” Wyjechałam z „Arbeitsamt”
Do kilku dniach zajechał łoszczą samolód 2500-
ferem i Zeno. Co myśleli sobie onolicein min-
nancy? Niewiem. Nigdy miał z sąsiadów ^{nie zrobił} ~~nie zrobił~~
mi zadanych aluzji ma ten temat. Gdzież ja
nie miałam rym. Nani miennawie były o rękę
dłuba mi biednie: Tórcus dźwięk, piótkianka
opielanmi dźwięk, wotoryty on tapcan, jak
stos cęmi z podwojnym kletem otaloy stół
włcha dźwięk i ceramiczny pięc z ielazny
mura, pręceły honoj. W audium - pięc kuchenny
taboret, z mis kami, jedew medyczny stół o tana.

Przy ul. Kolej na ulicy masami kłosa, rozmowa
potwierdzenie wyznaczenie kłosa - w piótkę do
obronnym sprasach z wytyczonymi i otępnymi
literacjami kłosa. Kłosa mi o tem procedurach
i przywrócić am dwa rany kłosa - cudo
wydanie Tolstoj, Dostojewski, Panna Hermi-
towa i wytychid kłosa i wytychid. Kłosa
to swalome w kłosa honoj w kilku kłosa
pod sam stół. Zeno przywrócić kłosa
dla dźwięk, kłosa kłosa dla mi o wotem
kłosa. Wyjechałam o kłosa: „Jana tam kłosa
ona teraz kłosa znacnie kłosa obrotu i ma
kłosa znacnie”, No! a mi? „Zeno”, Jaki tam
mi? „Stamara i idioty”. Nic mi umieć z
kłosa kłosa, co mi o robi mi? „Mi o
kłosa, przede mną - kłosa am mi o kłosa
nie kłosa, dźwięk z mi o kłosa. Była
kłosa - jence, na proste mi o kłosa kłosa
kłosa i odjechała. Ale mi dała mi sponoju
w medycznym cenie dostalome kłosa mi o

Gestapo - ale do zarzecznej dygnitancji na
Placu Piłsudskiego - u tych pięknych Petach.
Zegnatam się z domowiczkami i byłem
pewny, że już mi wróci do domu. Było mi wyjątkowo
jedno. Miałem się nie bać i niczego nie
zastanawiać. Pojechałem. Przejście sączą-
ce obładowane przy wejściu - po obojętnym i ogrom-
nym pięknym gabinecie byłem opuszczony
nawet z gwałtownie przyjętą najpiękniejszą
senatorką i ten sam samą „pasa”.

Wzrostem dotyczący mego pobytu w Rosji, rozmowa
o „pięknych” moich samych osobach, o wiadomościach,
że znajduję się w ofiarnym stanie
finansowym i życiowym, chcemy tam przyjąć
z pomocą - a zwłaszcza Białych Rosjan mówią-
ce „nie ma tam trudności”. Podnieśliśmy
i odpowiedziałam, że wyjechać za Polaka,
że oddam ją temu „Polce, nie pamiętam Rosjan
bo byłem tam dzieckiem” „A szał!” „Młot”.
Jeden tam, Spytali mnie w domu, jakbym miała

a praca bytu. Żenie nie odpowiada. Otrzy-
mataam wersację tym razem do gmachu
gestapo na ul. Aleje Solidarności w tym samym
domu. No co mi tam zrobić? No co? Jęta
Byłem pewny, że to już gestapo. He nie!
Okazało się, że p. Heine był a nierównym
oficerem kasyno - Hotelu przy tymie
gestapo. Codziennie stykało się z ludźmi, którzy
pracowali w podziemiu tej słynnej, młodości
Opowiadając mi o Hotelu (był nasz port
wejścia do tego gmachu - przedmiotem od wejścia
procedura odcinka do drzwi Hotelu!) byłem
z nią w sali jadalnej znowu rozmawiając o
mi i marząc o moim powrocie.
Wracam do domu. Żenie więcej się nie odwróci.
Ta - zarygnęła: Ciem była? Wzięciem
nieumiejętnie za samą, jakby proso uderza,
może w pierwszym ustach polonich, mi zaku-
rzoną, łezkami „Psalid” z Niemcami,
zrywką zdając i sponia wyciem. Tyłko kę

Indie ukrainców zeszło u powstania, co było
co się stało z senty - niewiem. Chocier
Motodiz Janowca rumian. Być może opiewał.

1933-1934.

Od nieregularnej rozmowy i poizosci u gubiniacie
maga safa Stornawskiego - on ze zagrał mnie
aryptowaci. Przez rodzic uwaga, „aryptowaci”
nie „unablowaci”. A to dwa wianice.

Najpierw były kawowanie, potem naturalnie
obrady „przez simiatu aryptowaci” zagrały, że
zwracatan uwaga, - na cenz - był koniec 1933r
mówito się o podmyśse cen, o zwracatanie
z pracy, o zamknięciu dokonany de wamplich
obliczeń ofisa 1931r. Martwiłtanę co ze mną będzie.
Ale omilcałam. Powoli mi ja zagrałam mi dsi
(manka nie ponda u las!) zagrał on opowiadac.
Był wporim, gładko ucesanym bounetem
o menaganym sposobie byciu. Małomównym.

Dawniej w restauracji była praca, i przy
cete fopotowicie przez pytania o jednemu
nie było absolutnie zadnych wiewor.

Allicenie. Allicenie a moja cienna wśc
jak myśle brzmiate mnie na smycy.
t.zu. był a se mnie.

Był 20 letnim dyspecem na wojnie 1920r., by
na Ukrainie, w r. 1926 ożenił się z cioną,
znaną w wiewor lewone, był jej korepetytore
obliczeniowa ile się naużyła, ma małę cionę
lile (onoto u g maga obliczenie 5-6 letnia) ba
za nie tpeku, wstał się z ionę od wilku lab.
obradę zagrały były codienne, to ratowało mo
cienen, później zagrały były wstaje u nawiar-
niach - zagrałam i ja sazebistac
(prepraniam, prepraniam bardi!) o dupie-
marynie. Zrodnych tam wienem. drentę o
nie bytat. Alliciat, zgranom, crasam
nabst wraicenie mi naqujęcego na oboczenie,
simntny. illoje „bata gaty” nie wgraly naly

na wet nismiechla na jego tniary. Bardzo
starannie za wne ubraany, gnieciony z kelne-
raniu. Zwracatam na to szczegolnie uwage,
lele smutne, zaqubione zachowanie wladian,
na karb tyknoty za dieccieciu.

Odprosadzao do domu. Z rozety zdanac e cy
drone neey: np. M. dris (to a pracy!) spotka-
my sie (czesto byl nieobecny w pracy, na to me
zwracatam uwage) np. przy "Cristala".

Naturalnie po pracy. Ciekawam, mesami 1/2
godziny - nie przychodzil; pozniej stwaranie
preparatu, ie to, ie swo - na nastepny dzien
przy "Bristolu" - sprawa sie powtarzala.

Zmienił usprawiedliwienie, zagregi miodic, "Bardz
Pauis preparatu, mnie sie zdalo ze umiabilizim cy
przy "Simone-Steuerin" - pozniej to bylo z
"Gastromomiu" i ma szczegol z tymi restauracjami
sie to wyplulo uscito. Straci wmy cierpliwośc
a cesar wiecej iduomiona facetem zagregam
od tego, ie jalu mowiat sie np. przy "Cristala"

ntom do "Gastromomiu" i szczegolnie temu g
spotykatam. Czasami te moje proby byly
zawodne ale i niekrodo wypadkow - trofien
dawne serdecznie i d'Augo - wydawalo mi sie, i
maene serce prepranaw, datem byly opacery
w Lacienacku, kimo lub teoty. Zawone w mi
eruin - z niesmioty galanterie. Jauby przytu
normalnie, ale mnie sie zdawalo, ie cois sie wroci
mnie rai. W r. 1933 na B. Marchewie bytam
w Wilnie w Olneschij - naturalnie komplem jej
spowiedziatam. Ach te moje spowiesci w czasie
"driania" sie jalicis drak ze mną - ile
ram ratowaly mnie z apresji. Olnesche nie
zmelantw nie disoneq - nie ostregata mnie
przed zunjonidac ani me radzila corolwiec
priesigbrae! Na poczteln rora 1934
arziat dluzgi berpiatun, mstep - wiedzianam
ie facet ma dluzo filuzdu. Ojciec jego mial
w Inlejoire jalicis fabryci ceqiel my porceli
co z jalicis Marcieciauni. Przyjadal mu

dwie przesyły. (wiadomości wysłane
od pp. C.) O moim redaktorach (ber szczytów)
z p. S. dostałem dobre wiadomości. i tak jakby
jej to się lubo bało. "H. bardzo puszczenie do
siebie - on brzośny i ty blondynka".

Do kilku miesięcy abym się z nimi zajął
się „moutredans”. Cristal, Simon-Steau, Europejski
Gastronomie, Bristol i na oszczędności.

Wzrostam się. Co jest? Latem wyjechałem
na wioś do Wilna, odwiedziłem i doświadczyłem
czas spędziłem z Jadwigą Skępską, która
tam w klubie sportowym Akademickim prowadziła
sezon letywny i wiośnościanę.

Madonna zima, zbliżate się wigilia. Wigilie
spędziłem w zależności od mojej sympatii do
tego kto mnie zaprosił. Precji nie miałam
nikogo. Dostałem moje wigilie spędziłem z moją
przyjaciółką, od „woryta” ten samemu, w
moim albo jej najmiejszym pokoju.

Ale muszę trochę zrobić bo później już nie będzie miejsca

Był powrót zimą 1934 r. i w 1933. Komitet
i dwa gus'a zakonieczne prac. Aliso-
wyd. al. i wiośnościanę. Aluie nie opuszczono.
Dadłem mirosat miie do kierownika
biblioteki gus'a p. Ilorotypnicie i Frey
wzrostam w pracy w bibliotece. Bardzo
lubstałem pracę z książkami, co tak mi
faruje do mego temperamentu. p. Frey
była dla miie nadzwyczaj dobra i uśmiechnięta,
przyjęła miie jakby dawną miie znata.

To była mowa na onobce portre. Aż do jej
śmierci w r. 1938 z niej nie było.
Matamora w tym czasie w Polsce nie było.
Dadłem sekretarce de sekretarce zaproszenia m.
uproszczenia biblioteki ministerstwa
ministra spraw wewnętrznych - tak by się dru-
to narywało. Jak przedtem nie było.

Już miie pracowałem w bibliotece. p. Frey
musiała, je miewa dla miie i wiośnościanę
tych przesyły, - byłem z nią na jakichś

doktor Gabriel Nowicki mój późniejszy
teść. Młody, postawny, wesoły, bezpretensjonalny,
inteligentny - Nunta bywała dużo w świecie
dobrze ubrana z ujmującą męskością
odnosząc się do starszych osób z łaski.

Ale pocałunki do nieczyłostki.

W ten mieniący przed świąteczny dzień było
świątecznie. Padał taki gęsty śnieg, śnieg,
kawałek miętym wata - dużo - - -

Wtedy, m. Nowicki już był „nowym” - było jemu
już radośnie i „wiosennie”. Był grudnia 1934.

Do obiednie naturalnie z p. S. „Chciał bym
zrobić pani przyjemność, podziękować za te pogody
dużo jakimiś pani mi nie obdane! - zdaje
sobie sprawę, że mi jestem dość atrakcyjnym
dla takich miłych kobiet” Był o 13 lat starszy!

„Ale co Pan opowiada, jest Pan bardzo ujmują-
cy i miły (ciężko znaleźć takiego powoda i wyjść
do grochu!) itd. itp. Wędliśmy do jubileu -
wybrał zegarek z kamyczkiem na rękę, daliśmy

liberata - w co mi tam noście? kontrowersje
to już na moje progi - strasznie dużo prze-
mądry. Na ulicy stoją przed sobą wystraszony
(a ciężko padał ten śnieg, śnieg!) odwróci
ludzi przed sobą - była przez ten śnieg
śnieg ciska na ulicy - - - amienamie mi wie
drogę co przed siebie - spójrzam na śnieg.

Ciężko stał kłopot do ulicy, prawie dotykał
myśli - i robaczył, że ci oświecił świat. Był
jakoś trochę dłużej trzymał mi się na polu, ale
nie udało się chwycić, tylko tak stał i śmiał
wtedy to raz drugi w życiu robaczył światem
moją duszę. Długo mi się zdawało, że światem
tylko kobiety - - - Wziął go pod rękę i prosił
by przestał śmiać, prosił, miel Panie światem
bo niewiem co mam z Paucem robić!”

A on „tuż sobie mi miła robisz - me!
mam z 2 lata życia - czy Pani to mi 2004-
mieć - mam wite miły!” Koniec, koniec
ze śmiechami! Myśli roztoczył się we mnie,

Wszystko to ma być przed sobą - więc N. S. wita
Znowa wysuwało to jakieś mierzalne o ciele
proszę stano - co jak widzi „impotent”
lub „syphilis” p. Zygmunta N. S. wita u. P. w. w. w.
Nie otaratom ci dotychczas wogóle wyjaśnić
te słowa - ale dwoje ci gł. k. S. S. S. S.
nie baw się! Proszę zapamiętać.

He wita? to musiało być coś b. o. r. o. m. e. g. o.
W chwili N. S. wita zaproszenie, tembardziej
o. r. o. m. e. g. o. - natychmiast wywołata się ze mnie
nieustępliwość w. e. m. e. t. r. a. Nie! za żadną
cenę! Jak postępowanie i to.

„Wiedzi się Pan tak mi martwi, wita nie wita
ale widać choroba, moim leczeniu - jest tyle cudowne
impl. lewamy - adaje mi się Pan ma się widać, to
dziw. w. i. t. a. i. n. t. y. n. e. j. e. l. e. c. e. n. i. e. - trzeba tylko
chcieć, nie poddawać się pieronem, onece-
nem o chorobie” Pachmar mi jakubkiwice
„Kaliwa, co ty się w garść - jak ci widać chce
to wszystko mi zrobić” ale myślałem sobie

nie o proty w ostateczności chodzi to w. r. z. u. c. h. i. e.
lonej diuwny - tylko o wita! Co to za
wita? Pocienataw i najświęciej siemyta
samo w to co m. o. w. i. t. a. w.

„Wiem cię mi martwi, dopóki Pan cię nie
wyleczy, będę z Panem, nie opuszczę Pana -
tylko prozę, przestać pisać!” W. S. w. i. t. a. l. e. j.
p. m. p. i. e. n. a. t. a. , i. e. b. y. t. y. l. l. i. o. m. i. e. s. i. d. i. e. l. i. f. i. a. n. c. e. l. e. j.
m. e. j. c. y. r. a. j.

Penisim do „Gastrom. in” Prozę najbliżej.
Sala była pusta, w. i. l. k. a. s. t. o. l. i. k. o. s. z. a. j. e. t. y. c. b.
Kaczm. mi opowiadać. Ale i z tego sporządani
nie powstał ze mnie obraz me. m. e. k. a. i. o. n. e. g. o.
Może, podcas „rajny” me. l. l. u. r. a. i. n. g. w. r. 1922
w. o. t. a. z. a. t. n. y. m. a. t. a. s. i. e. w. s. l. a. c. k. e. c. a. i. m. d. r. o. n. e.
p. a. t. a. c. a. i. t. a. m. p. r. o. s. a. b. e. l. i. ” trochę z dn. w. r. a. i. n. i.
d. i. e. n. n. a. i. j. a. l. i. i. z. w. r. a. b. i. n. a. i. n. i. ! l. e. h. ! t. e.
w. r. a. b. i. n. y. ! ! z. k. i. m. o. n. s. z. a. l. a. l. m. i. e. d. o. f. y. t. y. w. a. t. a. m. i.
w. i. t. a. l. f. u. w. o. j. n. i. e. , k. i. l. k. e. l. a. t. o. d. w. o. b. i. t. z. a. l. e. f. t. e.
n. a. u. r. i. , o. z. e. m. i. e. z. ^{br. 1926} z. m. i. t. o. s. a. d. o. n. i. o. d. e. j. d. i. e. n. c. y. r.

kuracje i otur. Były jakies takie leczenia.
Kazet traci koncentracje, nie moge sie
znajdzic nad dalnym ciagiem wypracowania
zdanie, traci powage (stod to moje
redakcje z pod restauracji!) Jedynymi
objawami jakoby niedowiermi gotym onien
lezy, te oniesy wartpruhy gorzeu. Mieniat
w mlynajnowsarym poraju w bardzo
mgodnym i dobre umiedionym domu
ona Placa Narutowicza. Doda dnie onieskiej
trun dnie wspomociej Sociielli, Alon lezda
bibliotekarna z gullu p. Bohdanowicza.
Kobudymi podejmlie patmyla na choro kompletnie
samotnego ciowiera. Od tej mienajnej wigitii
az do czasu jego woliuciuie sie z pracy —
w dniu w ktorym nie bylo go w pracy —
miam na Pl. Narutowicza. Nie oni jecat,
stharuie sie wost, co'stale brednt, dno
lnt filipno. Zostawalam do nicora —
i znie's nastepny dzien --- bryto praire

monge - montam do toalety. Nie chciat
baseudu. Pelegniarnu nie chciat. Mlia
Kozieczna, cecusoz i rente wojnowoz.
W r. 1934 przychod do niego z Sulejowu
ojciec - zamorny ciowier - utwacjan
szdnie po zachowaniu sie w restauracji
Aniojnt, nuczat piewidze Melneru, zama
wiat najdnie potrawy. P.S. i ja caly
niechci milcelisny. W noc pociuj nie in
Zostawil dnie piewidze. W wannie onienas
na kraki. Prouiescin w tamy kamienicy
jego miotla, zora zwaueg piewyrtowca
(endena!! dostawcy nim noicieknyd. Efrico
patois Polskiem!) nie bede lodowca
nawisca, bo to nacypisic upetnie nie
oduroi sie do neuy. Nigdy i ony nie bylo an
om n niego. Co tam bylo w tej odnime
nie niestan idodci nie mam spojora.
Pracy wspomociu niestan domi dno.
Zmiane bilizey codzienu z proodu

masz niestety, odwołanie do prezydenta
odbić, gotowanie ogranu, siłoci Mon-
proteu i wzmocnienia sonda do picie ludzies
tydo o wrotych gongaler. W uncleni gospody-
ni mi odrywata niez mi galy do mnie s'owca,
jak galybym leyfa zardziwnia. Miat trud-
nosc z oddawaniem moem - cęsto myslalam
urologa. Cate nieszica, ie byly fienig die.
Najgorse byly noc - bo sie i trzymat nime
Numeroso za kce luyam mie odchodista.
Mie widziatam wyjcia dla siebie. O calej sprawie
wiedzial tyllus Alime - przede wiedziet o Tad.
Anturum. Pisalam czimiste listy prouo w noc
do Olenowic, ktora jalyby pmeracione sytygje
a wogle jej nie rozumieja co nie mogis cy nie
chcista mie mi poradzi. O Natansonie
nie moiem leyfo nawet mamje! Ten to wogle
mie by nie rozumiet. Nane spobitami
byly framie likwidowace.
Stany gongerowe najpierw byly raz na 2 miesiace

trwaly z tydnia - prouo; zacyly leyfo co
cystne. Go tolnioz gongerach mie mogis us
na nogach, puciei mie mie jadę! Nieszica
tak jalyby spjacy, otępiatym crosowiem
tozgc dokota. Mije nieszica tak jalyby
chwiloso go wracaly do rycie. Obicaly
pnyroni tam z restauracji najpierw dni
bo i dla siebie - ale nie jadlat nawet
1/3 porcji - zacytam pnyronie i seles obia
i chichotam na dwa. Restauracja byla tes
na Pl. Narutowicow. W PRK byly tam salep -
mydlarnia. Cleyba jest do dirciaj.
Ten ciggnat sie na 1935. Zacytam byc am-
ceom, ie codziennie wryty, zachody woto
chorego - zdrowieum cnytatam garetę -
mierzatam u rolesauis widniei z Bibliote.
QMSI p. zdrowosciu nej na ul. Hoicy.
W koncu wlegdowatam niez. Zapropowowatam
wspolne zamienkacie i synajstam i prouo
z uncleni, na ul. Rawo wicow; tu gduie

Iluzie przynosił nadzieję. Myślał z Ilincem nie
rozumowałam o sobie, o ludziach nie najlepiej się
wiedział o nim tylko tyle co z jego wizerunku.
Z codziennego mojego czasu życia podawał
pracy przy afiszach w Kiejkowicach.

Just poine noc jmi 21. 5. 1993 r. Przy
jednym z nich - moją tylko nocą. Pod
naporem wspomnień tych i innych nastąpił
następny ruch się zmieszania. Iluzie
przerwać!

12. 11. 1993.

Do każdej przerwie ruchu się w sieci wzięli -
wodzi jako muche u pajzaka.

Nie mam pojęcia kogo i na co ta prisa-
nina. Do co i dlaczego rozprowadzają
te opiewane propagandowo - propagandowe?
Aż wno jmi nie boli. Naprawdę mi boli!
Tylko w nocach wspomnień mi moją
prerwy dzień codziennego. --

Nie wiem kto mi naraził, przyjeżdżam do
pracy w domu w wieku 15 dniem więcej.
O getowaniu nie miałam pojęcia i przy
tych sprawach przychodziła doznać jej
stwierdzenia. Była to nieprawdopodobnie
biedna rodzina (jeśli to mój przyjaciel to musi
być naprawdę biedna). Miałem już nie być o, umiark
przy ostatnim ósmym porodzie. Dzieci nie ogarnęli -
fikowały analfabeta co przy omówieniu, raz przy
spontanicznie parwa o 45 sekund lub na chwilę
emionowidzi w szpitalu i jakę dzień chyba
mnie by przesłać tylko na trochę np. na
Brennau. Ponadto on podłodzi. Kellumy
najfiersz domyłam, po prostu skłamał. Zeprowadziłam
do ozirowojej siostry i do chłom rościelnego we
Wodziel. Późnie co musiała zrobić przy domu.
Iluzie "oj chłom man pau, oj chłom!". Któregoś
dnia (szczęście mi nie urodzi, była b. dnia
z ograniczonym czasem!) przyjeżdżam do domu
początkiem na szkodach przyjeżdżaję zapachy -

Quérlaina --- Keleni mie lepo oslonu. Po
pocucie paduista jako cety sukcesy perfymur
i byla zadowolona. Zedue uspla quérlaina
na vucowoj onkain (pupajata zapachem
cety masz! Na b. d'inyj cios! Keleni byla
onje radošic; byla praco ste, zavrse usmiech-
nista i capciocia. Nie wostatou jej masz, ze
zajeta z' menci perfumami. Na nastepny dzien
uspiatanej québieni, mešli do Sosni, wocy
koloniznej, paducego mydła. Nancytan k'ody,
co się mywa! Injeptanata cety masz! Injeptanata!
Uloje metoda, zhanca o Keleni. Podces c'osar
to posar najecgo się stau p. S. badan sa
zostawia w mieszkanie! Zamienkata se
Wodziel a mojej molianki z GUS'u. Po smierast,
odentia do pracy w sukcesie Zgub' tam je.
M. r. 1947 byla barmanne, i k'owidari me
clansat'nosznej i zud's orbitam i siebré vidow'ko
na sali - bo objefta f'achodypomy obre m'icaty g'os!
Miat' d'iofama, p'uprowadita go ch' m'icé

o'pronta o b'ogost'awic'ostu! B'ogost'aw'ian, ale
m'icé! Doreni' z' je w' l'hu l'at'ach!
Keleni synna mie oddata! Praco ste, m'icé,
m'icé, a ja synna i c'ysto udiel'atou
k'orep'ty'ci, bo m'icé d'owol'ic' i m'icé!
Doned' do d'iosnej k'ody, o g'lym, o at'orj
m'icé, k'lym'at' na poln'ic' stat'uc' m'icé
jelo komociun m'icé, p'oiu' j'alo m'icé
m'icé, o'zenn' t'ic, na p'acuc' o mas c'osne s'noje
m'icé k'one - i m'icé d'icé m'icé do Austwalis.
D'is Keleni byla m'icé d'icé s'ay, me p'ic' h'uy
d'icé, d'icé s'ay d'icé, k'icé d'icé na o'z'icé
m'icé. Z' d'icé s'ay m'icé, i Adela' d'icé, i d'icé
d'icé dobre i p'ic'icé p'ic'icé j'alo oficer w' m'icé
i Adela' d'icé! Keleni byla za m'icé, m'icé
m'icé, do d'icé p'ic'icé - byla u m'icé
w' pod'icé d'icé s'ay. Z' d'icé m'icé
i p'ic'icé z' m'icé i d'icé s'noje!
T'yle o Keleni.

traciłam ochotę do jedzenia! Ciężar tych dni!
Maty brat był w Grodnie, Natanson dla wstrząsła
zażądał spaceru po ogrodzie. Pisał do mnie
sympatyczne listy - ale o Sema protestem!
Derwatomu symptomie stosunki i kontakty z ludźmi
3 lata nie byłam na koncercie, nie byłam w teatrze
nie mogłam czytać książek - najgorzej były
noce. Majacymi, umyć, wyprać się i Torka
i nie mogłam go utrzymać nawet z Heleną!
Stradalski i Stroninśki niedzieli przyjechali do mnie
czekałam przyjeżdżać Karolinę Pogotowie.
Midiatomu pełne zdumienie, i ani słowa
pytań, obojętni ani słowa moich odpowiedzi.
Zaczęli podać mi dopóki nie było miobecności
wyjeżdżać do Warszawy, Anglii, Włoch, wpadali
pod włos formantami i dalszymi orszacach
W-oy, z Rodzinnymi, z Karli, z Diodima,
Na posterunku policji ochypli nas francuzi i przywróci
go albo swoje, karolinie - albo wywali Pogotowie!
Czasami gdzieś probsteo odwozi do szpitala.